

Jerzy Hoffman
Gorące serce
s. 16



Książę i żebrak
s. 25



Polak na Sri Lance
s. 36



Księstwo Babci
z Burdyków
s. 40



Historia białoczerwonej
szachownicy
s. 44



Niezależne pismo Polaków na Ukrainie

Kurier Galicyjski

16 grudnia 2011–12 stycznia 2012 nr 23–24 (147–148)

Choinka z Ukrainy w Watykanie

Dzisiaj, 16 grudnia, o godz. 16.30 czasu środkowoeuropejskiego, w Watykanie na Placu Św. Piotra odbędzie się inauguracja – tzw. zapalenie – drzewka świątecznego. Po raz pierwszy będzie to choinka z Ukrainy. Uroczystościom będzie przewodniczył stojący na czele Gubernatoratu Państwa Watykańskiego arcybiskup Giuseppe Bertello. Z tej okazji Benedykt XVI przyjmie delegację rządu Ukrainy i przedstawicieli Kościołów z naszego kraju, wśród nich arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego. Wieczorem przed główną choinką katolickiego świata odbędzie się akcja „Ukraińskie Boże Narodzenie w Watykanie”.



KONSTANTY CZAWAGA

Ten zwyczaj wprowadził bł. Jan Paweł II

Zwyczaj ustawiania choinki, a także szopki na Placu św. Piotra wprowadził w 1982 roku Jan Paweł II, który chciał w ten sposób ożywić wspomnienia i zwyczaje świąteczne ze swej ojczyzny. Metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, który był drugim sekretarzem osobistym papieża wspomina, że wcześniej we Włoszech nie było takiego zwyczaju. Jan Paweł II w ten sposób

przywołał polską tradycję, związaną ze świętami Bożego Narodzenia. Pierwszy świerk przywieziono z polskich lasów, po czym drzewka zaczęto przywozić z różnych stron Włoch i z zagranicy.

W 1997 r. na Placu św. Piotra stanął świerk z okolic Zakopanego, jako dar dziękczynny górali za – jak podkreślił ówczesny burmistrz Zakopanego Adam Bachleka-Curuś – „VI pielgrzymkę Ojca Świętego do Polski i wizytę papieża na Podhalu i w Zakopanem”. Polską choinkę zdobyli bombki w barwach narodowych, z

herbem Zakopanego i odwzorowaniem górskich strojów. Drzewko bożonarodzeniowe z Polskich Tatr pojawiło się na pl. Św. Piotra tylko raz, ale apartament Ojca Świętego Jana Pawła II zdobyły co roku choinki będące prezentem od polskich górali. Stwierdził, że to wszystko przybliżyło mu Ojczyznę i bliskich ludzi.

Benedykt XVI kontynuuje ten zwyczaj. Każdego roku inny kraj ofiarowuje drzewko, które jest ustawiane obok bożonarodzeniowej szopki na Placu św. Piotra. W ubiegłym roku

(cd. na s. 2)

WESOŁYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 2012!



*Na radosny czas podświetlenia
uj nad Tajemnicą Bożego Narodzenia
wyteknikom "Kuriera Galicyjskiego" życzę
hojnych darów miłości, które Emanuel niesie
ze swoim przyjściem przynosi na świat.*

*Z darem modlitwy i Bożego błogostania
w Nowym 2012 roku*

+ Hieronim Jachymki

Boże Narodzenie 2011



*Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
oraz Nowego 2012 Roku*

*życzę wydawcom i czytelnikom Kuriera Galicyjskiego
szczęścia, zdrowia, pomysłowości oraz spełnienia wszystkich marzeń!*

Henryk Litwin

*Henryk Litwin
Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador
Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie*



Życzymy Państwu refleksji nad cudem, który wydarzył się dwa tysiące lat temu w grudniową noc w Betlejem, a także osobistego doświadczenia jego mocy w codziennym życiu.
redakcja

ISSN 1996-2304



Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

Choinka z Ukrainy w Watykanie

drzewko świąteczne pochodziło spod miasteczka Luson w prowincji Bolzano, w autonomicznym regionie Górnego Adygi, na północy Włoch. Sprowadzono stamtąd także 50 mniejszych drzewek, które ozdobiły wiele innych pomieszczeń Pałacu Apostolskiego.

Sformowała się już długa kolejka państw, które chcą ofiarować choinkę dla Stolicy Apostolskiej.

Wyrosła prawie w centrum Europy

Jeszcze siedem lat temu ksiądz greckokatolicki, o. Stefan Sicz z Chustu na Zakarpaciu, który przywiózł od papieża obraz Matki Bożej, w rozmowie ze mną powiedział, że ma pomysł, ażeby ofiarować na Boże Narodzenie do Rzymu ładną choinkę z Karpat. Duchowny napisał list do Watykanu, i otrzymał odpowiedź, że Ukraina może zadziwić świat swoim świerkiem gdzieś w latach 2022-2025. Dalej sprawę poru-



szyl biskup Milan Šašik, ordynariusz greckokatolickiej diecezji mukaczowskiej *sui iuris* (swego prawa), podlegającej bezpośrednio Stolicy Apostolskiej. Po konsultacjach z kardynałem Lubomyrem Huzarem, ówczesnym zwierzchnikiem ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego (UKGK) i kardynałem Marianem Jaworskim, ówczesnym arcybiskupem lwowskim obrządku łacińskiego biskup Milan Šašik w 2005 roku napisał list do Stolicy Apostolskiej. Według hierarchy, starania o to, aby to Ukraina mogła podarować Stolicy Apostolskiej choinkę, prowadzili od sześciu lat hierarchowie trzech struktur katolickich w tym kraju: ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, greckokatolickiej diecezji mukaczowskiej na Zakarpaciu i Kościoła rzymskokatolickiego. W zeszłym roku przyszła odpowiedź, że Ukraina może sprezentować swoją choinkę w 2011 r. „Wszyscy cieszymy się, że po raz pierwszy główna choinka na Placu św. Piotra oraz choinki w apartamentach watykańskich będą z Ukrainy” – powiedział biskup Milan Šašik.

Ambasador Ukrainy przy Stolicy Apostolskiej Tatiana Iżewska, w wywiadzie dla Radia Watykańskiego, dokładnie opowiedziała o przebiegu przygotowań ze strony państwa do ofiarowania ukraińskiej choinki

(dokończenie ze s. 1)

bożonarodzeniowej papieżowi. Po rozmowach z hierarchami oraz ich staraniach, Ambasada Ukrainy w 2006 roku wystosowała list oficjalny do Watykanu. Korespondencja w tej sprawie doprowadziła do pozytywnej decyzji ze strony Państwa Watykańskiego. 26 sierpnia w Kijowie odbyło się posiedzenie Gabinetu Ministrów Ukrainy, gdzie zatwierdzono plan przeprowadzenia przedsięwzięcia „Ukraińskie Boże Narodzenie w Watykanie”.

Poszukiwaniem odpowiedniego świerku w górach zajmowała państwowa służba leśna. Wybrano kilka ponad 60-letnich świerków, mających 30 metrów wysokości i ważących około 5 ton. Tegoroczna watykańska „choinka” pochodzi z lasów z okolic wsi Polana Kosowska koła Rachowa. Jest to blisko od wsi Dylowe, gdzie wiedeńscy inżynierowie

wiemych udadzą się z pielgrzymką do Rzymu, aby odprawić tam uroczyste Msze św. w kościele św. Antoniego przy Collegium Rusicum, w którym 75 lat temu przyjął święcenia kapłańskie przyszły błogosławiony biskup męczennik. „Chcemy też sprawować Eucharystię w obrządku bizantyjskim w bazylice Matki Bożej Większej, w której od VIII w. znajduje się ikona „Salus Populi Romani” (Zbawienia ludu rzymskiego), przed którą modlili się św. Cyryl i Metody. Właśnie tam na Boże Narodzenie w r. 867 złożyli oni na głównym ołtarzu księgi liturgiczne w języku słowiańskim, które następnie poświęcił papież, a ich język stał się językiem liturgicznym. Prawie 400 pielgrzymów z diecezji mukaczowskiej weźmie też udział w inauguracji choinki na Placu św. Piotra w Watykanie. „Zostaną tam wykonane koledy z Zakarpacia w różnych językach naszych wiemych” – zapewnił pasterz diecezji mukaczowskiej.

Ale prezydent nie przyjechał...

1 grudnia bożonarodzeniowe drzewo z Zakarpacia dotarło na plac św. Piotra w Watykanie. Dostarczono także około 700 gałęzi, ważących nawet po 10-12 kilogramów. Oprócz wielkiego świerku do Stolicy Apostolskiej trafiło także 40 mniejszych drzewek wyrosłych w Karpatach, w obwodzie lwowskim. Wysłano też bombki oraz drewniane ludowe zabawki z okolic Jaworowa koło Lwowa.

Jak zapowiedziano wcześniej, 5 grudnia tegoroczna choinka stanęła na placu przed bazyliką św. Piotra. Tymczasem w Watykanie, na Ukrainie i nie tylko, oczekiwano na jeszcze jedno ważne wydarzenie. Jednak planowana na poniedziałek 5 grudnia wizyta oficjalna prezydenta Ukrainy, Wiktora Janukowycza do Rzymu nie doszła do skutku – poinformował na łamach portalu vaticaninsider francuski watykanista, a jednocześnie dyrektor agencji I-Media – Antoine-Marie Izoard. Zaznaczył, że decyzję w tej sprawie podjęto w Kijowie. Oczekiwano, że prezydent Janukowycz spotka się z Benedyktem XVI w dniu, kiedy zostanie wzniesiona na placu św. Piotra choinka bożonarodzeniowa z Ukrainy. Żywiono także nadzieję, że podczas audiencji u Ojca Świętego prezydent Wiktor Junowicz zaprosi papieża do swej ojczyzny, jak to już wcześniej uczynili biskupi katolicy. Izoard upatruje przyczyny odwołania wizyty Janukowycza w Watykanie w pogorszeniu się relacji Ukrainy z Brukselą.

Według Ambasadora Ukrainy przy Stolicy Apostolskiej Tatiany Iżewskiej, w akcji „Ukraińskie Boże Narodzenie w Watykanie” będą uczestniczyć przedstawiciele Kościołów, władz państwowych i samorządowych oraz artyści z całej Ukrainy.

Reportaż o tych wydarzeniach w kolejnym nr „KG”.

KG

CO DALEJ Z UNIĄ EUROPEJSKĄ?

Ostatnie kilka miesięcy rynki finansowe Europy i nie tylko są wielką huśtawką nastrojów, od euforii po panikę. Wielogłos wszelkiej maści ekspertów i polityków, często nie znających się na ekonomii i prawach rynku czy obrotu kapitałowego, stwarza kakofonię i szum informacyjny, z którego trudno wyłowić rzeczywiste przyczyny obecnego stanu rzeczy.

JAN WLOBART

Jak wiadomo, upadek Lehman Brothers, dużego amerykańskiego banku inwestycyjnego w 2008 roku, uruchomił efekt domina, który rozprzestrzenił się na międzynarodowe rynki bankowe i kapitałowe. Jak wiemy, kapitał nie zna granic i przy obecnych technologiach informacyjnych i obiegu informacji, dokonywanie operacji finansowych online nie jest żadnym problemem, a wręcz normą. Z jednej strony, jest to olbrzymia wygoda, lecz z drugiej strony – wszelkie informacje, a szczególnie te niepomyślne, przenoszą się jak fala tsunami, potęgując efekt samej informacji. Przy pozytywnych wiadomościach, efekt ten jest niegroźny bo może spowodować co najwyżej euforię na rynkach. Przy ograniczonym wzajemnym zaufaniu instytucji finansowych, rynki kapitałowe gotowe są wpaść w panikę, jeśli wiadomości będą złe. Stan takiego rozchwiania i niepewności trwa w tej chwili i widoczne jest to szczególnie w Europie.

Projekt polityczny powstania wspólnej waluty, nie poparty wspólną polityką fiskalną, pokazał swoją słabą stronę. Egoizm i nacjonalizm niektórych państw Unii Europejskiej, a w szczególności Wielkiej Brytanii, potęguje paraliż decyzyjny w Brukseli. Kraj ten ma „szczególne zasługi” w spowalnianiu integracji. Wszelkie regulacje prawa unijnego, poza wolnym rynkiem, są negowane przez ten kraj, począwszy od posiadania własnej waluty i niechęci do euro, a skończywszy na nie przystąpieniu do strefy Schengen. Postawa premiera Wielkiej Brytanii, Davida Camerona, podczas ostatniego szczytu UE w Brukseli (8-9.12.2011 r.) grozi poważnymi konsekwencjami i izolacją tego kraju w Unii.

Wydaje się, że determinacja Niemiec, Francji i innych krajów ze strefy euro w ratowaniu wspólnej waluty, spowoduje większą dezaprobatę wobec działań dezintegrujących UE. Politycy wreszcie zdali sobie sprawę jakimi konsekwencjami ekonomicznymi i politycznymi grozi rozpad strefy, a w konsekwencji Unii Europejskiej. Ostatni szczyt w Brukseli wyraźnie zaznaczył stosunek poszczególnych państw UE do jej dalszej integracji. Kraje strefy eurogrupy wyraziły polityczną wolę zacieśnienia integracji poprzez wspólną politykę fiskalną, ograniczanie deficytów budżetowych krajów członkowskich, automatyczne wymierzanie kar finansowych dla łamiących limit deficytu budżetowego.

Kraje wspólnej waluty, a jest ich 17, pozostawiły decyzję pozostałym krajom UE, w tym Polsce, o możliwości przyjęcia wspólnej waluty wraz z akceptacją wspólnej polityki fiskalnej i budżetowej. Ramy prawne ustaleń politycznych zostaną określone do marca 2012 r. Kraje nie akceptujące tych zasad zostaną w coraz luźniejszych związkach ze ścisłym jądrem UE i nie będą miały większego wpływu na decyzje

Brukseli w przyszłości. Praktycznie, poza wspomnianą Wielką Brytanią, tylko Republika Czeska, Szwecja i Węgry zastanawiają się nad akceptacją ostatnich ustaleń. Jednak ostatnie sygnały wskazują, że David Cameron pozostanie osamotniony w swoim uporze integracyjnym UE.

Z dniem 13 grudnia wchodzi w życie pierwsze przepisy wzmacniające dyscyplinę finansową, które mają uchronić kraje UE przed kolejnymi kryzysami finansowymi. Jest to zestaw reform, potocznie zwany sześciopakiem. W jego skład wchodzi sankcja za przekroczenie 60% długu w dochodzie narodowym brutto [PKB]. Taka sama kara czeka poszczególne kraje za przekroczenie 3% PKB deficytu budżetowego. Sankcje te będą nakładane przez Komisję Europejską, chyba że uda się odrzucić wnioski w głosowaniu większością głosów. Komisarz unijny do spraw gospodarczych Olli Rehn stwierdził, że jest gotów korzystać z nowego prawa od pierwszego dnia jego obowiązywania z pełną determinacją. Jeszcze ostrzejsze będzie egzekwowanie przepisów fiskalnych, które zaczyna obowiązywać w marcu 2012 roku. W tym wypadku sankcje będą niemal automatycznie nakładane, bez rekomendacji Komisji Europejskiej. Polska jest w tej dobrej sytuacji, że od kilkunastu lat posiada w konstytucji zapis ograniczający deficyt budżetowy do wysokości 55% PKB i jest chlubnym wyjątkiem wśród innych państw UE.

Przedstawiony powyżej plan ratunkowy dla państw Unii Europejskiej jest planem długofalowym, a Europie potrzebne jest natychmiastowe działanie, celem uspokojenia rynku finansowego, spowodowanego potężnym zadłużeniem: Grecji, Włoch, czy Portugalii i Hiszpanii. Dlatego też widoczna jest aktywność kanclerz Niemiec Angeli Merkel i prezydenta Francji, Nicolasa Sarkozyego, jako przedstawicieli dwóch największych gospodarek europejskich, z pominięciem organów UE. Te dwa kraje mają jednak inne wizje ratowania wspólnej waluty. Francja forsuje zwiększenie możliwości zakupu papierów dłużnych przez Europejski Bank Centralny [EBC] i poprzez to zwiększenie inflacji w strefie euro. Niemcy opowiadają się za większą dyscypliną EBC i zakazem emisji euroobligacji. Ponieważ sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie, trudno dzisiaj przesądzić, która z tych koncepcji zdobędzie większe uznanie. W chwili obecnej liczy się tylko skuteczność i szybkość działania na rynkach finansowych, bo tylko takie działania uspokoją obecną sytuację.

Myślę, że instynkt samozachowawczy i świadomość skutków rozpadu strefy euro i w dalszej perspektywie Unii Europejskiej, dostatecznie zdeterminuje polityków, zresztą w dużej mierze odpowiedzialnych za ten stan rzeczy, do skutecznych i niezbędnych działań. W przeciwnym wypadku wszyscy będziemy zmuszeni zapłacić ten rachunek.

ZALESZCZYKI. Czy uda się odrodzić uzdrowisko?

Ideę odrodzenia tego uzdrowiskowego miasteczka, które w latach 20. i 30. XX wieku było kurortem wypoczynkowym znanym w całej Polsce, powzięli entuzjaści turystyki Ziemi Tarnopolskiej i lokalne władze. Aby lepiej ocenić przyszłe przedsięwzięcia przeprowadzono konferencję: „Bogactwo turystyczne jak czynnik rozwoju terytorialnego”. W konferencji udział wzięło ponad 80 naukowców w dziedzinie turystyki, przedstawiciele samorządów, biur turystycznych, działacze społecznych z województw tarnopolskiego, lwowskiego, winnickiego, czerniowieckiego, iwano-frankowskiego, chmielnickiego, czerkaskiego i Kijowa. Do odwiedzenia Zaleszczyk i okolic zaproszono też korespondenta Kuriera.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

„Nasze województwo ma unikalne możliwości dla rozwoju turystyki, – opowiada organizator konferencji, dyrektor tarnopolskiego informacyjno-turystycznego centrum Łarysa Rymar. – Te możliwości stworzyła nam sama matka-przyroda. My powinniśmy wykorzystywać je dla dobra ludzi. Trzeba omówić koncepcje rozwoju turystyczno-rekreacyjnego potencjału Kanionu rzeki Dniestr. To główne zadanie tej konferencji. A jeszcze – łączyć pomysły naukowców, biur turystycznych, władz, ku pomyslnemu rozwojowi sfery turystycznej” Ale ile by nie rozmawiano w gabinetach władzy i salach, to ważne jest swoimi oczyma zobaczyć to miasteczko. „Zaleszczyki – to dawne i piękne miasteczko, – mówi mer miasta Wołodmyr Benewjat, – miasto, niby wielki półwysep na Dniestrze. Ta olbrzymia rzeka wygina się tu prawie na 360°, tworząc trzykilometrowy meander. Panuje tu klimat śródziemnomorski i to największe dziwo, i atut naszego miasta.”

Nazwa byłego polskiego kurortu, pochodzi pewnie od miejsca zamieszkania pierwszych osadników, którzy mieszkali „za lasem”, lub od słowa „leszczyna”, bo tych krzewów z orzechami i do dziś tu nie brakuje. Po raz pierwszy Zaleszczyki wspomina się w 1340 roku, jako własność króla polskiego. Dokument z 1469 roku świadczy, że osiedle pojawiło się na terenach sąsiedniej wioski Dobrowlany. W 1672 roku praktycznie całkowicie zostało zniszczone przez Turków. Współczesne miasteczko założono około 1750 roku. Od Lubomirskich miasto przeszło we własność kasztelana krakowskiego Stanisława Poniatowskiego, ojca ostatniego króla Polski Stanisława Augusta. Zabytkiem architektury z tego okresu jest parafialny kościół św. Stanisława ze Szczepanowa. Decyzję o jego budowie podpisał sam Stanisław Poniatowski. Wprawdzie kościół wtedy powstał drewniany. Świątynię poświęcono w 1763 roku. Na początku XIX wieku został przebudowany już jako murywany. W czasach sowieckich kościół został rozgrabiony. Urządzono tu magazyn soli, która zniszczyła ściany budowli. W 1991 roku kościół został oddany rzymskim katolikom, którzy go odnowili. Dziś jest okrasą Zaleszczyk.

W 1754 roku miastu nadano prawo przeprowadzania czterech jarmarków w ciągu roku. Zaleszczyki – to miasto słynnych tkaczy kilimów, gancarzy, rzeźbiarzy. W 1766 otrzymało prawo magdeburskie. W czasach austriackich stało się miastem powiatowym z własnym herbem – ratuszem z jednorogiem. Ratusz wybudowano w miejscu, gdzie kiedyś stał dworek myśliwski Poniatowskich. Szkoda, że oryginalny ratusz nie dotrwał do naszych dni. Budowla nie spodobała się jakimś



Uczestnicy konferencji



Współczesna panorama Zaleszczyk

komuniście-nieukowi i w 1968 roku została zniszczona.

Park pałacowy tonie w śmieciach

Pod koniec XVIII wieku ksiądz Józef Poniatowski założył na brzegu Dniestr w Zaleszczykach majątek z niewielkim pałacem. W 1808 roku wykupił go kupiec Ignacy Brunicki, który przebudował go w stylu empire i otoczył go parkiem. Istnieje legenda, że w pałacu w czasie swojej podróży po Galicji zatrzymał się cesarz Franciszek II. Ówczesny właściciel majątku, Leon Antoni Brunicki, przebudował wnętrza na wzór rezydencji Schonbrunn w Wiedniu. Cesarz należyście ocenił starania Brunickiego i nadał mu tytuł barona. Dziś pałac zachował się w opłakanym stanie. Jest to dwupiętrowy budynek z kolumnadą. Teraz mieści się tu szpital, ale istnieją plany przeniesienia go w inne miejsce.

Co do pięciohektarowego parku na brzegu Dniestr, to niemożliwe oglądać go bez żalu. Stosy plastikowych opakowań, śmieci, tłuczonego szkła. Mieszkańcy Zaleszczyk twierdzą, że jeszcze nie jest tak źle. Bywa gorzej. Chociaż teren parku jest od czasu do czasu sprzątnięty, świadomość mieszkańców nie jest jeszcze na poziomie, żeby nie śmiecić w tym pięknym miejscu. Rośnie tu do dziś ponad 40 gatunków drzew i krzewów, wśród których są tak

rzadkie okazy, jak Gingko, drzewo tulipanowe czy japońska sofa.

Przywrócić do Zaleszczyk... nudystów

„Złote czasy miasteczka nastąpiły po przełożeniu tu w 1895 roku kolei, – kontynuuje mer Zaleszczyk. – Dzięki dogodnemu położeniu geograficznemu (miasto prawie ze wszystkich stron jest otoczone spadzistymi brzegami Dniestr) miasto stało się uzdrowiskiem. Przyjeżdżali tu umęczeni miejskim ruchem panowie i panie, całe rodziny. Leczone tu schorzenia nerwowe, zapalenie nerek, cukrzyca, reumatyzm, kurowano się tu po zapaleniu płuc, ciężkiej grypy. Zdrowiały osłabione dzieci.

Dla kuracjuszy zbudowano 20 zelektryfikowanych pensjonatów, gdzie były wodociągi – rozkosz na tamte czasy. Dwa pensjonaty działały przez cały rok. Działał tu też dom dla oficerów i ich rodzin. Mógł pomieścić do 200 osób. Kuracjusze też zatrzymywali się w prywatnych willach, kontrolowanych przez specjalną komisję uzdrowiskową. Ceny dla kuracjuszy i letników były umiarkowane, zależały od pory roku i wahały się od 4 do 6 złotych za dzień. Na stałych klientów czekały zniżki. Były i specjalne opłaty uzdrowiskowe – 10 zł od osoby, 15 zł od rodziny. Lekarze i ich rodziny od tych opłat byli zwolnieni. Połowę opłat płacili oficerowie i urzędnicy. Za dzieci do 10 roku życia nie płacono nic.

Jeszcze do dziś w miasteczku opowiadają o dwóch wspaniałych plażach – „słonecznej” i „cienistej”. A jeszcze kurtuazyjną okrasą Zaleszczyk i powodem do licznych plotek, miejscem, które wywoływało szczególne zainteresowanie setek ludzi, była plaża dla nudystów.

Ciche, prowincjonalne Zaleszczyki jako pierwsze ogłosiły miejsce dla nudystów. Kurort był bardzo modny wśród inteligencji, przedstawiciele której byli często miłośnikami naturalnego sposobu życia i pojednania z przyrodą. Taki sposób bycia na przełomie XIX-XX wieków był bardzo popularny w Europie. Pierwszą oficjalną grupę nudystów utworzono w 1897 roku w Grudziądzu. Kolejnym ośrodkiem nudystów stał się Otwock. „Gdyby tak odnowić tę plażę, – mówi mieszkańcy Zaleszczyk. – To i u nas turystyka rozwinęła by się szybciej.” Co prawda i dziś chętnych by pokazać swoje wdzięki na brzegach Dniestr, w lecie nie brakuje.

Kuracjusze przechadzali się po czystym brzegu Dniestr, grali w tenisa, piłkę nożną, siatkówkę, strzelali z broni sportowej, pływali na łódkach, odwiedzali teatryki i kabarety, bo przyjeżdżało tu na występy wielu artystów. Największą atrakcją było święto winobrania, na które pod koniec września przyjeżdżano z całej Polski. W tym czasie odbywały się tu koncerty, przedstawienia teatralne i zawody jeździeckie. W 1933

roku w Zaleszczykach odpoczywał marszałek Józef Piłsudski. Po 1939 roku życie uzdrowiska urwało się.

Czerwona ziemia i dżuryński wodospad

Po zwiedzeniu Zaleszczyk – wszyscy do autokaru. Jedziemy do miejscowości Nyrków, do słynnego dżuryńskiego wodospadu. Dookoła czerwona ziemia, zielone pagórki, pożółkła trawa na polanach. Wszystko to tworzy niepowtarzalny pejzaż, niby na dalekiej planecie. Kiedyś było tu miasteczko z kolorową nazwą – Czerwonogród. Zostały po nim tylko dwie rozbite wieże zamku z XVII wieku.

„W 1806 roku, – opowiada docent Katedry nauk społecznych z Tamopola, Oksana Runciw-Koroluk. – Forteca została przebudowana przez rodzinę Ponińskich. Szkoda, że miejscowa ludność rozebrała zamek na cegły do własnych obejść.” I chociaż o turystyce w Zaleszczykach mówiono wiele, ale o braku drogi dojazdu do wodospadu, nie mówiono nic. Jeżeli ktoś chce zobaczyć to piękno, musu wziąć dobre buty.

O bólu w nogach można zapomnieć, gdy spojrzysz na największy wodospad na Ukrainie – o wysokości 16 metrów. „Według legendy, – kontynuuje pani Oksana – stworzyli go Tatarzy, w czasie oblężenia zamku. Skierowali rzekę innym korytem, przepokapawszy kanał w najwęższym miejscu pętli rzeki”. Tak naprawdę wodospad zbudowano sztucznie na przełomie XIX i XX wieku. Latem nie brakuje tu miłośników odczuć ekstremalnych. Kąpiele w wodospadzie traktują jak jacuzzi. Mówią, że dobrze masuje plecy, rozbija tkankę tłuszczową, co jest szczególnie dobre dla pańek dbających o figurę. W pobliżu wodospadu – dziesiątki namiotów, goście przyjeżdżają z całej Europy, podziwiają piękno przyrody i poprawić zdrowie. W dni wolne do wodospadu stoją kolejki. Kilka metrów opodal pieczara pustelnika – niewielka grotta, nad którą ścieka maleńki wodospad „Łzy dziewicy”. Wycieka on ze źródła, które uważane jest za święte i uzdrawiające.

Nie omijają turyści i zamku. Szanują go w sposób szczególny – rozbierają wszystko, co nie rozgrabiła miejscowa ludność. A kiedyś spacerowali tu królowie: Kazimierz Wielki, księżka Kariatowicze, Władysław Jagiełło, Świdrygiełło, Witold. Od 1778 roku zamek stał się własnością Karola Ponińskiego, który w 1820 roku nakazał rozebrać część murów i dwie wieże, a pozostałość wykorzystał na budowę pałacu. Jego syn, Kalikst, przebudował wieżę na większe w pseudo renesansowym stylu. Przed pierwszą wojną światową pałac miał wspaniały taras w stylu włoskim, kolumnadę z sześciu kolumn, był otoczony parkiem z fontanną. Lata wojny zrujnowały wszystko. Dziś pozostały dwie uszkodzone wieże, resztki kościoła z XVIII wieku i kaplicy Ponińskich na miejscowym cmentarzu.

Wymiana doświadczeń biznesowych

W Łucku polscy przedsiębiorcy dzielili się doświadczeniami w kolegami z Ukrainy i nawiązywali nowe kontakty do dalszej współpracy. Taki cel przyświecał wyjazdowej konferencji „Praktyka i doświadczenia Polski w sprzyjaniu rozwoju przedsiębiorczości i ekonomiki”, którą zorganizowało lwowskie przedstawicielstwo Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej. Uczestnikami konferencji byli przedsiębiorcy, samorządowcy, przedstawiciele organizacji społecznych i Ministerstwa Gospodarki RP.

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcia

Witając gości, zastępca przewodniczącego łuckiej rady wojewódzkiej Jurij Łobacz, powiedział, że jest przekonany, iż doświadczenia wyniesione z tej konferencji, powinny być korzystne dla mieszkańców Wołynia i zapewnił, że lokalne władze będą wspomagały aktywizację współpracy. Tym bardziej, że na dzień dzisiejszy są już dobre kontakty, zarówno pomiędzy samorządami, jak i samymi przedsiębiorcami.

„Tylko Łuck ma dziś siedem miast partnerskich w Polsce, – opowiada mer Łucka Mykoła Romaniuk. – praktycznie w każdy rejon Wołynia ma swego partnera za Bugiem. Myślę, że kontakty powinny zacząć nawiązywać władze, a resztę biznes już sam zrobi. Najważniejsze – w tym nie przeszkadzać”.

Uczestników konferencji powitał też konsul generalny RP w Łucku Marek Martinek. Wyraził opinię, że spotkanie przysłuży się do dalszego rozwoju współpracy polsko-ukraińskiej i zostaną nawiązane nowe kontakty pomiędzy przedsiębiorcami obu państw.

Komfortowe warunki dla biznesmenów zza Bugu

Dzisiaj Polska jest podstawowym dostawcą inwestycji w ekonomikę Wołynia. Od początku roku najwięcej inwestycji w województwo wołyńskie przyszło właśnie od sąsiadów zza Bugu. Kapitał polskich inwestorów w przedsiębiorstwa Wołynia stanowi prawie 160 mln dolarów. Dynamika współpracy potwierdza działalność wspólnych przedsiębiorstw. Około 30 % z nich otwarto przy pomocy biznesmenów z Polski.

„Wołyń ma wiele konkretnych atutów w porównaniu z innymi województwami, – powiedział, prezentując inwestycyjny potencjał województwa, kierownik departamentu międzynarodowej współpracy i integracji europejskiej administracji wojewódzkiej Andrij Łomaga. – Między innymi – dogodne położenie geograficzne, rozwinięta infrastruktura transportowa, kwalifikowane kadry, dostępność siły roboczej, znaczący potencjał surowcowy”

Według słów pana Łomagi, analiza inwestycyjnych stosunków pomiędzy Wołyniem a Polską pokazuje perspektywę dalszych stosunków. Inwestycje pomiędzy terenami przygranicznymi mają tendencję wzrostową.

Najlepsi przyjaciele – dobrzy sąsiedzi

Ukraińskim przedsiębiorcom w okresie kryzysu, który przeżywa Ukraina, można jedynie współczuć. Według prezesa Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej Aleksandra Szłapaka,



Podczas obrad konferencji

problemy wynikają zarówno z sytuacji zewnętrznej – druga fala kryzysu stoi u bram, jak i wewnętrznej sytuacji w gospodarce ukraińskiej.

Pan Aleksander jest przekonany, że w każdych warunkach trzeba być optymistą, wierzyć w to, że w najbliższym czasie sytuacja zmieni się na lepsze. Mówi, że na razie pomoc kolegom z Wołynia okazują polscy przedsiębiorcy i przedstawiciele instytucji państwowych. Przyjechali do Łucka, aby podzielić się swoim doświadczeniem i opowiedzieć o projektach, które pomyślnie realizowane są w Polsce.

Zmniejszanie produkcji, zatrudnienia, wzrost bezrobocia i niezadowolone społeczeństwo. Takie są dziś



Zebranych wita mer Łucka Mykoła Romaniuk

realia ukraińskie. Znaleźć pracę – to problem nr 1 dla wszystkich ukraińskich Centrów Zatrudnienia. Jak twierdzą uczestnicy konferencji, gotowi są pomóc w rozwiązaniu problemu.

Koordynator projektu akademickich wylęgarni przedsiębiorczości Justyna Gaj opowiedziała o doświadczeniach działalności wśród młodych przedsiębiorców. „Dajemy możliwość każdej młodej osobie jak najtaniej i w krótkim terminie założyć własną działalność, – mówi. – Dajemy wsparcie prawne i prowadzenia księgowości, sprzyjamy otrzymaniu kosztów z funduszy europejskich na rozwój firmy. Prowadzimy szkolenia i pomagamy wystartować z działalnością”.

Kierownik wydziału programu zatrudnienia Maria Michaluk w gdańskim powiatowym wydziale zatrudnienia podzieliła się doświadczeniami wprowadzenia projektu „Doświadczony przedsiębiorca” dla ludzi bez pracy



Moderator spotkania Oleg Dubisz



Projekt prezentuje Maria Michaluk, gdański powiatowy wydział zatrudnienia

po 50, który uzyskał uznanie nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Mówi, że ludzie średniego wieku mają wszystkie szanse samorealizacji w biznesie. Przynajmniej, tak zrobiło 26 osób, biznes-plany których uznano za najlepsze w konkursie „Doświadczony przedsiębiorca”. Nagrodą była premia – 40 tys. złotych – za które każdy założył swój biznes.

Dyrektor powiatowego wydziału zatrudnienia z Nysy opowiedział o unikatowym projekcie budowy mieszkań socjalnych przez bezrobotnych, który został zrealizowany dzięki systemowi szkoleń zawodowych i inwestycjom władz lokalnych. Wójt gminy Lesznów Maria Jolanta Batorycka-Wąsik podzieliła się doświadczeniami sprzyjania zatrudnieniu osób niepełnosprawnych, osób z autyzmem. Na zakończenie dobrego nastroju zebra-



*Aby wszystkie dni w roku
były tak piękne
i szczęśliwe, jak ten
jeden wigilijny wieczór.
Aby Wasze twarze
i twarze Waszych
najbliższych zawsze
rozpromieniał uśmiech,
a gwiazda Betlejemską
prowadziła Was
ku dobremu.*

sko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej Oleg Dubisz, głównym celem spotkania było zapoznanie i nawiązanie kontaktów do dalszej współpracy dwustronnej w tym także z wykorzystaniem wewnętrznych i środków europejskich.

Na koniec organizatorzy konferencji przeprowadzili ankietę. Uczestnicy zaznaczyli, że są zainteresowani członkostwem w PUIG. Od Izby ze swej strony oczekują poszukiwania partnerów chętnych do współpracy, wspólnej realizacji projektów, stworzenia przedsiębiorstw, pomocy w kwestii zatrudnienia, promocji regionu, otrzymania informacji o polsko-ukraińskich inicjatywach.

Podsumowując wyniki konferencji, moderator spotkania Oleg Dubisz powiedział: „Mielismy dziś wspaniałą okazję usłyszeć ludzi, którzy stoją u czoła transformacji Polski i dać sobie odpowiedź na pytanie: Dlaczego to państwo się zmieniło? Czego nam brakuje, żeby być tam, gdzie są oni? Uważam, że Ukraina powinna być w Europie. Gdy to się stanie będziemy rozwiązywać nasze problemy przy pomocy tych mechanizmów, z których dziś korzystają polscy koledzy. Ze swej strony zapewniam, że PUIG wykorzysta cały swój skromny potencjał i zrobi wszystko, aby zawiązać współpracę obu zainteresowanych stron?”



Uczestników konferencji wita prezydent Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej Aleksandr Szłapak

nym dodała opowieść Anny Łybek z urzędu Gminy Bieliny o inicjatywie lokalnych władz w rozwoju turystyki na terenie gminy.

Burzliwe dyskusje, wymiana poglądów i żywe zainteresowanie każdym projektem – taka była atmosfera na spotkaniu. Wszyscy uczestnicy podkreślali wysoki poziom organizacji konferencji. Jak zauważył moderator konferencji, wiceprezydent Pol-

OGŁOSZENIE!

**Od 1 grudnia 2011 roku
konsulat generalny RP we Lwowie
jedynie za pośrednictwem
centrów wizowych**

we Lwowie oraz Iwano-Frankowsku wprowadza dla obywateli Ukrainy wize w celu realizacji **turystyki zakupowej** w Polsce. Wiza będzie wystawiana zainteresowanym osobom na podstawie pisemnej prośby skierowanej do konsulatu generalnego RP we Lwowie. **Pierwsza wiza danego typu będzie wystawiana na 7 dni jednokrotna, kolejne – z ważnością do roku** (na podstawie oryginału imiennej faktury, która potwierdza dokonanie zakupów w Polsce)

www.lwowkg.polemb.net

WALCZYMY O SWOJE

Lwowska telewizja ZIK: „Wierni parafii św. Antoniego starają się odebrać lokal 4. Szkoły Muzycznej. Twierdzą, że przed stu laty za Austro-Węgier w budynku mieszkali zakonnicy. Od 40 lat w tym lokalu gry na różnych instrumentach uczą się dzieci”.

Fakty są takie: od dłuższego czasu bezskutecznie kolejni proboszczowie kościoła i wierni starają się u władz lwowskich o wykonanie decyzji prezydenta o zwrocie obiektów sakralnych ich przedwojennym właścicielom. Cały czas ta sprawa natyka się na mur milczenia, niechęci, bądź otwartej wrogości.

KRYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie
oraz lustr. archiwalna

Telewidzowie, w tym, parafianie kościoła św. Antoniego we Lwowie, oglądający we czwartek (8 grudnia br.) program „Wydarzenia dnia” telekompanii „ZIK” byli zszokowani. Powstała niedawno Zachodnia Informacyjna Kompania znana jest mieszkańcom regionu głównie z niezależnych relacji z ważnych wydarzeń i śledztw dziennikarskich o strukturach władzy. Stąd jej programy są bardzo popularne. Aż tu nagle ukazuje się program, w którym wierni kościoła św. Antoniego i proboszcz, franciszkanin o. Władysław Lizun, przedstawieni są jako monstra, godzące w biedne dzieci, pragnące zdobyć wykształcenie muzyczne w szkole, która mieści się w dawnym budynku plebanii. Reportaż zaczyna się od słów: „Wierni parafii św. Antoniego starają się odebrać lokal 4. Szkoły Muzycznej. Twierdzą, że przed stu laty za Austro-Węgier w budynku mieszkali zakonnicy. Od 40 lat w tym lokalu gry na różnych instrumentach uczą się dzieci”.

Fakty są takie, że od dłuższego czasu bezskutecznie kolejni proboszczowie kościoła i wierni starają się u władz lwowskich o wykonanie decyzji prezydenta o zwrocie obiektów sakralnych ich przedwojennym właścicielom. Cały czas ta sprawa natyka się na mur milczenia, niechęci, bądź otwartej wrogości. Tak i w tym ostatnim wypadku. Dyrektor szkoły, Olga Biłas, podała cyfrę 400 uczniów uczęszczających do szkoły. Jeżeli by ta cyfra była prawdziwa, to szkoła musiałaby pracować na dwie zmiany, również w dni wolne, co absolutnie mija się z prawdą, bo wieczorami (jest to szkoła wieczorowa) światła palą się sporadycznie w kilku oknach, a w sobotę dzieci uczęszczają rano. W niedzielę szkoła jest zamknięta. Czy pani dyrektor nie pomyliła się o jedno „0”? Pani dyrektor argumentuje też, że w okolicach ul. Łyczakowskiej nie ma innej szkoły muzycznej. A czy w okolicach wszystkich ulic Lwowa są szkoły muzyczne?

Prawdą jest, że parafia wystąpiła na drogę sądową, ponieważ załatwienie sprawy zawiodło. Rozprawy doszły już do sądów wyższej instancji – Sądu Gospodarczego w Kijowie. Nadal nie udaje się uzyskać potwierdzenia ustaw rządowych i odzyskać należącej parafii własności, ponieważ sąd naznaczył kolejne ekspertyzy. Władze lokalne wymawiają się brakiem lokali, gdzie można by przenieść szkołę. Proboszcz o. Władysław w wywiadzie do powyższego materiału wskazał na mieszczący się 150 m dalej przy ul. Łyczakowskiej budynek, w którym był komisariat wojskowy, a przed wojną mieściło się tu liceum. Już od dwóch lat budynek stoi pusty, co we współczesnych czasach jest po prostu marnotrawstwem. Parafia posiada wszystkie dokumenty potwier-



Kościół św. Antoniego i dawna plebania, obecnie szkoła muzyczna

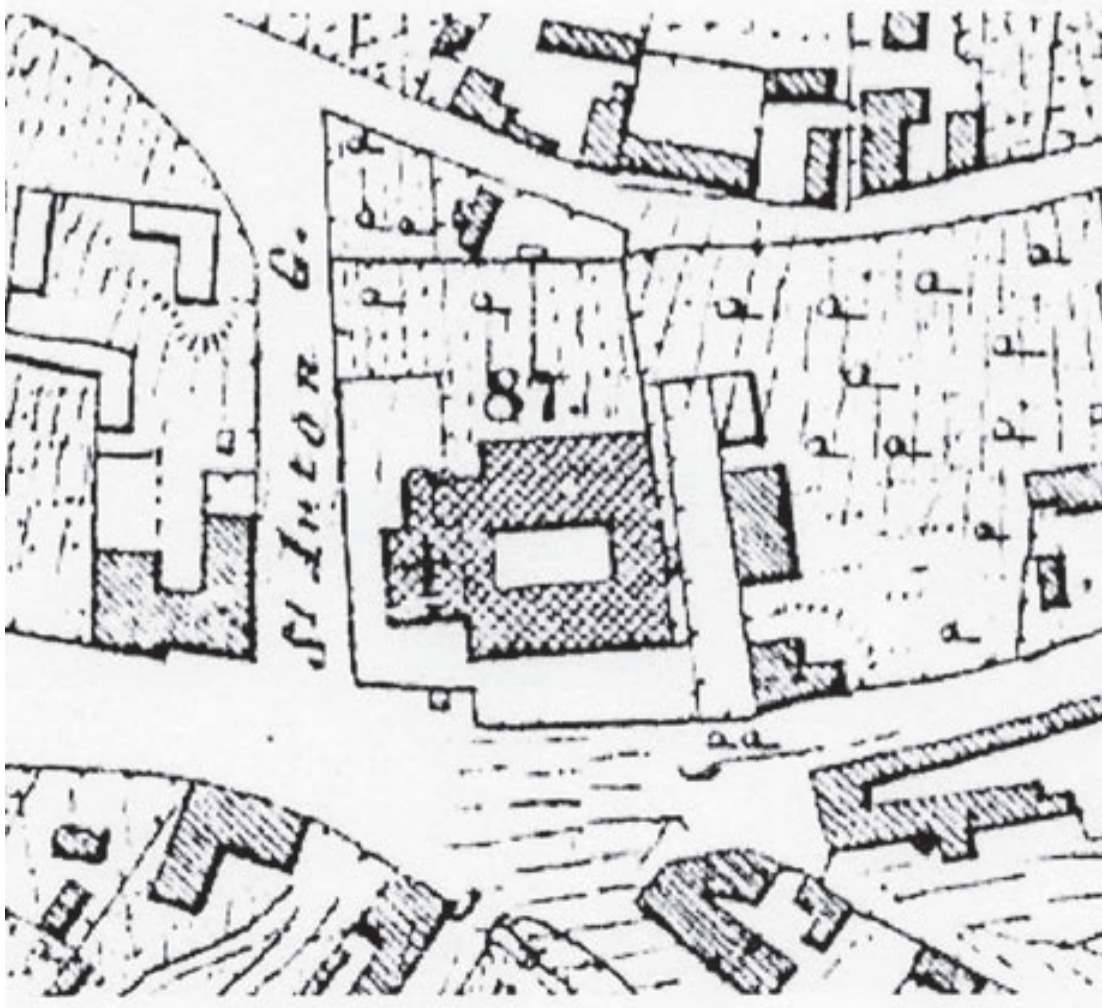
dające własność budynku plebanii. W tym roku na żądanie sądu została wykonana oficjalna ekspertyza przez jedyną uprawnioną do tego organ – Ukraiński Regionalny Specjalistyczny Naukowo-Konserwatorski Instytut, w którym to dokumencie przedstawiono wyniki przebadanych dokumentów z archiwów lwowskich, podano kopie tych materiałów oraz wyniki

prac archeologicznych na dziedzińcu kościoła, które potwierdzają materiały archiwalne.

Z tych dokumentów wynika, że lokalizację klasztoru oo. franciszkanów konwentualnych magistrat zatwierdził aktem z 23 czerwca 1617 roku. Akt ten został potwierdzony przywilejem króla Zygmunta III. Pierwszy, drewniany klasztor i kościół powstał

na łyżakowskim przedmieściu na tzw. Suchej Woli w latach 1618–30. Wojny polsko-kozackie zniszczyły te zabudowania dwukrotnie w 1648 i 1652 roku.

Następny klasztor powstał z fundacji księcia Konstantego Krzysztofa Korybuta Wiśniowieckiego w 1669 roku. Od tego czasu rodzina Wiśniowieckich opiekowała się klasztorem



Plan zabudowy terenu kościoła z 1844 roku

i lożyła na jego utrzymanie, modernizację i odbudowę. W 1718 roku, przy wsparciu Janusza Antoniego Wiśniowieckiego, rozpoczęto budowę obecnego kościoła i nowego klasztoru. W tym czasie teren z północnej strony otoczono sadem. Powstałe budynki klasztorne przylegały do kościoła od południowej, północnej i wschodniej strony. Były jednopiętrowe, a wewnątrz tworzyły zamknięty dziedzińec.

W 1784 roku władze austriackie kasują klasztor. Kościół staje się kościołem parafialnym dla Górnego Łyczakowa. Do parafii włączono również wiernych kościoła św. Piotra i Pawła, zmienionego w cerkiew grekokatolicką. Na przestrzeni kolejnych lat klasztor był przebudowywany i modernizowany, kościół zaś otrzymał współczesny wygląd, z charakterystycznymi schodami z figurą Matki Boskiej. W 1885 roku rozebrano północne i wschodnie skrzydło klasztoru, a południowe podniesiono o jedną kondygnację z dachem mansardowym. Tak powstał obecnie stojący budynek, który jest przedmiotem sporu. Przeniesiono tu zarząd plebanii. Mieszkał tu proboszcz, wikary, organista i kościelny. Mieścili się tu kuchnia i pomieszczenia sanitarne. Komisja Skarbu z 1893 roku potwierdziła wykorzystanie tego budynku wyłącznie na potrzeby kościoła i parafii. Taką też funkcję pełnił ten budynek do końca II wojny światowej.

Po jego opuszczeniu przez zakonników i likwidacji parafii, w budynku umieszczono Ukraiński Naukowo-Badawczy Instytut Przemysłu Poligraficznego, który zajmował te pomieszczenia i dziedzińec kościoła do końca lat 70. XX wieku. Następnie przeniósł się do nowozbudowanej siedziby. Dopiero wtedy umieszczono tu szkołę muzyczną.

Praktycznie dziś kościół św. Antoniego nie ma żadnego zaplecza. Na odzyskanym dziedzińcu, po przebudowaniu dawnych garaży, udało się wygospodarować kilka ciasnych pomieszczeń, gdzie prowadzi się katechezę i gdzie spotykają się parafianie. Nie ma warunków do funkcjonowania klasztoru franciszkanów, którzy wrócili do swego dawnego kościoła. Zakonnicy w tych warunkach katechizują ponad 100 dzieci zarówno po polsku, jak i po ukraińsku, odbywają się tu spotkania franciszkańskiego zakonu świeckich i wspólnot modlitewnych. Działają cały szereg stowarzyszeń – nie tylko religijnych: Rodzina Rodzin miasta Lwowa, wspólnota odnowy w Duchu Świętym, grupa Anonimowych Alkoholików i wspólnota Rodzin Alkoholików. Na rozszerzenie tej działalności społecznej po prostu brak miejsca.

Wszystkie przytoczone fakty są potwierdzone odpowiednimi dokumentami i dla każdego sądu są nie do podważenia. Ciekawe, kiedy uzna je sąd ukraiński? Dlaczego z takim trudem musimy walczyć o swoje, gdy innym to, co do nich nie należało spada jak manna z nieba?

DRABINA DO NIEBA

4 grudnia po występach naszego teatru w Mościskach wróciłem do Lwowa dość późno i odruchowo włączyłem telewizor tuż przed wiadomościami. I oto pierwsza informacja, że w Warszawie w wieku 87 lat zmarł Adam Hanuszkiewicz. Smutna refleksja, że oto kolejny wybitny Lwowianin wybrał się, jak to się mówi, na „tamten” świat.

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI
tekst i zdjęcia
film.interia.pl,
se.pl zdjęcia

Adam Hanuszkiewicz był prawdziwą legendą polskiego powojennego teatru, stworzył szereg wspaniałych inscenizacji polskiej klasyki, często bardzo dyskusyjnych. A dla mnie od 1965 roku stał się wspaniałym przyjacielem i w pewnym stopniu „guru” współczesnego teatru.

5 grudnia, nazajutrz pojechałem na Cmentarz Łyczakowski na grób Rodziców, ale do torby przeczornie włożyłem plastikowe pudełeczko. Jeszcze nic nie wiedziałem o terminie uroczystości pogrzebowych, ale już podjąłem decyzję, że na pewno pojedę do Warszawy z tą grudką ziemi lwowskiej, którą już nie raz dowoziłem na pogrzeby naszych lwowskich przyjaciół – bo to i Adamowi Hollankowi, i Andrzejowi Hiolskiemu, a ostatnio Jurkowi Janickiemu. Już jadąc w pociągu, uzyskałem telefonicznie wszystkie niezbędne wiadomości, że uroczystości pogrzebowe odbędą się w czwartek 8 grudnia na Wojskowych Powązkach o 14 godzinie.

Podczas podróży, cały czas wracałem w myślach do naszego pierwszego spotkania w Wilnie w 1965 roku, kiedy „gruchnęła” wieść, że oto na gościnne występy do Wilna przy-



Przed pustym katafalkiem – drewniana drabina, a na niej mosiężna urna



Żona Adama Hanuszkiewicza – Magdalena Cwenówna z urną

jeżdża Teatr Powszechny z Warszawy i przywozi „Wesele” Wyspiańskiego, „Zbrodnię i karę” wg Dostojewskiego i „Przedwiośnie” wg Żeromskiego. Bez namysłu pojechaliśmy z Lubartem Leszczyńskim do Wilna.

Teatr Powszechny występował w największej na owe czasy sali widowiskowej w Pałacu Związków Zawodowych, na dawnej Bufałowej Górze (na marginesie dodam, że i my wielokrotnie występowaliśmy na tej scenie).

„Wesele” w inscenizacji Adama Hanuszkiewicza i scenografia Ada-

ma Kiliana – kolejnego Lwowianina olśniło i oczarowało mnie na długie lata, tym bardziej, że było to moje pierwsze sceniczne spotkanie z tekstem Wyspiańskiego.

Słynna „szopkowa” koncepcja reżyserska, oszalałające tempo, wspaniałe aktorstwo, a przede wszystkim sam Adam w roli Poety i Zofia Kucówna szczególnie w tej słynnej scenie o Polsce i o sercu wrosły na długie lata w pamięć.

A potem było już jak w kalejdoskopie – Raskolnikow i Fantazy, wie-

lokrotne przesiadywanie na próbach w Narodowym, czasem po spektaklach niezapomniane wieczory w Piwnicy Wandy Warskiej i Andrzeja Kurylewicza na Starym Rynku, Goplana na Hondzie w głośniejszej „Balladynie” w Narodowym, poetycki „Miesiąc na wsi”, „Antygona” w Teatrze Małym, a nade wszystko krótkie chwile serdecznych domowych spotkań i ogromna otwartość na potrzeby naszej skromnej lwowskiej sceny. Gdy poprosiłem Go o udostępnienie tekstu norwidowskiej

kompozycji, dał mi ją bez namysłu. Pamiętam taki szczegół, gdy odprowadzał mnie późną nocą z Powiśla do hotelu na Krakowskim Przedmieściu, nieostrożnie wypadł mi tekst z rąk, wtedy Adam z uśmiechem nadepnął nogą egzemplarz aby „odczarować” teatralne przesady. A gdy w 1978 roku zabrakło mi do inscenizacji naszego lwowskiego „Fantazego” mundur Majora, to sprawa była załatwiona, jak to się mówi, od ręki i Walery Bortiakow już wkrótce paradował w tym kostiumie na scenie.

Ostatnim spotkaniem z Adamem Hanuszkiewiczem – wtedy już dyrektorem Teatru Nowego na Puławskiej, był występ naszego lwowskiego zespołu właśnie na tej scenie. A na widowni – Włada Majewska, Adam

człowieka, któremu tłumaczę z czym przybyłem.

Jestem prawie pierwszy w kaplicy – dziwne nie ma trumny! Ale cóż to – przed pustym katafalkiem stoi drewniana drabina, a na niej mosiężna urna. Drabina – wspaniały reżyserski pomysł Adama aby Kordian wygłosił swój słynny monolog na Mont Blanc na...drewnianej drabinie. Pomysł, który bulwersował ówczesnych teatralnych krytyków, dziś powrócił nieoczekiwanie, aby przypomnieć wszystkim jak zawsze Adam, jako Twórca, zaskakiwał nas wszystkich i nawet w tej ostatniej drodze.

Uroczystość żałobną, którą celebrował długoletni przyjaciel – ksiądz Bronisław Rosiak przeplata-



Okładka programu występu Teatru Powszechnego w Wilnie w 1965 roku z dedykacją Adama Hanuszkiewicza



Hollanek, ks. Janusz Popławski, Krystyna i Jurek Janiccy, no i oczywiście – Adam Hanuszkiewicz. Dawne, niepowtarzalne czasy...

A teraz Wojskowe Powązki – 8 grudnia. Dzień dżdżysty i smutny. Na szczęście przyjechałem dość wcześnie. Na placu przed kaplicą jupitera, telebimy, kamery, operatorzy – jednym słowem ruch jak na planie filmowym. Przeciskam się przez tłum do oblężonego wejścia do kaplicy, znajduję właściwego

ły wiersze Norwida, Iwaszkiewicza i Okudźawy. No i ta grudka lwowskiej ziemi, którą kapłan posypał metalową urnę, zaznaczając, że jest to ziemia szczególna, bo z lwowskiego Łyczakowa... I jeszcze tylko salwa honorowa, a dookoła tłumy ludzi, którzy przyszli pożegnać Mistrza, a wśród nich uczniowie i przyjaciele, i partnerzy – Daniel Olbrychski, Wiktor Zborowski, Olga Lipińska, Waldemar Dąbrowski, Grażyna Szapolowska, Ignacy Gogolewski i wielu, wielu innych...

A ja cały czas wracam myślami do pierwszych chwil naszego spotkania na wileńskiej scenie i o tym, że los był dla mnie tak łaskawy, że podarował mi przyjaźń z tym niepowtarzalnym Człowiekiem. No i ta Drabina, o której opowiadał mi jeszcze na długo przed premierą „Kordiana”. Drabina – symbol wspinania się przez cały czas do góry. Często mówił o tym, że reżyseruje dlatego, bo ciągle chce się uzyć i doskonalić.

I niech się wspina ciągle do góry, do tajemnicy bytu i jego krańców.

Boże Narodzenie w Polsce i na świecie

Czas przedświąteczny jest szczególny dla wszystkich ludzi. Od wieków odbywa się wtedy wielkie sprzątanie w domach, przygotowywanie potraw i prezentów, choć dziś w tej mierze liczymy bardziej na sklepy niż na własne umiejętności. Udzielający się wszystkim radosny nastrój wywołuje niejedyn uśmiech na twarzy, zbliża do siebie ludzi i to jest niezmiennie od lat. To także czas refleksji, zatrzymania się i skupienia nie tylko na ludziach, ale na Tym, co ma nadejść. Co na to historia i nasza tradycja?

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Jakie polskie obyczaje tworzą tę niepowtarzalną atmosferę bajki wokół skądinąd ważnych i pięknych świąt, upamiętniających spełnienie się Bożej obietnicy odkupienia?

Choinka

Po pierwsze choinka – dziś obecna w każdym domu i nikt nie wyobraża sobie bez niej świąt. A przecież jest to zwyczaj niewiele ponad stuletni, co jak na tradycję traci maletniością. Zwyczaj ten wywodzi się z protestanckiego niemieckojęzycznego obszaru. Być może w zamyśle protestantów było nawiązanie do słów z Księgi Izajasza: „Sława Libanu do ciebie przyjdzie, jodła i bukszpan i sosna społem na ozdobienie miejsca świętości mojej...”

W polskich domach natomiast znany był już wcześniej zwyczaj wieszania pod sufitem odwróconego czubkiem w dół wierzchołka jodły lub świerku. Wieszano na nim ozdoby, które mocno związane były z wierzeniami pogańskimi, np. czosnek miał odwracać grożące zło, piernikowe figurki były zastępczymi ofiarami ludzi i zwierząt, jabłka i orzechy zapewnić miały zdrowie i krzepkość, a także nawiązywały kontakt ze zmarłymi członkami społeczności (zwyczajowo uważane były za pokarm zmarłych). Po sufitem wieszano także uplecione ze słomy kółko ze „światem w środku”, czyli kulą sklejoną z opłatków, co symbolizowało pełnię, wieczność i porządek. Dało to początek współczesnym bombkom.

Dzielenie się opłatkiem

Dzielenie się opłatkiem to obyczaj czysto polski nie spotykany nigdzie indziej. Nienagannie biały opłatek symbolizował niewinność. Upieczony bez zakwasu, nawiązywał do chleba pieczonego przez Żydów przed wyruszeniem z Egiptu. Dzielenie się opłatkiem przy wigilijnym stole rozpoczynał pan domu i dawał tym znak, aby wszyscy obecni przebaczyli sobie winy. Zwyczaj bardzo szlachetny... i jakże nawiązujący do starych rzymskich, pogańskich obyczajów związanych z czasem przesilenia zimowego (święta solarne) które to święto nakazywało wybaczenie sobie win i zjednanie stanów (w Polsce w szlacheckich domach dzielono się opłatkiem ze służbą).

Puste miejsce przy stole

Kolejnym obyczajem bożonarodzeniowym jest pozostawienie pustego nakrycia dla zbłąkanego wędrowca, choć tak naprawdę miejsce to nasi przodkowie pozostawiali dla zmarłych bliskich, którzy przychodzili wieczerać z żywymi. Cóż... pogaństwo wiecznie żywe. 24 grudnia obchodzono dawniej pogańskie święto zmarłych i stąd podczas Wigilii tyle elementów typowych dla uczt zaduszych: rozpoczynanie wieczerzy po zmierzchu (normalnie nie jadano



po zmroku!), potrawy typowe dla takich uczt, zapalano świece, czyli światelka dla dusz pokutujących, rozmowy ograniczały się do spraw poważnych i rodzinnych, często wspomniano zmarłych.

Kolęda

Nierozłącznym elementem Świąt Bożego Narodzenia jest kolęda. Nazywa kolęda pojawiła się dawno temu. Wywodzi się ona od słowa „calendae”, tak bowiem Rzymianie nazywali początek każdego miesiąca. Owe kalendy, szczególnie styczniowe, czyli noworoczne, obchodzili bardzo radośnie, bawili się, śpiewali, składali sobie życzenia i obdarowywali prezentami. Kościół katolicki zniósł stary, pogański zwyczaj obchodzenia kalend, zachowała się jednak tradycja śpiewania pobożnych pieśni, sławiących narodziny Chrystusa, odwiedzania się w domach, kupowania świątecznych podarunków. W ten sposób do języka naszych dziadków weszło łacińskie słowo „calendae”, czyli kolęda. Trudno dziś ustalić dokładnie czas, kiedy pierwsze kolędy pojawiły się w Polsce. Prawdopodobnie mogło to być już w XIII wieku, kiedy to przybyli do nas ojcowie franciszkanie. Wzorem założyciela swego zakonu, św. Franciszka z Asyżu, który pierwszy urządził żłóbek wyobrażający Boże Narodzenie, propagowali kult Dzieciątka Jezus. Oni to zaczęli urządzać po kościołach szopki, oni też pierwsi zorganizowali jasełka – ruchome przedstawienia scen Bożego Narodzenia. Przy takich widowiskach na pewno śpiewano też i stosowne pieśni. Najdawniejsze kolędy, które znamy, pochodzą z wieku XV, a najpopularniejsza z nich to kolęda „Anioł pasterzom

mówił”. Kolędy nigdy nie poszły w zapomnienie, bo śpiewali je z ochotą wszyscy, młodzi i starzy, przekazywano je z pokolenia na pokolenie, a gdy wynaleziono druk, drukowano je. Kolejne wieki przyniosły nowe kolędy, a największy ich rozkwit datuje się na wiek XVII i XVIII. Wówczas powstały znane do dziś kolędy, jak: „Wśród nocnej ciszy”, „Lulajże Jezuniu”, „Bóg się rodzi” i inne.

Czas wróżb i przesądów

Nadszedł również czas wróżb i przesądów, skoro już obecnością swą zaszczylicili wigilijną wieczerzę zmarli. Panny o północy obejmowały drewniane płyty i wyliczały po sztachetach czy wyjdą w tym roku za mąż, zwierzęta miały przemawiać ludzkim głosem, a skosztowanie każdej potrawy zapewniało dostatek na cały rok. Wróżenie rozpoczyna się 25 grudnia, a każdy dzień odpowiada kolejnym miesiącom nadchodzącego roku. Jeżeli na przykład 25 grudnia jest sucho i mroźno, to taki będzie styczeń, jeżeli 30 grudnia pada deszcz, to czerwiec będzie deszczowy.

Prezenty

Czaru współczesnym wigiliom dodają w cudowny sposób pojawiające się pod choinką prezenty, które do końca nie wiadomo kto przynosi. W niektórych domach jest to święty Mikołaj, w innych niewiadomego pochodzenia gwiazdka, w innych aniołek jakiś, czy dobry duszek.

Zajrzyjmy jak obchodzone są święta Bożego Narodzenia przez inne narody.

Hiszpania

W Hiszpanii odpowiednikiem opłatka jest chalwa. Przed Bożym Narodzeniem każda hiszpańska rodzina zaopatruje się w nową szopkę. Wigilijna wieczerza rozpoczyna się po pasterce. Następnie wszyscy wychodzą na ulice oświetlone tysiącami barwnych żarówek, śpiewają kolędy, tańczą i bawią się do rana. Głównym daniem jest pieczona ryba oraz „ciasto Trzech Króli”, w który zapieka się drobne upominki. Prezenty rozda-

wane są 6 stycznia, w święto Trzech Króli, na pamiętkę darów, które Jezus otrzymał od mędrców ze Wschodu.

Wielka Brytania

W Wielkiej Brytanii wigilijny posiłek zaczyna się w południe w ścisłym gronie rodzinnym. Obiad, bo trudno tu mówić o wieczerzy, składa się z pieczonego indyka i „płonącego puddingu”. Wieczorem w Wigilię angielskie dzieci wywieszają swoje pończochy za drzwi, by nazajutrz rano odnaleźć je wypełnione prezentami. Tu narodził się zwyczaj pocałunków pod jemiolą wiszącą u sufitu. Taki pocałunek przynosi szczęście i spełnienie życzeń. Londyn jest też ojczyzną pierwszych kartek z życzeniami. W 1846 roku Jon Horsley z Anglii zaprojektował pierwszą kartkę świąteczną z napisem „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i Szczęśliwego Nowego Roku”.

Szwecja

W Szwecji Święta Bożego Narodzenia rozpoczynają się w pierwszą niedzielę adwentu. Tradycyjna szwedzka ucztę składa się z iutfisk, czyli rozmoczonej suszonej ryby o dość mdłym smaku. Potem podaje się galaretkę wieprzową, głowiznę i chleb, a na deser pierniczki. Nie stawia się wolnego nakrycia na stole, ale za to odwiedza się samotnych. Szwedzi nie śpiewają kolęd, lecz tańczą wokół choinki.

Niemcy

W Niemczech „Boże Narodzenie” obejmuje trzy dni: 24 grudnia – „Wigilię”, pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, narodziny Jezusa Chrystusa (25.12.) i drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia (26.12.). W Wigilię w chrześcijańskich rodzinach przed lub po uczestnictwie w Mszy świętej zapala się świece na choince i wtedy rozpoczyna się „gwiazdka” tzw. „Bescherung”. Śpiewa się lub słucha się kolęd i członkowie rodziny obdarowują się wzajemnie prezentami. Dzieciom opowiada się legendę mówiącą, iż prezenty przyniósł Święty Mikołaj lub Dzieciątko Jezus. Wiele rodzin wynajmuje nawet Mikołaja, którego rolę odgrywa często

studenci, przebrani w kostiumy. W pierwszym i drugim dniu Świąt Bożego Narodzenia wielu ludzi udaje się do kościoła na świąteczne msze. 25 i 26 grudnia są dniami świątecznymi wolnymi od pracy.

Grecja

Greckie Boże Narodzenie – to wielkie świętowanie. Gorący okres rozpoczyna się 6 grudnia – w dniu świętego Mikołaja, kiedy to wszyscy wymieniają się podarunkami i trwa to aż do 6 stycznia – święta Trzech Króli. Na dzień przed Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem dzieci śpiewają coś na wóz kolęd, chodząc od domu do domu. Te kolędy mają błogosławić domostwa. Często kolędy są śpiewane przy akompaniowaniu małych metalowych trójkąciaków i małych glinianych bębenków. Za śpiew dzieci często nagradzane są słodyczkami i suszonymi owocami. Na prawie każdym stole można znaleźć Chrystosomo (Chleb Chrystusa). Jest to okrągły bochenek ozdobiony na szczycie krzyżem, wokół którego ludzie stawiają symbole z ciasta przedstawiające wszystko to, co oznacza długotrwałość. Jeśli biesiadnicy pochodzą z wyspy i są rybakami na ich stole zobaczysz chleb z rybą. Choinki nie są powszechnie używane w Grecji, a prezenty są wręczane 1 stycznia. Obecnie w większych miastach można zobaczyć ulice przystrojone w lampki i dekoracje. Powoli zostaje też przejmowana zachodnia tradycja wysłania kart z życzeniami świątecznymi do przyjaciół i rodziny.

Francja

We Francji świąteczną atmosferę wyczuwa się już na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem. Wszystkich opanowuje gorączka zakupów. Właściciele sklepów prześcigają się w pomysłach dekorowania wystaw. Ulice miast przystrojone są kolorowymi lampkami i gwiazdkami. Święta Bożego Narodzenia pełnią we Francji bardzo ważną rolę. Są to święta rodzinne. Francuzi wręczają sobie ręcznie robione kartki świąteczne oraz kupują prezenty. We Francji, w przeciwieństwie do Polski, nie ma Wigilii. Francuzi biorą udział we mszy, a 25 grudnia siadają do wspólnego obiadu. W ten dzień je się indyka nadezwane go kasztanami i pije dużo szampana. We Francji dzieci wierzą, że to mały Jezus przynosi im prezenty, które w wigilijną noc wkłada do bucików ustawionych najlepiej przy kominku.

Czechy i Słowacja

Boże Narodzenie w Czechach i na Słowacji jest okresem szczególnym. Święta są tu czasem wzajemnych spotkań rodzinnych oraz dniem wolnym, w którym można się dobrze zabawić. Już kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem, zarówno w Czechach, jak i na Słowacji wystawiają sklepowe przyciągające klientów specjalnymi promocjami i kolorowymi świecadelkami.

Prawdziwy okres świąteczny rozpoczyna się jednak dopiero 24 grudnia. Ludzie wierzący przez cały ten dzień zachowują post, następnie składają sobie życzenia i obdarowują się prezentami. W prawie każdym domu stoi choinka, wokół której gromadzą się domownicy, zasiadający do wspólnej kolacji, gdy na niebie ukaże się pierwsza gwiazdka.

Na stole nie może zabraknąć „vánočky” – tradycyjnego białego ciasta, przypominającego wyglądem i smakiem polską słodką chałkę z bakaliami. Pierwszą spożywaną potrawą są, podobnie jak w Polsce, opłatki. Następnie na stół wędruje zupa grzybowa oraz obowiązkowo ryba, a najlepszą oczywiście jest karp. Na Słowacji, a przede wszystkim w okolicach Bratysławy, w miejsce zupy grzybowej często podawany jest kapuśniak. Czesi i Słowacy przywiązują też ogromną wagę do suszonych owoców oraz jabłek, które służą nie tylko do jedzenia, ale także do świątecznych wózków.

Włochy

We Włoszech Święta Bożego Narodzenia mają tysiącletnią tradycję. Włosi wysyłają wiele kartek z życzeniami do rodziny i przyjaciół. 8 grudnia ubiera się choinkę oraz budowane są żłobki w kościołach.

24 grudnia obchodzona jest Wigilia – uroczysta kolacja, podczas której jedzone są typowe włoskie ciasta – penettone i pandoro, a także nugat, migdały i orzechy laskowe. Włosi biorą udział w pasterce. W czasie Bożego Narodzenia rozdają prezenty. Centralne ulice Rzymu zdobią wielkie choinki.

Rosja

We współczesnej Rosji Boże Narodzenie jest obchodzone po świętach Nowego Roku, 7 stycznia. To święto bardzo radosne, wiele osób udaje się wtedy do cerkwi, wszyscy składają sobie życzenia. Rozpoczyna

się uroczysta, rodzinna kolacja, czyli Wigilia. Przygotowuje się postne danie z ziaren pszenicy, miodu i kaszy zmieszanych z migdałowym lub makowym mlekiem. Do kaszy dodaje się orzechy lub mak. Takim daniem rozpoczyna się Wigilia. Na rosyjskim stole wigilijnym obowiązkowo powinno znaleźć się 12 dań – zgodnie z liczbą apostołów – m.in.: bliny, ryba i mięso w galarecie, pieczone pierogi miodowe. Wieczere wigilijną poprzedza ścisły post, który przestrzegany jest, aż do pojawienia się pierwszej gwiazdki, symbolizującej gwiazdę Betlejemską. Do tradycji Świąt



Bożego Narodzenia należy m.in. zapalenie świec w oknach i ognisk na ulicach, które mają rozgrzać w zimową, mroźną noc narodzone Dzieciątko. Dzieci z papierowymi gwiazdami i lampionami w rękach pukają do tych domów, w których zapalono świece, aby złożyć życzenia domownikom, zaśpiewać koledy, a nawet odegrać całe przedstawienia. Gospodarze zapraszają ich do domu, do swojego

stołu lub nagradzają świątecznymi smakołykami.

Węgry

Na Węgrzech w czasie świąt organizuje się wielkie bale dla dzieci. Najważniejszy z nich odbywa się w stolicy kraju – Budapeszcie, w budynku parlamentu. Uczestniczą w nim znani aktorzy i artyści. Pod obrus, leżący na stole, wkłada się sianko. Wyciągnięcie najdłuższego żdźbła wróży długie życie. W czasie Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia Węgrzy jedzą pieczonego indyka, zupę rybną oraz rosół z kury. Na stole nie może

zabraknąć ciasta z makiem, bo mak zapewnia rodzinie miłość.

Austria

W Austrii po piątej po południu rozbrzmiewa w oknach mały dzwoneczek. To znak, że rozpoczyna się świąteczna kolacja. Austria jest ojczyzną jednej z najpiękniejszych koled na świecie „Stille Nacht, heilige nacht” („Cicha noc, święta noc”).

Dania

W Danii na Wigilię podaje się słodki ryż z cynamonem i pieczoną gęś z jabłkami. Tradycyjnym daniem jest budyń z ryżem, w którym gospodyni ukrywa migdał. Kto go znajdzie, ten dostaje świnkę z marcepanu, która zapewni szczęście przez cały rok.

Meksyk

W Meksyku już 15 grudnia wieszają pod sufitem piniatę – gliniane naczynie wypełnione słodyczami. Pod nią gromadzą się dzieci. Jedno z nich rozbija piniatę kijem, co rozpoczyna wyścig w zbieraniu słodyczy. Głów-



*Niech magiczna noc Wigilijnego wieczoru przyniesie Ci spokój i radość.
Niech każda chwila Świąt Bożego Narodzenia żyje własnym pięknem, a Nowy Rok obdaruje Cię pomyślnością i szczęściem.
Najpiękniejszych Świąt Bożego Narodzenia!
Niech spełniają się wszystkie Twoje marzenia!*

grudnia jest normalnym dniem pracy. Nie umniejsza to jednak roli, jaką Boże Narodzenie pełni w kulturze USA. Każda amerykańska rodzina pieczolowicie i z dużym wyprzedzeniem przygotowuje się na ich nadejście. Ulice i domy przystrojone są tysiącem migoczących światełek i lampek. W ogródkach i witrynach sklepowych pojawiają się świąteczne dekoracje. Wszędzie rozbrzmiewa dźwięk koled, a w powietrzu unosi się zapach choinek. Jedną z ważniejszych tradycji związanych z Bożym Narodzeniem w Stanach Zjednoczonych jest dawanie prezentów – wzajemne obdarowywanie się. W każdym domu pod choinką piętrzą się prezenty, a ich otwarcie następuje w świąteczny poranek przed śniadaniem. Kulminacyjnym punktem Bożego Narodzenia jest uroczysty obiad, na którym nie może zabraknąć bliższej i dalszej rodziny.

KG

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie

...Święty Mikołaj ma dobre serduszek, bo kładzie prezenty pod poduszką...

Tymi słowami dzieci z polskiej grupy przedszkolnej w przedszkolu nr 48 przywitały dostojnego gościa, na przybycie którego czekały cały rok. Czekają, czekały, niecierpliwiły się, szczególnie przed samym spotkaniem ze świętym. Już chciały biec do sali, a tu jeszcze komuś mama poprawia strój, układa skrzydełka aniołkowi, a pani wychowawczyni jeszcze powtarza słowa. Aż nareszcie! Idziemy do sali!

Tu już na dziecięcych ławeczkach przycupnęli zaaferowani rodzice, chyba bardziej przejęci od samych maluchów. Spotkanie z Mikołajem rozpoczęło się zabawami i tańcami, deklamacją wierszy i śpiewaniem piosenek – tak aby rodzice mogli ocenić umiejętności swych pociech. Przy takich okazjach dzieci są bardzo bezpośrednie. Jak ma coś do powiedzenia w tym momencie mamie, to wstaje i bez skrępowań podchodzi do mamy. Cierpliwie wychowawczyni już przyzwyczajona są do takich zachowań i reagują spokojnie: „Idź do mamy”. Takie zabawy w dużej sali to dla dzieci dodatkowa atrakcja tego dnia. Ponieważ w przedszkolu

Mikołaj w przedszkolu



często organizuje się poranki z różnych okazji, dzieci prezentują się na scenie przy okazji różnych imprez, to dla nich jest to rzeczą normalną. „Takie zajęcia mają też główne zadanie – przygotowania dzieci do nauki w szkole, – mówi wychowawczyni grupy Jolanta Szymańska. – Przy każdej okazji uczą się jakichś nowych wierszyków, nowych zabaw i tańców i tym

ćwiczą pamięć przed tym co czeka je w szkole. Dzieci w grupie mam w różnym wieku. Jest to kłopotliwe, ale i zarazem ma swoje dobre strony, bo młodsze obserwują starsze, a te uczą się pomagać młodszym. Wdzięczna jestem też rodzicom dzieci, którzy pracują z nimi w domu. Powtarzają zadane wierszyki, przygotowują stroje, które często są bardzo pomy-

słowe, choć wykonane z jakichś podręcznych materiałów. Na to spotkanie ze św. Mikołajem mamy tylko aniołki, a te stroje są bardzo tradycyjne, ale inne poranki wykazują pomysłowość rodziców. Bez tego nie byłoby tak świetnej zabawy”.

Po tym wstępie nareszcie do sali wszedł święty Mikołaj z białą brodą, w mitrze i kapie. Zmęczony

usiadł na fotelu i tu dzieci znów prezentowały swoje umiejętności i gry, zabawy, do których wciągnęły również i Mikołaja. Tu znów czuło się różnicę wieku. Te dzieci, dla których to nie jest pierwsze spotkanie ze świętym czuły się pewnie i nie miały tremy. Natomiast dla kogo było to pierwsze spotkanie – były trochę onieśmiałe, a nawet, na początek, przestraszone. Ale przy wspólnej zabawie nastroje się poprawiły i dzieci garnęły się do gościa bez obawy. Bawiono się świetnie.

Nastał moment na który wszyscy czekali – rozdanie prezentów. Dzieci z niecierpliwością czekały na swoją kolejkę i na swój upominek. Podchodziły grzecznie po kolei do św. Mikołaja i przedstawiały mu się. Każde dziecko opowiadało wierszyk, zma-wiało modlitwę, czy śpiewało piosenkę i otrzymywało torebkę z upominkiem, gdzie były i słodycze, i książeczki.

To święto dla malusińskich nie byłoby możliwe, bez wsparcia konsulatu generalnego RP we Lwowie, który zadbał o prezenty, a i bez serca i pracy, którą dzieciom na codzień oddają wychowawczynie – Jolanta Szymańska, Elżbieta Kapustina i Lesia Wojciechowska.

Szczęśliwe buzie dzieci i słowa: „Mamo, nie zabieraj mnie jeszcze” – są najlepszym dowodem atmosfery, panującej w przedszkolu i najlepszą nagrodą za tą nielekką pracę wychowawczyń.

Święty Mikołaj mieszka w Poznaniu

Świat bez świętego Mikołaja byłby smutny. Na pewno bardziej smutni i bardziej opuszczeni czuli by się starsi, samotni mieszkańcy Lwowa, gdyby nie Stanisław Łukasiewicz i Bożena Łączkowska z poznańskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

KSZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
JULIA ŁOKIETKO
zdjęcia

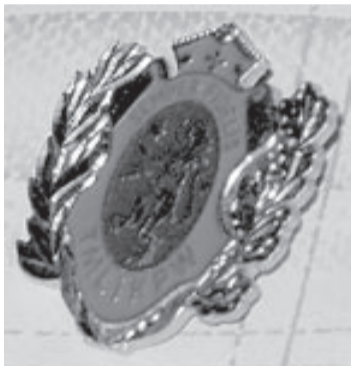
Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. Okres, gdy gromadzą się rodziny, zjeżdżają znajomi, krewni aby wspólnie przelamać się opłatkiem, przekazać sobie serdeczne życzenia i wspólnie spędzić te święta. Co mają zrobić osoby samotne? W takich chwilach czują się jeszcze bardziej osamotnione, opuszczone i zapomniane. Żeby przynajmniej jakoś okraszyć te święta już tradycyjnie co roku, na przełomie listopada i grudnia, do Lwowa z dalekiego Poznania przyjeżdżają członkowie TML i KPW z prezesem oddziału panią Bożeną Łączkowską. Motorem całej akcji od lat jest pan Stanisław Łukasiewicz.

– Akcja ta, niekoniecznie mikołajkowa, bo pierwotnie staraliśmy się wysłać paczki kilka razy do roku przy okazji wyjazdów wycieczek z Poznania do Lwowa. Ostatnie lata jednak organizujemy przyjazd do Lwowa większą grupą. Zawsze są to członkowie naszego oddziału, harcerze. Mamy zawczasu przygotowane paczki żywnościowe dla osób samotnych, paczki z artykułami biurowymi dla dzieci. Przez te kilka dni pobytu we Lwowie nasi harcerze roznoszą te paczki pod wskazane adresy. Ogółem takich wyjazdów do Lwowa mieliśmy już 27. Ale jak mówię, przez ostatnie chyba 10 lat przyjeżdżamy raz do roku. Oprócz tego, ponieważ nasz oddział opiekuje się Polakami pozostałymi w Brzeżanach, to również i tam wozimy nasze dary, – opowiada pan Stanisław.

– Dary do paczek zaczynamy zbierać po Dniach Lwowa, które odby-



Stanisław Łukasiewicz



Honorowa odznaka członka TML i KPW

wają się u nas we wrześniu. Dajemy ogłoszenie w szkołach, kościołach, w lokalnej prasie i radiu. Harcerze organizują zbiórki darów w sklepach. W taki sposób gromadzimy to wszystko, z czym do was przyjeżdżamy. Muszę tu podkreślić, że naprawdę bardzo ofiarnie włączają się do tej akcji harcerze. Kiedyś była to poznańska drużyna Orłąt. Dziś młodzi harcerze wyrosli już na drużynowych, mają swoje zastępy i nadal nam pomagają. Taki przyjazd do Lwowa jest dla nich możliwością poznania tego miasta, jego historii, zabytków. Ale nie to jest



Irena (od lewej) i Jadwiga Zappe z harcerzami

najważniejsze. Tu widzą w jakich warunkach mieszkają Polacy, jakie mają potrzeby, ile dla utrzymania polskości w tym mieście robią.

Trzeba tu zaznaczyć, że jednak kryzys daje się we znaki. Coraz trudniej pozyskać jakieś dary. Trzeba dużo zabiegać o wszystko, chociaż mamy stałych sponsorów, którzy już od lat nas wspomagają, darując swoje wyroby. W akcję dla Lwowa są zaangażowani wszyscy członkowie naszego towarzystwa, ich rodziny i wielu serdecznych ludzi.

W tym roku jednak mamy szczególną okazję odwiedzenia Lwowa. Co roku nasz oddział występuje do Zarządu Głównego TML we Wrocławiu o przyznanie Odznaki Honorowego Członka TML. Bardzo mi miło

powiedzieć, że w tym roku Zarząd Główny przychylił się do naszej prośby i przyznał taką odznakę siostrze Irenie i Jadwidze Zappe ze Lwowa. Są to osoby niezwykle zasłużone i uważaliśmy, że jest to najmniejsze co dla nich możemy zrobić. Oprócz tego nasz Oddział corocznie przyznaje swoje wyróżnienie. Jest to statuetka Iwa – „Semper Fidelis” W tym roku został nią uhonorowany prof. Stanisław Nicieja. Laureatami tej nagrody są Maciej Plażyński, Andrzej Stelmachowski, Andrzej Przewoźnik i inne osoby, które swoją działalnością przysłużyły się upamiętnieniu Lwowa. Nagrody te wręczane są w czasie otwarcia Dni Lwowa.

Na uroczyste wręczenie honorowej odznaki Jadwidze i Irenie Zappe

została wytypowana delegacja, w skład której weszli prezes oddziału poznańskiego TML pani Bożena Łączkowska, pan Stanisław Łukasiewicz i grupa harcerzy.

Panie Irena i Jadwiga były zaskoczone, wzruszone i ucieszone. Zawsze serdecznie odnosiły się do młodzieży i bardzo ucieszyły się z obecności harcerzy. Zaczęły wspominać swoje ostatnie przed wojną wakacje na obozie harcerskim nad brzegiem Dniestru.

Wręczając honorową odznakę Zarządu Głównego TMLiKPW pani Bożena Łączkowska powiedziała: „Jesteśmy dumni, że możemy tu być dziś i wręczyć paniom tę odznakę. Z całego serca jesteśmy wdzięczni za to wszystko, co panie robią we Lwowie. Proszę przyjąć ten skromny wyraz naszego uznania”. Z głęboką wdzięcznością i zainteresowaniem obdarowane zaczęły oglądać odznaki i zachwycać się dawnym kształtem Iwa, przedwojenną kolorystyką – niebiesko-czerwoną odznaki. Rade gościom panie Zappe zaczęły wspominać czasy wojenne i powojenne losy Polaków we Lwowie, losy swojej rodziny. Była to lekcja historii na żywo, którą z prawdziwym przejęciem chłonęli obecni harcerze. Wspomnienia z okresu okupacji w tą opowieść wplotła też prezes Łączkowska.

Gdyby nie kolejne umówione spotkania, to wspólnym wspomnieniem nie byłoby końca. Ale czas nagiął i trzeba było zakończyć spotkanie. Wzruszone Jadwiga i Irena Zappe trzymały w rękach odznaki TML, spoglądając na nie raz po raz, dziękując za wyróżnienie i za odwiedzinę. Życzyły wszystkim opieki Bożej i Matki Boskiej. Takie słowa pożegnania można dziś chyba usłyszeć tylko we Lwowie!

Dlaczego to robia...

Wychodząc z mieszkania pań Zappe, poprosiłem o krótki wywiad harcerkę Joannę Wiśniewską, która od wielu lat przyjeżdża do Lwowa.

Jest to już twój nie pierwszy przyjazd do Lwowa w ramach akcji poznańskiego TML?

Jestem we Lwowie już po raz siódmy czy ósmy. Za każdym razem widzę zmiany we Lwowie. Jeżeli chodzi o ludzi, których odwiedzamy to trudno mi o nich mówić, bo już wielu odeszło. Za każdym razem powtarzam panu Stanisławowi, że ten raz jest ostatni. Nie mogę patrzeć na warunki, w których mieszkają tu starsi Polacy. Zawsze strasznie się wzruszam. To co my dla nich robimy – jest kroplą w morzu ich potrzeb. Ta paczka, którą my przynosimy to dla nas jest nic, a dla nich jest to wielka rzecz. Pamięć o nich – to jest najważniejsze. Z jednej strony ciężko to rzucić, a z drugiej strony teraz już pracuję i nie zawsze mam możliwość wyjazdu.



Czy ciągnie cię do Lwowa, gdy zbliża się okres wyjazdu?

Na razie nie mogę z tego zrezygnować, a i pan Stanisław zawsze prosi mnie o pomoc, bo już mam doświadczenie. Ja też zostałam uhonorowana złotą odznaką TML, ale nie czuję się godna jej nosić, bo w tej akcji pracuje wiele osób, wiele drużyn harcerskich z Poznania i ze Swarzędza.

To niesamowita rzecz. Pomagamy przy zbiorce żywności w sklepach, w parafiach. Potem pomagamy przy kompletowaniu paczek.

Ilu harcerzy przyjeżdża?

W tym roku jest nas dużo, bo 14 osób. W zeszłym przyjechało 6 osób. Ilość osób zależy od wielu rzeczy: możliwości finansowych, szkoły, studiów, pracy.

Czy macie siły by po roznoszeniu paczek jeszcze coś we Lwowie zobaczyć?

Mamy trochę czasu wolnego i w programie mamy wycieczkę po Lwowie i na Cmentarz Łyczakowski. W tym roku okazało się, że jedna z koleżanek ma na Łyczakowie grób pradiadka i odnalazła go. Zawsze odwiedzam Wysoki Zamek, bo z nim wiążą się moje bardzo osobiste wspomnienia.

Czy przyjedziesz znów w następnym roku?

Bardzo bym chciała, jeżeli tylko moja praca i sytuacja osobista na to pozwoli.

Dziękuję za rozmowę.

Co dalej...

O kilka słów poprosiliśmy też prezes poznańskiego Oddziału TML i KPW panią Bożeną Łączkowską.

– Już od lat organizujemy pomoc dla ludzi potrzebujących we Lwowie. Pomysłodawcą i organizatorem tej akcji jest pan Stanisław Łukasiewicz. To od jego energii i zaangażowania wiele zależy. Do organizacji włączają się członkowie towarzystwa, harcerze, a nawet osoby, które nie są członkami TML. Po każdej akcji na spotkaniu opłatkowym pod koniec grudnia zdajemy naszym członkom relację z wyjazdu do Lwowa. Zapraszamy jesteśmy też do rozgłośni Radia Emaus i do telewizji kablowej na wywiad o wyjeździe. W gablotach kościołów, gdzie były organizowane zbiórki umieszczamy fotoreportaże z akcji.

Czy młodzi ludzie wstępują obecnie do TML?

W tym roku przyszło do nas dwoje młodych ludzi nie mających żadnych powiązań sentymentalnych z Kresami. Zdziwieni jesteśmy ich wiedzą o Lwowie. Moja córka też stała się członkiem Towarzystwa. Szkoda, że dzieci innych członków nie wykazują takiego zainteresowania i nie kontynuują tradycji rodzinnych.

Muszę tu powiedzieć, że w tym roku zaangażowanie społeczeństwa,



młodzieży, księży, zakonu salezjanów przerosło nasze oczekiwania i jesteśmy wdzięczni wszystkim darczyńcom, którzy przyczynili się do zorganizowania tegorocznej akcji.

Dziękuję za rozmowę.

Epilog?

Minie kilka dni pobytu we Lwowie. Rozniesione zostaną wszystkie paczki. Osobom, które odwiedzili harcerze pozostanie świadomość, że pamiętają o nich w Kraju. Będzie ona dodawała im otuchy w być może, samotny wieczór Wigilijny. A w dalekim Poznaniu przy wigilijnych stołach też na pewno będą wspominać Lwowiaków. Ta więź pozostanie.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ W TKPZL

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej zrobił wszystko, żeby św. Mikołaj przyniósł radość w wiele domów Polaków lwowskich, również tych najmniejszych, tak i ludzi starszych, często chorych i samotnych. Gościnnie przyjęła wszystkich polska szkoła nr 10. W sali gimnastycznej najpierw zgromadziły się dzieciaki, całkiem małe i trochę starsze. Większość siedziała na podłodze, czekały na św. Mikołaja, niektóre, najmniejsze, nawet ze strachem: bały się do niego podchodzić bez mamusi lub babci. Kochających rodziców i dziadków też nie zabrakło.

Miłe spotkanie ze św. Mikołajem, z bajką, z prezentami i aniołkami zainauguował krótkim słowem wstępnym prezes TKPZL Emil Legowicz. Przywitał dzieci, ich rodziców i przybyłych z Krakowa gości. Właśnie krakowska młodzież z gimnazjum i liceum oo. pijarów, razem ze swoimi nauczycielami i zakonnikami, opiekunami młodzieży, zorganizowała zbiórkę prezentów dla dzieci i osób starszych na Wschodzie i przywiozła dary do Lwowa. Do młodzieży z Krakowa w tej akcji charytatywnej dołączyli się również uczniowie z miejscowości Myślenice koło Krakowa. Do Lwowa przyjechało około 50 osób na czele z nauczycielami i ojcami pijarami. Wśród nich był też św. Mikołaj i chórek aniołów z czterech dziewczyn, a na gitarze przygrywała przy ich śpiewach ubrana za diabełka, piąta.

Przez kilkadziesiąt minut płynęły świąteczne melodie, które podśpiewywały niektóre dzieci, a nawet ich rodzice. Dalej na dzieci czekały prezenty, zabawki, słodycze, kolorowe kredki, etc. Każdy dostał dwie wielkie reklamówki, a jeszcze zrobił sobie na pamiątkę zdjęcie ze św. Mikołajem i aniołkami. Ojcowie pijarzy zorganizowali też zabawy z dziećmi – otóż nikt nie nudził się i wszyscy



Radosne spotkanie lwowskich dzieciaków ze św. Mikołajem



Pomocnicy św. Mikołaja z Krakowa

byli szczęśliwi. Ktoś już prosto na sali bawił się nowym samochodem, ktoś wyjadł z prezentu wszystkie słodycze.

Barbara Legowicz powiedziała korespondentowi Kuriera: „Zarząd Główny ułożył listę dzieci, które zaprosiliśmy na spotkanie ze św. Mikołajem. Razem około 100 osób. Staraliśmy się zaprosić najmłodszych – od dwu do siedmiu – ośmiu lat. Są wśród nich dzieci i wnuki członków Towarzystwa, dzieci z polskich przedszkoli i pierwszej – drugiej klasy szkoły. Dla najmłodszych to naprawdę wydarzenie. Bardzo trud-

no było ułożyć listę potrzebujących osób starszych. Jest ich dużo wśród członków Towarzystwa, a też wśród osób niezrzeszonych. Wybraliśmy 50 osób. Trzydzieści z nich przyszło tutaj do szkoły i otrzymają swoje prezenty od razu po zakończeniu zabawy dzieci. Reszta, 20 osób – to ludzie chorzy, którzy tu przyjść nie mogli. Młodzież z Krakowa, która przywiozła prezenty, dostała adresy tych osób i po południu będzie roznosić prezenty po domach. Będzie to dla nich również wydarzenie – zobaczą jak żyją starsi Polacy we współczesnym Lwowie”.

Przypadkowo, około godziny piętnastej spotkałem jedną z grup młodzieży, która na czele z księdzem, niosła prezenty po domach. Szli z listą i mapą Lwowa w rękę. Pomogłem odnaleźć im jeden z najbliższych adresów.

Rozmawiałem również z gośćmi z Krakowa. Nauczycielka, Monika Kucala powiedziała: „Jestem polonistką z liceum oo. pijarów w Krakowie. Przyjechaliliśmy razem z naszym duchowym opiekunem, o. Fabianem i z klerykami z zakonu pijarów. Akcją zorganizowała w pierwszej kolejności nasza młodzież, uczniowie. To ich inicjatywa. Zbiórka darów dla Polaków na Wschodzie spotkała się z wielkim zainteresowaniem nie tylko młodzieży, ale i ich rodziców. Dary zbieraliśmy też w parafiach pijarskich w Krakowie. Z pomocą dołączyły się również firmy „Wawel” i „Jutrzenka”, które dostarczyły słodycze. Uczniowie pakowali zebrane rzeczy i słodycze w liceum. Wolontariuszy było znacznie więcej, wszyscy chcieli przyjechać do Lwowa, zabrakło miejsc w autobusie. A jest nas tu około 50 osób. Jesteśmy w stałym kontakcie z Towarzystwem Miłośników Lwowa w Krakowie. Rok temu byliśmy w Samborze. Przy-



Zdjęcie z Mikołajem na pamiątkę

woziliśmy dary dla ludzi starszych, chorych. Chodziliśmy po domach, wręczaliśmy prezenty tym ludziom według listy, którą ułożył miejscowy ksiądz rzymskokatolicki. W tym roku już byliśmy we Lwowie na 1 listopada. Sprzątaliśmy z naszą młodzieżą na Cmentarzu Łyczakowskim kwatery powstańców styczniowych. Ta akcja była organizowana w porozumieniu z TML z Krakowa. Teraz działamy w porozumieniu z TKPZL, z prezesem Emilem Legowiczem. Mamy bardzo sympatyczną młodzież, która włączyła się do tej akcji całym sercem”.

Najlepszym podziękowaniem dla wszystkich, kto brał udział w organizacji tego święta był wesoły śmiech dzieci i często łzy wdzięczności w oczach ludzi starszych. Tak przyjemnie nieść radość bliźniemu. Potrzebne dla tego, w pierwszej kolejności, nie pieniądze, lecz potrzeba serca. I tę serdeczność okazali wszyscy, kto brał udział w tej akcji: Zarząd Główny TKPZL, oo. pijarzy, młodzież z Krakowa, nauczyciele i młodzi aktorzy, którzy grali i śpiewali dla lwowskich dzieciaków, a nawet mały diabełek z gitarą.

KG

RENATA KLĘCZAŃSKA

Grudzień dla wielu, zarówno dorosłych, jak i dzieci, jest miesiącem magicznym. Jego magia zaczyna się już na początku miesiąca, gdy Mikołaj przybywa na swych saniach, by każdego, kto zasłużył, obdarować należnym mu upominkiem. Skąd przybywa dobry Święty? Otóż z Rovaniemi, z Finlandii (albo może z Drøbak w Norwegii?). To właśnie stamtąd wyruszają wypełnione prezentami sanie, zaprężone w renifery. I choć w tym roku śnieg nie dopisał, Święty, jak zawsze, poradził sobie z transportem. I nie ma znaczenia, czy nazwiemy Go Santa Clausem, Dziadkiem Mrozem czy właśnie Świętym Mikołajem, w swej chatce na kole podbiegunowym przygotowuje, co należy i nie zawiedzie.

W tym roku w Średniej Szkole Ogólnokształcącej nr 3 w Lwano-Frankowsku (d. Stanisławowie) uczniowie i ich wychowawcy gościli Mikołaja. Klasa II W pod kierunkiem pani Henryki Moczwały przygotowała imprezę

Mikołaj przybywa z Laponii?



mikołajką, która wprowadziła dzieci w nastrój przedświąteczny. Wiersze, piosenki, wspólna zabawa i ogromne emocje stały się udziałem nie tylko uczniów początkowych klas polskich, ale także najmłodszych Milusińskich z Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”.

„Świętym Mikołajem” dla tych dzieci był pan Włodzimierz Pastuszenko, prezes PHU KWANT Sp. zoo w Opolu, któremu serdeczne podziękowania składają członkowie Towarzystwa i pani prezes L. Kubicka.

Teraz przed uczniami poznawanie polskich tradycji świątecznych związanych z Wigilią i Bożym Narodzeniem, śpiewanie kolęd i pastorałek. Przed nami jeszcze Gwiazdka!

Życzymy więc Wszystkim wspólnych prezentów gwiazdkowych i tradycyjnych: Wesołych Świąt!

W DRODZE DO BETLEJEM

Żaden z ewangelistów nie podał daty narodzin Jezusa. Dopiero papież Jan I w VI wieku (525 rok) polecił mnichowi Dionizemu Małemu ustalić dokładnie datę narodzin Zbawiciela. Mnich obliczył, ale – jak się później okazało – pomylił się o 6-7 lat. Na podstawie ustaleń Dionizego, papież wprowadził pojęcie ery chrześcijańskiej, liczonej od fałszywie obliczonej daty narodzin Jezusa. I tak zostało do dzisiaj. Stolica Apostolska w IV wieku (354 rok) za dzień Bożego Narodzenia uznała 25 grudnia, w okresie zimowego przesilenia, zastępując w ten sposób obchodzone w starożytnym Rzymie pogańskie święto Niezwycięzonego Słońca.

Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy jego gwiazdę na wschodzie i przybyliśmy oddać Mu pokłon....
(Ewangelia wg Mateusza 2, 2)

EUGENIUSZ NIEMIEC

Znakomity pisarz i znawca Biblii Roman Brandstaetter pouczał, że „Biblia jest żywiołem bez dna i granic. Dlatego nie zrażaj się, jeżeli w Biblii czegoś nie zrozumiesz. Mądrzejsi od ciebie również nie rozumieli wszystkiego”. Pismo Święte to – w pewnym sensie – dzieje dialogu Boga z człowiekiem. Ewangelie we współczesnym rozumieniu jednak nie są dokumentami kronikarsko-historycznymi, bowiem opisują tylko te słowa, czyny i epizody z życia Jezusa, które nadawały się do osiągnięcia określonego celu, jakim było głoszenie uroczystego orędzia o Mesjaszu i dobrej nowiny o zbawieniu wiecznym, przeznaczonym dla potrzeb wspólnoty wiernych. Jednoznacznie mówi o tym Jan Ewangelista: „I wiele innych znaków, które uczynił Jezus, nie zapisano w tej księdze. Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym i abyście wierząc mieli życie w imię Jego” (Jan 20, 30-31). Wydarzenia przekazywane są w sposób zbeletryzowany przez autora, poprzez ich kompozycję, naświetlenie i interpretację. Sposób przekazu jest jedyny i oryginalny w całej historii literatury, dlatego nie należy szukać analogii z rodzajami literackimi używanymi w literaturze współczesnej. Pewnych podobieństw można się doszukiwać z tzw. literaturą faktu, rozumianą jako „narrację o charakterze dokumentarnym, mającej na celu wiarygodną relację o autentycznych wydarzeniach” (wg Janusza Sławińskiego). Różnica z współczesną literaturą faktu polega jednak na tym, że wydarzenia z życia Jezusa, autorzy Ewangelii opracowywali literacko i interpretowali, jak wierzymy – w świetle natchnienia Bożego.

Ewangelia Bożego Narodzenia

Okoliczności narodzenia Mesjasza i Jego dzieciństwo w Ewangelii są potraktowane bardzo skromnie. Właściwie można je znaleźć tylko w dwu pierwszych rozdziałach Ewangelii wg Mateusza i Łukasza. Nic też dziwnego, że Kościół w pierwszych trzech wiekach nie przywiązywał wagi do okresu narodzenia Zbawiciela, natomiast koncentrował prawie całą uwagę na fundamencie wiary, wynikającym z ukrzyżowania i zmartwychwstania.



Grotta Narodzenia Jezusa w Betlejem (źródło: E. Dehan – „Unser Besuch in Israel”, wyd. Tel Aviv 1989)

Żaden z ewangelistów nie podał daty narodzin Jezusa, więc nie była ona znana. Dopiero papież Jan I w VI wieku (525 rok), polecił uczonemu chronografowi mnichowi Dionizemu Małemu ustalić dokładnie datę narodzin Zbawiciela. Mnich obliczył, ale – jak się później okazało – pomylił się o 6-7 lat. Na podstawie ustaleń Dionizego, papież wprowadził pojęcie ery chrześcijańskiej, liczonej od fałszywie obliczonej daty narodzin Jezusa. I tak zostało do dzisiaj, bowiem z poprawiania nowego kalendarza zrezygnowano z uwagi na wielkość przewidywanego bałaganu, który by taki zabieg wywołał.

Nie lepiej też było z ustaleniem pory roku i miesiąca narodzin. Stolica Apostolska w IV wieku (354 rok) za dzień Bożego Narodzenia uznała 25 grudnia, w okresie zimowego przesilenia, zastępując w ten sposób obchodzone w starożytnym Rzymie pogańskie święto Niezwycięzonego Słońca i wesołe obchody tzw. Saturnaliów, podczas których trwał w imperium szal zabaw, pochodów i uczt. Chodziło o zastąpienie pogańskich zwyczajów świętem chrześcijańskim.

Późniejsze badania Ewangelii wg Łukasza (1,8 i 1,20), informujące o macierzyństwie matki Jana Chrzciciela Elżbiety, pozwalały dojść do dość dokładnej informacji, że Jezus narodził się na przełomie września i października, gdy wokół Betlejem pasterze wypasali jeszcze owce i pilnowali ich nocami. W grudniu,

z uwagi na porę deszczową, zimno, a nawet czasem śnieg, ani wówczas ani obecnie w Betlejem nikt nie wypasa owiec w polu. Szerzej o tych pomyłkach pisał przed dwoma laty w Kurierze Galicyjskim pan Szymon Kazimierski w artykule pt: „Boże Narodzenie” (KG nr 23-24/2009).

Nieporozumienie dotyczy także pojęcia „stajenki” betlejemskiej, do czego nieco przyczynił się ewangelista Łukasz pisząc: „...owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie”. Dedukcja wiernych (w Ewangelii nie ma mowy o stajni), doprowadziła – głównie przez kołеды – do utrwalenia mniemania, że Maryja rodziła w stajni. Tymczasem, jak podkreśla biblista ks. prof. Roman Bogacz – jest to niemożliwe, bowiem „żaden Żyd nie zgodziłby się, aby jego dziecko narodziło się w stajni, bo narodziny były prawie świętym wydarzeniem”.

Gdzie więc narodził się Jezus? Oczywiście w skalnej grocie, w której panowała stała temperatura ok. 18 stopni. W takich grotach, czasem nadbudowanych i obmurowanych, mieszkała większość ubogiej ludności. Zresztą, jak pamiętamy, Zwiastowanie w Nazarecie również miało miejsce w grocie, którą zamieszkiwała Maryja z Józefem. Skąd więc ewangeliczny żłób? W starożytnej Palestynie (i nie tylko w Palestynie) w grotach razem z ludźmi często zamieszkiwały zwierzęta domowe, więc osioł oraz wół i żłóbek dla nich, mogły być świadkami narodzin. Re-

ligia żydowska wymagała także, aby matce narodzonego dziecka udzielać schronienia i opieki przez cały czas, gdy była uważana za „nieczystą” i podczas dni oczyszczenia. Okres ten wynosił dla chłopców 40 dni, a dla dziewczynek 80 dni. To może tłumaczyć dlaczego Święta Rodzina miała takie trudności ze znalezieniem lokum dla rodzącej Maryi. Okres zamieszkiwania w Betlejem Świętej Rodziny jest oceniany na około 2 lata.

Co wiemy o gwiazdzie betlejemskiej?

Wyobrażenie gwiazdy betlejemskiej ukształtował Giotto di Bondone w swoim słynnym fresku „Adoratione dei Magi”, namalowanym w Capella degli Scrovegni w Padwie, przedstawiającym wizerunek ognistej gwiazdy nad drewnianym dachem groty (stajenki). Giotto w 1301 roku widział na własne oczy kometę Halleya. To chyba zaważyło na jego wyobraźni. Od czasu Giotta tysiące artystów na wiele sposobów powielalo ten wizerunek jako symbol bożonarodzeniowego misterium. Co dzisiaj wiemy o niezwykłych zjawiskach astronomicznych, widocznych na nieboskłonach, które mogły sprowokować mędrców ze wschodu do wyruszenia w drogę do Palestyny? Już w XVII wieku (1605) usiłował to zjawisko wytłumaczyć wybitny astronom tamtego czasu Johannes Kepler znanym zjawiskiem „supernowej”,



*Niech się spełnią
bożonarodzeniowe
życzenia,
te trudne i łatwe
do spełnienia.
Niech się spełnią te duże
i małe,
mówione głośno
lub nie mówione wcale.*

kiedy to obserwuje się rozblysk niewidocznej uprzednio gwiazdy, która w momencie swej śmierci (wygasania) gwałtownie wybucha, świeci wówczas miliony razy jaśniej, by po kilku tygodniach zgasnąć i zniknąć bez śladu. Współcześnie jednak sądzi się dość powszechnie, że była to niezwykła koniunkcja planet, które swe światło połączyły w jeden punkt o niespotykanej jasności. Astronomia potwierdza, że takie zjawisko rzeczywiście miało dwukrotnie miejsce w czasach narodzin Chrystusa: w 6 roku przed n.e. była koniunkcja Jowisza i Wenus, a w 7 roku przed n.e. – koniunkcja Jowisza i Saturna. Oba te zjawiska mogły być z terenu Babilonii widoczne nad zachodnim horyzontem.

Kariera Trzech Króli

W Ewangelii nie ma mowy o królach ani o ich liczbie. Jest natomiast mowa w Ewangelii Mateusza o mędrcach lub magach, co oznaczało kapłanów Zaratustry lub astrologów z terenów Mezopotamii. Owi mędrcy złożyli Jezusowi trzy dary, więc może stąd wzięło się mniemanie, że było ich trzech. W XIV wieku Jan z Hildesheimu wydał książkę pt: „Historia Trzech Króli”, w której na podstawie wiedzy biblijnej oraz informacji czerpanych z apokryfów i literatury podróźniczej rozbudował i uszczegółowił bardzo dotąd skąpą wiedzę o trzech magach ze wschodu. Dzieło okazało się bestsellerem, miało sześć wydań drukowanych i wiele kopii rękopiśmiennych oraz stało się na długie wieki źródłem informacji na ten temat. Wg wspomnianego autora, trzej magowie to: 1. Melchior – najmłodszy i najmniejszy z trójki, król Nubii i Arabii, ofiarował Jezusowi 30 złotych denarów i złote jabłko Aleksandra Wielkiego. 2. Baltazar – średni wzrostem i wiekiem król Saby (dzisiejszy Jemen, Etiopia) ofiarował kadzidło. 3. Kasper – najstarszy i największy, król miasta i portu Tharsis podarował mirrę.

Imiona K+M+B pojawiły się we wczesnym średniowieczu. Zachowane do współczesności zwyczaj umieszczania na drzwiach domu (mieszkania) inicjałów K+M+B powstał w XVIII wieku i może oznaczać inicjały trzech króli, bądź też bywa objaśniany jako „Christus mansionem benedicat” (Chrystus mieszkania błogosławi).

Dlaczego magów lub mędrców przemianowano z czasem (VI wiek) na królów? Nie wiadomo, ale być

może chodziło o to, aby zaznaczyć, że nie tylko przedstawiciele ówczesnej nauki i wiedzy tajemnej, ale także władcy królestw winni oddawać hołd Jezusowi i uznawać Jego duchowe zwierzchnictwo.

Ciekawa jest także historia „relikwii” trzech królów przechowywanych w katedrze w Kolonii. Wg legendy, miała je odkryć w IV wieku św. Helena, matka cesarza Konstantyna Wielkiego.

Na cesarskie polecenie zostały one sprowadzone do Konstantynopola, skąd w nieznanych okolicznościach trafiły do Mediolanu. Gdy w 1162 roku cesarz niemiecki Fryderyk I Barbarossa zdobył Mediolan, poinformowany o istnieniu w tym mieście relikwii trzech królów, polecił arcybiskupowi Reinoldowi

przewieźć je do Kolonii, co też się stało w 1164 roku. Najwybitniejszemu złotnikowi ówczesnej doby, Mikołajowi z Verdun, zlecono wykonanie odpowiedniego relikwiarza. W ten sposób powstało największe dzieło sztuki złotniczej w średniowiecznej Europie. Dość wspomnieć, że relikwiarz o wymiarach 220 x 110 x 153 cm jest otoczony 70 rzeźbami z połączanego srebra i ozdobiony 300 kamieniami i tysiącami pereł. Do przechowania takiego skarbu trzeba było także zbudować nową katedrę. Budowa trwała kilka wieków, ale rozmachem, kunsztem i przepychem architektonicznym nadal zadziwia wszystkich zwiedzających Kolonię.

Rozgłos związany ze sprawdzeniem relikwii trzech królów sprawił,

że Kolonia stała się po Ziemi Świętej i Rzymie, trzecim centrum pielgrzymkowym. Jest jednak pewien problem, związany z kultem relikwii trzech królów. Badania relikwii, przeprowadzone w 1981 roku (badano czaszki) oraz w 2004 roku (badano próbki materiału) doprowadziły do wniosku, że szczątki mogą być datowane na II – IV wiek po Chrystusie, co oczywiście w sposób istotny podważyło wiarę w autentyczność relikwii.

O szczątkach trzech królów wspominał w XIII wieku Marco Polo, lokalizując je w perskiej Sabie (Sawie). Informował, że „ciała ich są jeszcze zachowane w całości, mają brody i włosy”. Podróżnik był zdania, że wszyscy trzej pochodzili z miast polo-

skiego (gr. Epifania), obchodzone w Kościele katolickim w dniu 6 stycznia. Warto zaznaczyć, że święto to powstało wcześniej niż święto Bożego Narodzenia i w hierarchii ważności zajmuje drugie miejsce po święcie Zmartwychwstania. Epifanię obchodzono już w III wieku w Egipcie. Zostało ono wprowadzone w miejsce pogańskiego święta narodzin boga słońca Aiona. Szybko rozprzestrzeniło się na cały chrześcijański świat. W Kościołach wschodnich dominującym motywem święta stał się chrzest Jezusa w Jordanie, uroczystość obchodzona (wg kalendarza juliańskiego) 19 stycznia. W Kościele zachodnim, aż do XII wieku, w liturgii Objawienia wspomniano trzy wydarzenia: pokłon mędrców, chrzest Jezusa w Jordanie



*Tajemnica
Bożego Narodzenia
niech wzbogaci łaską,
napelni pokojem i radością,
a blaskiem swym
niech oświeca
wszystkie dni
nadchodzącego Roku.*



Pokłon Trzech Królów – ikona XVII wieku z cerkwi w Hłomczy. Obecnie Muzeum Historyczne w Sanoku (źródło: M. Jałocha: „Ikony w Polsce”, wyd. Arkady, Warszawa 2008)



Relikwiarz Trzech Królów w katedrze w Kolonii (źródło: Focus-Historia” nr 1/2011 – styczeń 2011)

zonych w dzisiejszym Iranie. Wydaje się, że szczątki trzech mężczyzn, przechowywanych w kolońskiej katedrze, pochodzące z pierwszych wieków po Chrystusie nie mają szans na naukową identyfikację i pozostaną tajemnicą na zawsze. Podstawowa rola, jaką owe „relikwie” mają do spełnienia polega na przypominaniu pielgrzymom i turystom o ewangelicznym wydarzeniu sprzed 2000 lat, na upamiętnienie którego zostało ustanowione święto Objawienia Pań-

skiego. Z czasem święto zostało zdominowane przez kult trzech królów, na co mógł mieć wpływ wyżej wspomniany rozwój kultu „relikwii” w Kolonii. Obecnie uroczystość Trzech Królów w Kościele katolickim zamyka okres Bożego Narodzenia.

Co czcimy w święto Trzech Królów?

Święto Objawienia jest, w jakimś sensie, reakcją człowieka na fakt przyścia na świat Boga w ludzkiej

postaci. Bóg się objawił, a człowiek powinien mu oddać pokłon. Druga sprawa dotyczy faktu, że Chrystus przychodzi ze zbawczą misją nie tylko do narodu wybranego, ale także do całego świata pogańskiego. Nie do nas należy rozstrzygnięcie, kto będzie zbawiony, ale naszym zobowiązaniem jest zaproszenie wszystkich, z którymi się stykamy do spotkania z Jezusem. Najlepszą formą tego zaproszenia wydaje się być świadectwo własnego życia.

Nie można nie wspomnieć, że w Polsce w latach 1960–2010 święto Trzech Królów było zniesione ustawą sejmową z 16 listopada 1960 r. i było normalnym dniem roboczym, chociaż pozostawało ważnym świętem kościelnym. Rok 2011 jest pierwszym rokiem, w którym święto Objawienia Pańskiego jest w Polsce znowu dniem ustawowo wolnym od pracy. Wykorzystajmy świąteczną okazję, aby chociażby w myślach odnaleźć drogę do betlejemskiej Groty Narodzenia i spróbować poszukać odpowiedzi na pytanie, co dla nas oznacza umieszczony tam na srebrnej gwiazdce lakoniczny łaciński napis: „HIC VIRGINE MARIA JESUS CHRISTUS NATUS EST”?

KG

TADEUSZ KURLUS

Polskie znaczki bożonarodzeniowe wchodzi zazwyczaj do obiegu pod koniec listopada, zawsze jednak pragnęliśmy wcześniej je zobaczyć, lecz to się nie udawało. Ale w tym roku – i owszem, bo na portalu PP pojawiły się już pod koniec października! Dzięki temu możemy je już pokazać, otwierając nimi przegląd emisji, zaprezentowanych na stronach internetowych innych poczt.

Więc tak: polskie dwa znaczki, zaprojektowane przez Marka Kwiatkowskiego trafiły do okienek pocztowych 25 listopada. Będą się na pewno podobać, także koperty FDC pięknie nas wprowadzają w nastrój



Boże Narodzenie 2011



świąteczny. Nakład: 1,55 zł – 29 mln, 2,40 zł – 3 mln.

Z kolei znaczki poczty USA. Już od 1966 r. wydaje ona corocznie (był mały wyjątek) znaczek z podobną Madonną. Tym razem jest to „Madonna ze świecznikiem” Rafaela (jest to fragment tonda, w którym



świeczniki stoją po obu jej stronach). Poza tym dodatkowo, także jak zwykle – ukazała się jeszcze jedna emisja, tym razem pokazująca bombki choinkowe.

Poświęćmy jeszcze kilka zdań emisji poczty brytyjskiej. Wydała pięć znaczków (dwa także w większym formacie, przeznaczone dla większych przesyłek), które można nabyć



osobno lub w arkusiku (reprodukcja). Znaczki odwołują się swą treścią do fragmentów Ewangelii według św. Mateusza i św. Łukasza, pochodzących z Biblii króla Jakuba I z 1611 r. Na arkusiku zacytowano (2,10) św. Łukasza: „Lecz anioł rzekł do nich: Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu”. Na znaczkach zamieszczono tylko odsyłacze: Mateusz 1:21, 1:23 i 2:10, Łukasz 2:7, 2:10.

Poza tym, prezentujemy tegoroczne emisje wielu innych poczt, ale z pewnością nie wszystkich.

PRZEMYŚL – stolicą Kresów?

Współczesnemu człowiekowi Kresy kojarzą się z mnogością kultur i narodów. Przenikanie się różnych kultur wpływało na specyfikę obszaru i powodowało, że bogactwo wielokulturowości było tu bardziej niż gdzie indziej zauważalne. Pomimo aktywności wielu środowisk badających problematykę Kresów jest ona ciągle mało znana, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Podkreślano to podczas Międzynarodowej Konferencji „Ludzie z Kresów w dziejach Kresów i Polski”, która 25 listopada odbyła się w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
KONSTANTY CZAWAGA,
ADAM KULCZYCKI
zdjęcia

*Kto nie szanuje swojej
przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku
teraźniejszości,
ani nie ma prawa do przyszłości.*
Marszałek Józef Piłsudski

Celem konferencji było zaprezentowanie wyników badań dotyczących różnorodnych zjawisk, idei i procesów kulturowych, społecznych, które miały miejsce na południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Uczestników konferencji przywitał rektor PWSW prof. dr hab. Jan Draus, który zaznaczył, że poruszony temat jest ważny dla polskiej historiografii. Trzeba przypominać zasłużonych kresowych rodaków. Życzył, ażeby każdego roku naukowcy mogli się spotykać w tym kresowym mieście. Patronat honorowy objął też rektor Akademii Ignatianum z Krakowa ks. dr hab. Henryk Pietras SJ. Do organizacji tej konferencji bardzo przyłożył się ks. dr Jacek Waligóra z Niżankowic. Zaangażował do współpracy Akademię Ignatianum z Krakowa, zwrócił uwagę prelegentów na duchowość Kresowiaków oraz pilotował wyjazd naukowców na przygraniczny teren po stronie ukraińskiej.

Obszar kresowy w opowieści naukowej

Podczas obrad plenarnych i w sekcjach zostały poruszone takie obszary badań naukowców polskich i ukraińskich jak życie polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne, religijne. Przedstawiono sylwetki wybitnych mieszkańców tych ziem. Ich osiągnięcia naukowe, artystyczne i literackie, gospodarcze i techniczne. Wspomniano też o rozwoju życia społecznego, folkloru, sportu. Wielu prelegentów wygłosiło referaty o problemach współżycia mniejszości narodowych i religijnych oraz zagadnieniach dotyczących II wojny światowej i jej skutków: deportacji, ekspatriacji i repatriacji, emigracji, represji. Nie ominięto też ludobójstwa i czystek etnicznych dokonanych na ludności cywilnej, samoobrony i walki podziemnej. Duchowni i świeccy naukowcy dyskutowali o roli kościoła katolickiego i innych kościołów w życiu społeczeństwa na Kresach. Także poruszono sprawy życia naukowego: wyższych uczelni, towarzystw naukowych, innych instytucji, oświaty i wychowania.

„O Kresach nie można zapomnieć, Kresów nie można nie kochać, trzeba pamiętać i stale im słubować” – akcentowała dr hab. prof. Maria Kalczyńska z Politechniki Opolskiej. „Kresy nadal przyciągają



Dr Beata Topij-Stemińska z Akademii Ignatianum i prof. Maria Kalczyńska z Politechniki Opolskiej

– podkreślał ks. prof. dr hab. Edward Walewander z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. – Tutaj rodzi się ciekawi ludzie, jest to tygiel kultur”. Mówił o religijności na Kresach wczoraj i dzisiaj. Zdaniem dr hab. Joanny Januszewskiej-Jurkiewicz z Uniwersytetu Śląskiego z Katowic, która mówiła o Kresach w myśli polskich elit Wilna i Lwowa w okresie międzywojennych, te ziemie to są Kresy cywilizacji zachodniej. Przykładem poszukiwań naukowców w „kopalni” ciekawych ludzi był też referat konsula RP we Lwowie dr Wojciecha Bilińskiego „Antoni Biliński (1810-1895) z Wołynia i jego lwowska Fundacja opiekuńcza”. Niestety, nawet lwowiaczy teraz prawie nic o tym nie wiedzą. Prof. Władysław Strutyński z Czerniowieckiego Uniwersytetu Narodowego im. Juraja Fed'kowycza przedstawił historię powstania i teraźniejszego rozwoju wielokulturowości bukowińskiej. Żyją dyskusję spowodował referat doktoranta Adama Kulczyckiego z Uniwersytetu Rzeszowskiego, który na podstawie własnych badań socjologicznych powiedział o szczegółach normalizacji Kościoła Katolickiego obrządków bizantyjskiego i łacińskiego w kontekście religijności i tożsamości narodowej Ukraińców.

Zdaniem sekretarza naukowego Instytutu Historii Ukrainy Narodowej Akademii Nauk Ukrainy prof. Aleksandra Rublowa takie konferencje są bardzo potrzebne. „Mam doświadczenie udziału w takich spotkaniach jeszcze z lat 90. – powiedział historyk z Kijowa. – Razem wzbogacamy się wiedzą o wspólnym dziedzictwie na Kresach a również pozbywamy się różnych stereotypów i lepiej rozumiemy teraz jeden drugiego. Oczywiście, że nie unikamy wspomnień o przykrych konfliktach na tych terenach. Chociażby o tragicznych wydarzeniach na Wołyniu. Poruszamy tematy o wydarzeniach, o ciekawych ludziach

zamieszkałych na pograniczu ukraińsko-polskim, szczegółach. Wiele dowiedziałem się z dokumentów zamkniętych kiedyś w archiwum w Kijowie. Na przykład o represjach stalinowskich, ich ofiarach wśród których byli też Polacy. Niestety, większość takich materiałów znajduje się w archiwum moskiewskim i nadal nie jest dostępna dla naszych historyków”.

Fenomen kultury sąsiednich narodów

„Problem polega na tym, że na Kresy trzeba patrzeć nie na płaszczyźnie politycznej – zaznaczył w rozmowie z korespondentem „Kuriera” dyrektor Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu dr Stanisław Stępień. Bo to jest łatwe, to najczęściej wszyscy robią i patrzą na Kresy, jako teren walki dwóch żywiołów – polskiego i ukraińskiego. Ale na Kresy trzeba popatrzeć jako na płaszczyznę kultury. Tu gdzie jest styk dwóch kultur, gdzie ludzie dwóch różnych kultur spotykają i co z tego spotkania wynika. Z tego spotkania wynika po pierwsze dialog. Po drugie naśladowanie. Jeśli Ukraińcy coś zrobili w dziedzinie kultury, utworzyli jakiś zespół amatorski, to Polacy też tworzą, bo oni nie chcą być gorsi. Kresy to jest przede wszystkim wzajemna inspiracja dwóch narodów żyjących tam. I to jest chyba największa wartość Kresów. Znakomitym przykładem Kresów jest Iwan Wahylewicz. Który pisze książki o pisarzach ukraińskich piszących po polsku. Do tych czas było tak, że Polacy mówili: „No, to nie jest nasze, ponieważ on pisze o pisarzach ukraińskich. Co nas pisarzy ukraińscy obchodzą?” Ukraińcy mówili: „To nie jest nasze, bo on pisze po polsku. No to jak on pisze tę pracę po polsku, to ona należy do polskiej literatury”. A tak naprawdę ta praca należy do ukraińskiej literatury, tylko jest polskojęzyczna. Jeśli Polacy tworzą swoją literaturę w języku łacińskim w okresie Średniowiecza,

to przecież jest to polska literatura, a nie włoska dzisiaj. Tak samo jest to polska literatura tworzona do XIX wieku. Nawet w języku polskim jest to ukraińska literatura, ale w pewnym znaczeniu należy ona do polskiej literatury.

Co to znaczy? – Że Kresy mogą dawać coś, co jedni będą uważali za swoje i drudzy będą uważali za swoje. Ten styk, dwie kultury, które istnieją wzajemnie się wzbogacają, bo ludzie naśladują, przejmują wartości. Wahylewicz to jest literatura. Ale można przytoczyć też śpiewane kolędy na pograniczu polsko-ukraińskim, gdzie do kolęd polskich wchodziły słowa ukraińskie, a do kolęd ukraińskich polskie. Dalej są kalki czasem. Polacy mają jakąś kolędę, Ukraińcy ją przekładają na swój język i śpiewają. Wreszcie trzeba popatrzeć na Kresy jako fenomen kultury. Jako fenomen, który jest takim źródłem kultury dla jednego i dla drugiego narodu” – stwierdza dr Stanisław Stępień. Naukowiec zauważył, że nie przypadkowo ośrodkiem odrodzenia narodowego ukraińskiego w Galicji jest Przemyśl. Dlaczego Przemyśl, który ma większość ludności polskiej? A mimo wszystko, zanim Lwów stał się tym ośrodkiem dla „Ruskiej Trójcy”, bo właśnie ten styk. Polacy tu tworzyli, o Ukraińcy chcieli też

patriotyczne, religijne, naukowe i artystyczne – zaznaczyła prof. Kalczyńska. – Właśnie te obszary powinny podlegać kompleksowej oraz należytej ochronie oraz odpowiedniej dokumentacji, w celu przede wszystkim kultywowania wspólnoty cywilizacyjnej z tymi, którzy je wytwarzali, czyli naszymi przodkami – Ludźmi z Kresów – o których często się już nie pamięta. Marszałek J. Piłsudski powiedział: Kto nie szanuje swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku teraźniejszości, ani nie ma prawa do przyszłości. A tego chyba wszyscy tu obecni nie chcemy. W dobie wielokulturowej Europy, trzeba umieć świadomie pochylić się nad dorobkiem naszych przodków. Szczególnie istotnym, dla przyszłych pokoleń Polaków, wyrastających w świecie dużej swobody kulturowej i moralnej. Widzimy potrzebę objęcia badaniami właściwie trzech dużych obszarów, aby kompleksowo móc traktować polskie dziedzictwo kresowe. Pierwszy – to ten, który dotyka tego co pozostało na Kresach. Tym dziedzictwem opiekują się przede wszystkim krajowe instytucje państwowe, rozmaite fundacje i osoby prywatne, także poza Polską. Powstaje także wiele opracowań naukowych i popularno-naukowych o tych stronach. Drugi – ten,



Ks. dr Jacek Waligóra: „Pamiętajcie, że przekroczyliście granicę”

mieć swoje własne. I to inspirowało. Kresy to jest klucz, to jest ogromna inspiracja kulturowa, intelektualna”, – podkreślił dr Stanisław Stępień.

Zadanie dla badaczy

Dr hab. prof. Maria Kalczyńska z Politechniki Opolskiej dokładnie przedstawiła dziedzictwo kulturowe Kresowian na Śląsku Opolskim. Zwróciła również uwagę naukowców, jakie sfery powinny zostać objęte analizą badacza i co rozumiemy przez dorobek kulturowy kresowego dziedzictwa. „Jak wynika z popularnej definicji: dziedzictwo kulturowe, obejmuje zabytki materialne i duchowe oraz zjawiska historyczne, obyczajowe, jak również wartości:

który obejmuje dziedzictwo kresowe rozproszone po świecie. Ten obszar jest najbardziej zaniedbany i wymaga dogłębnych analiz. Trzeci – to ten, który został przeniesiony po II wojnie światowej na teren dzisiejszej Polski”.

Jak słusznie podkreśliła prof. Maria Kalczyńska, która też wyrosła na tradycjach kresowych, Kresy nie tylko dla pochodzących stąd Polaków pozostały najpiękniejszym krajem, „Arkadią” do której się stale tęskni i nie może zapomnieć, połączoną na zawsze z wartościami narodowymi i kulturowymi. „Kresy to dzisiaj także miejsce symboliczne, to ważna przestrzeń polskiej historii, miejsce istnienia wielu szlacheckich

dworków, pałaców i twierdz – zaznaczyła. – To także obszar z którego wywodzili się wyjątkowe osobowości świata literatury, kultury i nauki. W wielu miastach dawnych Kresów, w Wilnie, Lwowie czy Stanisławowie i Tarnopolu oraz w miasteczkach i wsiach pozostały na zawsze skarby wszechstronnego, polskiego dorobku kulturalnego. Czekałoby na odpowiednią restaurację i zabezpieczenie. Przykładem mogą być: inwentaryzacja cmentarzy kresowych, którą zajmuje się m.in.: Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, który od 1998 r. tylko z terenu Podola opracowano dwa katalogi cmentarzy: dawnego powiatu borszczowskiego i dawnego powiatu czortkowskiego. Podobne prace trwają przy opisach innych zabytków: kościołów, pałaców, dworków. Duże zasługi w tym zakresie miał m.in. opolski duszpasterz Ludwik Rutyna (1917-2010), który jest laureatem nagrody Ecco Homo za poświęcenie życia Bogu i ludziom, za działalność ekumeniczną i wzmacnianie procesów pojednania między narodami na Kresach”.

Nie tylko na Ukrainie, także w Polsce przez ponad 60 lat nie wolno było mówić, a tym bardziej pisać o dziedzictwie kresowym, to jednak czas pokazał, że pamięć Kresów przetrwała. „Pomimo wykorzenienia z ziemi i utraty wielu dóbr materialnych, nie zdołano złamać ducha kresowego, i zniszczyć do końca wartości duchowych (dorobku kulturowego i tożsamościowego) mieszkańców tych ziem – podsumowała prof. Maria Kalczyńska. – Choć pobyt na śląskiej ziemi Kresowiaci traktowali przez wiele dziesiątek lat jako stan tymczasowy, to dzisiaj wielu z nich mówi, że Śląsk stał się już teraz dla nich ich małą ojczyzną, tu są groby ich najbliższych, tu na świat przyszli ich dzieci i wnuki. Wielu z nich nie doczekało już wolnej Polski. Niech choć ta nasza konferencja będzie swoistym zadłużeniem i przywracaniem ich pamięci. W sercu wszystkich wywodzących się z Kresów pozostała na zawsze ogromna tęsknota i żal za utratą wielu nadzwyczaj nam drogich miejsc i wspaniałych ludzi. Choć dziś wyrastają już kolejne pokolenia o pochodzeniu kresowym, a związek z ziemią przodków nabrał już innego wymiaru, raczej sentymentalnego, wracamy wciąż do pamięci o Kresach. Znajomość Kresów będzie bowiem zawsze niezbędnym warunkiem naszej tożsamości i kulturowego wykształcenia. W konkluzji, postuluje się, aby: kontynuować dokumentację dziedzictwa kresowego przeniesionego na teren powojennej Polski; (rola muzeów, bibliotek, instytucji kultury, stowarzyszeń kresowych); upowszechniać wiedzę o Kresach w nowoczesnych mediach (Kresowy Serwis Informacyjny <http://www.ksi.kresy.info.pl>, biblioteki cyfrowe, itp.); prowadzić edukację na tematy kresowe, uczyć patriotyzmu i szacunku do tradycji (lekcje historii, rocznice narodowe); dbać o prawdę historyczną, szczególnie w stosunku do tematyki polsko-ukraińskiej; popularyzować piękno Kresów (wydawnictwa, filmy, zespoły muzyczno-taneczne, itp.); pamiętać o roli inteligencji kresowej w budowie powojennej Polski (nauczyciele, bibliotekarze, lekarze, naukowcy)” – wezwwała prof. Maria Kalczyńska.

CZESŁAW MIŁOSZ i kontekst europejski

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcia

Na Uniwersytecie Przykarpaczkim imienia Wasyla Stefanyka w Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie) przy pełnej auli studentów i profesorów odbył się wykład o Czesławie Miłoszu. Odczyt wygłosił dyrektor Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, profesor Mieczysław Dąbrowski.

Przyjazd i wystąpienie profesora odbyło się w ramach programu „Razem w zjednoczonej Europie”. Z prof. Dąbrowskim przyjechał konsul Marcin Zieniewicz z konsulatu generalnego RP we Lwowie. „Ten wykład jest częścią projektu zorganizowanego w ramach Narodowego Zakładu Ossolińskich z Wrocławia, – mówi konsul, – we Lwowie Spotkania Ossolińskie odbyły się już po raz 20. W tym mieście profesor również



Wiktoria Malicka, konsul Marcin Zieniewicz, prorektor Ihor Cependia i profesor Mieczysław Dąbrowski.

wystąpił z wykładami. Temat wykładu jest związany z rokiem Czesława Miłosza, stulecie urodzin którego obchodzimy w Polsce i na całym świecie. Nasz projekt polega na tym, że zapraszamy na Ukrainę najlepszych wykładowców, profesorów polskich uczelni z różnych dziedzin nauki: historyków, specjalistów od spraw międzynarodowych, polonistów itp. Dajemy możliwość studentom ukraińskim skorzystać z wykładów profesorów z Polski. Dzisiaj po raz pierwszy inaugurujemy nasz projekt w Iwano-Frankowsku. Do tej pory, w ciągu dwóch lat, wykłady odbywały się tylko we Lwowie na Uniwersytecie im. Iwana Franki, w Ukraińskim Katolickim Uniwersytecie, w Bibliotece UAN (dawn. Ossolineum). Teraz będziemy starać się częściej do Państwa przyjeżdżać z różnymi wykładami”.

Prof. Mieczysław Dąbrowski powiedział, że czuje się zaszczycony, że może spotkać się z takim wspaniałym gronem studentów i naukowców. W ciągu wykładu prof. Dąbrowski poruszał różne ciekawe tematy, dotyczące biografii Miłosza. Chodziło o to, kim jest wybitny pisarz: Litwinem – ponieważ urodził się na Litwie, czy Polakiem – bo pisał po polsku. Z tego powodu czasami wynikają nieporozu-

mienia. „Te nieporozumienia można zlikwidować jednym ruchem, – mówi Pan profesor, – trzeba rozumieć to, co mówi osoba prywatna, i wtedy Miłosz może powiedzieć, że jest Litwinem i kształtowało go otoczenie litewskie. Oprócz tego, Litwa dla Miłosza jest miejscem mitycznym. Natomiast sam Miłosz mówi co innego, jako człowiek polityczny, który rozumie, że pisząc i wychowując się w polskiej rodzinie i przyjmując cały system pojęć kulturowych z języka polskiego, należy do literatury polskiej”.

Mieczysław Dąbrowski opowiadał też o szerokim pojęciu miejsca, ojczyzny, ziemi, dzieciństwa z językowego punktu widzenia, patriarchalnym wychowaniu, religijności, poglądach politycznych Miłosza, o życiu na emigracji, różnych życiowych doświadczeniach, o nagrodzie Nobla, która, zdaniem pana profesora, ma podtekst polityczny. W ten sposób nagrodę dostała po prostu cała polska emigracja, która do dziś jest bardzo liczna.

Przed wykładem prof. Mieczysław Dąbrowski wręczył Ihorowi Cependzie, prorektorowi Uniwersytetu Przykarpaczkiego ds. Międzynarodowych, dwie książki o komparatystyce. Jedna z książek redagowana przez niego osobiście, to pierwszy podręcznik polski z komparatystyki. Druga to „Literatura i konteksty”, też autorstwa pana profesora.

KG



Słuchacze w auli Uniwersytetu Przykarpaczkiego w Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie) podczas prelekcji profesora Mieczysława Dąbrowskiego

Konkurs „Twórczość Mariana Hemara. Co odnajduję w niej dla siebie” Fundacja Dziedzictwo Kresowe

Do udziału w konkursie zapraszamy młodzież szkolną i akademicką polskiego pochodzenia, w przedziale wiekowym od 14 do 20 lat, zamieszkałą poza granicami Polski. Praca musi być zatytułowana. Forma literacka pracy jest dowolna (np.: opowiadanie, wiersz, reportaż, felieton, esej, nowela, bajka, inne). Prace konkursowe należy nadsyłać w terminie do 15 lutego 2012 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres Fundacji (z dopiskiem „KONKURS”). Nadesłane prace, przechodzą na własność Fundacji, która ma prawo do nieodpłatnego ich wykorzystania na realizowanych przez siebie polach działalności. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do dnia 25 marca 2012 roku na stronie internetowej Fundacji. Wszelkie pytania prosimy kierować na adres: biuro@kresowe.pl

Uczestnik konkursu zobowiązany jest do przesłania:

wydruku tekstu pracy w języku polskim, dotychczas nie publikowanej i nie nagradzanej (praca powinna liczyć od 3 do 25 stron wydruku komputerowego lub maszynopisu) oraz jej wersji elektronicznej (płyta CD lub dyskietka); krótkiej informacji o danych osobowych – imię, nazwisko, data urodzenia, dokładny adres, numer telefonu, adres mailowy; wykazu źródeł wykorzystanych informacji (tylko w przypadku, gdy korzystano z nich przy przygotowywaniu pracy).

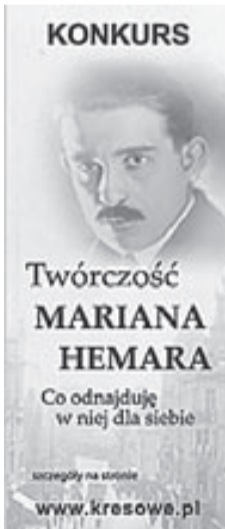
Przy ocenie prac jury będzie brało pod uwagę:

Ogólną wiedzę w zakresie życia i twórczości Mariana Hemara oraz umiejętność jej sprawnego wykorzystania przy pisaniu pracy;

Walory literackie pracy, język, styl i formę;

Rodzaj i zakres wykorzystanych źródeł;

Fundacja Dziedzictwo Kresowe
ul. Dobra 87 lok. 35; 00-312 Warszawa
www.kresowe.pl



Wieczór autorski Jurija Andruchowycza „Leksykon intymnych miast”

Lwowska Filharmonia Obwodowa oraz organizacja społeczna „Forum Wydawców” zapraszają na: **Wieczór autorski Jurija Andruchowycza „Leksykon intymnych miast”, który odbędzie się 20 grudnia o godz. 19.00 w gmachu Lwowskiej Filharmonii Obwodowej (ul. Czajkowskiego, 7).**

Na gości czeka nie tylko prezentacja nowego dzieła Andruchowycza, ale też wykonanie jego utworów najbardziej znanych i lubianych przez czytelników.

Prowadzący – Jurij Wynnyczuk. Partner – hotel „Leopolis”



Bilety – od 30 do 70 hrywien (dla studentów i emerytów – zniżka 50%) w kasie filharmonii oraz na stronie kvytky.ua

Sprzedam mieszkanie w Przemyślu

Sprzedam piękne, słoneczne dwupokojowe mieszkanie w bloku, z kuchnią i łazienką, o ogólnej powierzchni 38 m², zlokalizowane blisko centrum miasta. Cena do negocjacji.

Kontakt:
tel.: +48600474836
Ewa Kantor

JERZY HOFFMAN GORĄCE SERCE

„JERZY HOFFMAN GORĄCE SERCE” – to najnowsza książka MARTY SZTOKFISZ, dziennikarki, pisarki, stypendystki Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Marta jest autorką sześciu książek oraz cyklu scenariuszy filmowych. Jej „Księżniczka deptaku”, wydana przez Mużę, zdobyła tytuł bestsellera (pisałmy o tym w Kurierze). Przeprowadziła ponad 300 rozmów z największymi indywidualnościami świata kultury, show biznesu i mediów.

MARCIN ROMER

Tym razem piórem Marty Sztokfisz aktorzy, znajomi i przyjaciele postawili Jerzemu Hoffmanowi, jednej z największych postaci polskiego kina, pomnik za życia. Do tego pomnik nie z brązu, a żywy. To raczej portret – akwarela mieniąca się tysiącem barw. Autorka nie miała łatwego zadania...

Przejdźmy jednak do głównego bohatera książki.

„Jerzy Hoffman spośród wielu swoich zasług wymienia na pierwszym miejscu: Członek Rzeczywisty Akademii Sztuki Ukrainy. Następnie doktor honoris causa Instytutu Filmowego w Moskwie, Zasłużony dla Kultury Narodowej, oraz odznaczenia: Wielki Krzyż Orderu Odrodzenia Polski, 6 nagród Ministerstwa Kultury i Sztuki, 7 Złotych Kaczek i nominację do Oscara.

Reżyser z krwi i kości. Przyjaciel, kochanek, mąż, kumpel, towarzysz biesiad, awanturniczych przygód. Niepokorny. I ryzykant. Watażka. Romantyk. Zwierzę filmowe. Mistrz scen bitewnych. Satrapa na planie niezliczonych produkcji. „On jest tam Bogiem” – mówią aktorzy.

Da się lubić, dlatego pisanie o takim artyście nie jest katorgą lecz przyjemnością. To książka o człowieku, od którego można się wiele nauczyć, także poczucia humoru i dystansu do siebie. Beztrudnego biesiadowania, konsekwencji i pracy stachanowca jeśli to konieczne”.

Tak o artyście powiedziała Marta Sztokfisz – autorka książki „Jerzy Hoffman GORĄCE SERCE”, która ukazała się w dniu premiery „1920 Bitwa Warszawska”. Obraz reżysera jaki przedstawiła nie jest czarno-biały. To kolorowy fresk, składający się z zabawnych historii, anegdot i wspomnień przyjaciół, znajomych oraz rodziny Jerzego Hoffmana. Hoffmana kochają nie tylko kobiety, ale także członkowie jego ekip – od aktorów po oświetlaczy. Jak on to robi, co w sobie ma, że nikt nie mówi o nim źle? Tego również docieka Marta Sztokfisz.

Życie Jerzego Hoffmana to materiał na scenariusz. Tyle w nim zwrotów akcji, dramatycznych i zabawnych perypetii, a wszystkiemu towarzyszy niebywała energia i brawura bohatera opowieści. Oraz wiara, że można zrealizować marzenia. Jego filmy ogląda już trzecie pokolenie Polaków. Wielu z nich Hoffman inspirował do poznania historii. Zainteresowanie nią budzi także najnowsze dzieło

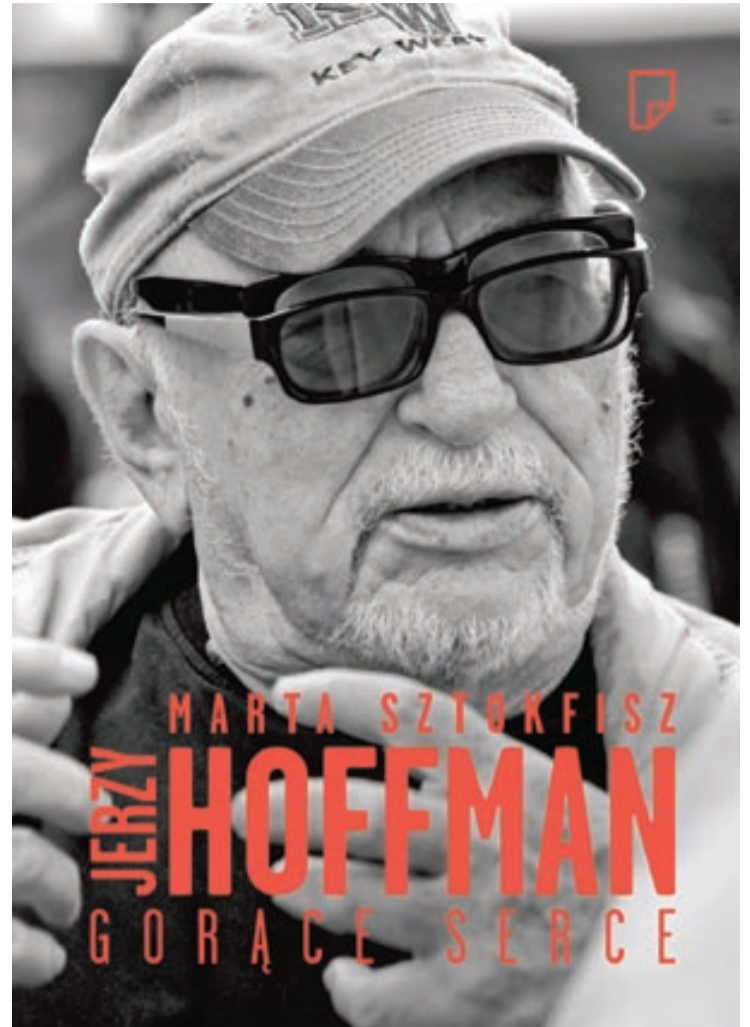
artysty „1920 Bitwa Warszawska”, o którym reżyser również opowiada w książce Marty Sztokfisz.

Fragment książki

W oczy rzuca się potężna zwalista postać, zamaszyste ruchy, wylewność i emocjonalność. Ten rodzaj zmysłowości i żarliwości charakterystyczny dla ludzi wschodu. I dla mężczyzn, jakich bezskutecznie szukają dziś kobiety. Zero w nim lorda i zero „mężusia”. To watażka – nie zdziwiłabym się, gdyby jak Azja porwał kobietę,

którą wybrał na żonę. Ale i romantyczny trubadur. Może otworzyć ramiona oraz serce, uściskać i zacząć: „Wiesz, bracie kochany...”, albo, gdy mu przeszkadza, krzyknąć na planie filmowym do aktorki: „Nie pierdol!”.

O żadnym artyście nie krąży tyle legend, co o Jerzym Hoffmanie. Przyjaciele, znajomi i współpracownicy bez trudu przypominają sobie anegdoty, dodają szczegóły, różniące się detalem albo znacząco. Jedni mówią np., że swoją żonę, Walę, odbił lekarzowi gdzieś na Ukrainie, inni,



Okladka książki



Podczas prezentacji książki Marty Sztokfisz „Jerzy Hoffman GORĄCE SERCE”

W bydgoskiej szkole należał do harcerstwa, z którego go wyrzuciono. Kolega o rok młodszy twierdzi, że nastrojów antyżydowskich w gimnazjum nie było, a Jurek od dziecka działał w ZMP – nie w harcerstwie. Jednym chórem świadkowie tamtych czasów mówią, że miał zaledwie szesnaście lat i już rządził we wszystkich szkołach w Bydgoszczy. Nauczyciele się go bali, młodzież uwielbiała. Zwalniał ją z lekcji pod pretekstem zebrań bądź czynów społecznych.

Bokser, wcześniej marynarz, wszędzie szef, prowodyr, przewodniczący. Lider. Zawsze na pierwszej linii, krok przed innymi. Nigdy w cieniu. Marynarzem jednak nie był. Zaistniał natomiast w awangardzie dokumentu społecznego w czasie „odwilży”. Film Hoffmana i Skórzewskiego „Pamiętka z Kalwarii” ogląda się dzisiaj z najmniejszym zainteresowaniem niż 55 lat temu. Wykluczone, żeby zmagał się z myślami typu: Film w technologii

Wszystkim Czytelnikom i Miłośnikom

Kuriera Galicyjskiego chciałbym życzyć

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia

oraz

dużo zdrowia i pomyślności w nadchodzącym

Nowym - 2012 Roku.

Świąteczne życzenia od Jerzego Hoffmana



Reżyser chętnie składał autografy, wśród przybyłych na promocję znaleźli się też mieszkańcy Ukrainy

że to był skromny inżynier, a rzecz działa się w Zakopanem. Wszyscy są zgodni – spił faceta i siłą perswazji zmusił go, by odpuścił sobie Walę, ponieważ ta kobieta będzie szczęśliwa tylko z nim – z Jerzym Hoffmanem. To właśnie jej, zmarłej przed premierą filmu, dedykował „Ogniem i mieczem”.

3 D? To ryzykowne. Nie miał takich rozterek, ponieważ widzi jak zmienia się świat i idzie za postępem. Jego Bitwa Warszawska 1920 wyznacza nowy trend w polskim kinie. A on żartuje, że kiedyś reżyserzy upijali się w 4 D, a teraz w 3 D robią filmy.

Wielu wpisuje Jerzego Hoffmana na listę mistrzów polskiego kina. Był o

krok, prawie o włos, od znalezienia się na liście mistrzów światowych. W biegu po Oscara za „Potop”, wyprzedził go Federico Fellini i jego „Amarcord”.

Walczyć i współpracować z innymi nauczył się na syberyjskiej zsyłce, gdzie trzeba było dawać sobie radę, bo inaczej gryzła się ziemia, lub się w niej spoczywało. Może również w ZWM, ZMP oraz w partii? Czy także dorastając w inteligentnej, lekarskiej rodzinie? Nie wykluczone, że wszędzie – także na planie filmowym, gdzie decyzje reżyser trzech części Trylogii podejmuje w sekundę, wszystko musi zsynchronizować, skłonić ludzi do maksymalnego wysiłku i do odpowiedzialności. Sam odpowiada za

- Mam do kitu nastrój – mówię.
- No, dobra – on na to: – Spotykamy się za godzinę. Na Starówce.
Przyjechał. Gdzieś usiedliśmy. Była piękna pogoda, wczesna jesień, już bez upału. Niczego nadzwyczajnego nie powiedział, ale nastrój mi się poprawił natychmiast. Aleksander Domogarov, rosyjski aktor, którego Hoffman wypromował, do dzisiaj mówi do niego „papa”, co znaczy tatusiu.

„Są ludzie, z którymi się spotkasz i życie wydaje się lepsze. Do nich należy Jurek. Dlatego, kiedy go widzę, już jest mi dobrze.”

Wielbi go „Dwór”, „Rodzina” – jak mówi się o jego ekipie filmowej. W

I tego, że za życia stał się legendą polskiego kina. Legendą artystycznego świata.

Stynie z talentu, bezceremonialności, siły fizycznej, odporności psychicznej, miłości do kina, kobiet, historii i biesiady. I z tego, że walczył o swoje tak długo, aż zwycięży. Prędej skona, niż odpuści. Przeniósł na ekran Trylogię Sienkiewicza. I za to pokochał go naród. Nie przypadkiem podjął się takiego wyzwania. Trzeba mieć odwagę zdobywców kosmosu, by zrobić te filmy.

Książkę opublikowało w Polsce Wydawnictwo Marginesy.com.pl. Czas pomyśleć o wydaniu jej na Ukrainie. Sukces murowany.



Plakat reklamujący film w Anglii i USA

całość wielkiego finansowego i artystycznego przedsięwzięcia.

Vadim Brodski, światowej sławy wirtuoz skrzypiec, zna Jerzego Hoffmana od 22 lat. I chociaż częściej mieszka teraz w Rzymie, bardzo lubi Warszawę, zwłaszcza dlatego, że może zadzwonić do Hoffmana i powiedzieć: „Wpadnij na wódeczkę”.

„Traktuję go jak mądrego, starszego brata. Czy dzwonię do niego, gdy łapię kryzys? Któregoś dnia odwołano ważny dla mnie koncert. Miałem koszmarny nastrój, dzwonię do Hoffmana. Pyta: „Co robisz?” A między nami nie jest tak, jak w Ameryce: „OK., świetnie, cudnie...”, mimo że człowiek umiera.

siedlisku na Mazurach jedni noszą za nim ziółka, drudzy wódkę, trzeci leki. Są do usług. Na zawołanie. To samo dzieje się na planie. Jerzy Hoffman nie wydaje się być nababem, holdy przyjmuje jak uśmiech na dzień dobry. Lubią go koledzy z branży, sąsiedzi, lekarze ratujący mu życie. I ekspedientka z Elku, i moja koleżanka Bożena, u której kupuje domowe przysmaki, bo patrzy w oczy i zagada miło, a także Agnieszka – córka softysa ze wsi Sikory na Mazurach. Niektórzy go kochają. Wielu sporo mu zawdzięcza: role, rozpostarty nad głowami parasol ochronny, bezwrotne pożyczki. Są i tacy, którzy mu zazdroszczą widzów i charyzmy.

- Chciałbym się, synku, napić pięćdziesiątkę – mówi Hoffman do kelnera.

- Przepraszam, ale pięćdziesiątek od dawna nie podajemy.

- Jak to? A co to u was jest?

- Jest norma europejska: czterdzieści.

- Jakie czterdzieści? Tego się nawet nie poczuje! A osiemdziesiąt za duża dawka, jak na raz!

- Przepraszam, ale Unia wprowadziła normę: czterdzieści.

- Synku, ty zrób tak: weź trzy czterdziestki i zrób z nich pięćdziesiątki, żebyś ja rozumiał co piję.

fragment książki

Kolęda

A gdy zapada nocy mrok,
Jednej, jedynej w świecie,
Kieruję ku stajence wzrok,
Gdzie w żłobku Boże Dziecię.

Organów uroczysty ton
W kościele się rozlewa,
Przy żłobku, gdzie króluje On
Pastuszek bosy śpiewa.

Zza siedmiu gór, zza siedmiu mórz
Królowie Trzej przybędą,
A my śpiewając „Oczka zmrz”
Uśpiemy Cię kolędą.

O święta szopko! Na sianeczku
Spoczywa wielki Władca, Pan.
Choć płacze głodne Dzieciąteczko,
A Domem Chleba jest On sam.



Aniolki gloria Mu śpiewają,
Świta Trzech Króli Go odwiedzają,
Pastuszek na fujarkach grają,
A wół z osiołkiem przy Nim siedzą.

I ogrzewają święte nóżki
Ciepłym oddechem swym bydłęcym.
Zmrz oczka Swoje, śpij Maluśki,
Boże, coś szedł do ludzkiej nędzy.

STANISŁAWA NOWOSAD

Jest taki dzień bardzo ciepły,
choć grudniowy;
dzień, zwykły dzień,
w którym gasną wszelkie spory.
Jest taki dzień, w którym radość
wita wszystkich.
Dzień, który już każdy z nas
zna od kołyski.

Niebo ziemi, niebu ziemia,
wszyscy wszystkim ślą życzenia.
Drzewa ptakom, ptaki drzewom.
W wiewie wiatru płatkom śniegu.
Jest taki dzień, tylko jeden raz
do roku;

Dzień, zwykły dzień, który liczy się
od zmroku.
Jest taki dzień, gdy jesteśmy
wszyscy razem.
Dzień, piękny dzień, dziś nam rok
go składa w darze.
Niebo ziemi, niebu ziemia,
wszyscy wszystkim ślą życzenia.
A gdy wszyscy usną wreszcie
moc igliwia zapach niesie.

SEWERYN KRAJEWSKI

KOLEDA

Jest to jeden z najpiękniejszych obyczajów chrystianizmu i chyba najpiękniejszy w polskiej tradycji rodzinnej – kolęda przy zbratany stole wigilijnym. Śpiewana w grudniowe Święta Bożego Narodzenia, zwłaszcza śpiewana wieczorem lub nocą – równe wzruszenie wywołuje u wierzących, jak i u ateistów.



opr. ANNA ROWICKA

POLSKA KOLEDA

Matka Boska wieczorami
będzie nitki przędła
i śpiewała sobie, i śpiewała sobie:
kolęda, kolęda.

Bo wywodzi się ze wspólnego dla wszystkich Polaków źródła. Kolęda jednoczy. Łagodzi bóle i konflikty. Nakazuje, choć przez moment zapomnieć o urazach, troskach, zmęczeniu. Śpiewamy ją w chwili, gdy nawet najbardziej skłócone rodziny, dzieląc się opłatkiem na znak zgody – siadają do wspólnego stołu z życzeniami pomyślności.

Pisząc o kolędach w „Encyklopedii Staropolskiej”, Zygmunt Gloger zachwyca się zwyczajem jasełkowym z dumą zauważając, że „Ten koloryt lokalny, polski, nadany scenom betlejmskim, to jest cały wdzięk naiwności kolędy, a poufałość prostota i rozrzewnienie, z jakim te sceny są opowiadane, to jest ich piękność wyższa i wewnętrzna. Żyje w nich cały ten wiejski świat, ze swoimi zwyczajami i stosunkami, uczuciami i sposobem mówienia, a ta wielka oryginalność jest skutkiem tego, że one nie były czystą modlitwą, ale i opowiadaniem”.

I dodaje w innym miejscu: „Ale jeżeli pierwiastek świecki w kolędzie sprawił, że ona przybrała miejscowy, narodowy charakter, to znowu inny powód moralny i psychologiczny sprawił, że lud Ignął do kolędy. Człowiek ubogi i prosty, znający okoliczności narodzenia Pana Jezusa, czuje przecież instynktem, że to jego święto, jego tryumf, apoteoza ubóstwa, podniesienie go do godności i chwały, z jaką żadna na świecie równać się nie może”. Kolęda mówi wprost – radujcie się, miłujcie się. Bo wie, chyba najlepiej ze wszystkich, że nienawiść bardziej szkodzi nam samym niż temu, kogo nienawidzimy.

A zaś Józef cieśla święty będzie
stawił chaty, złotą słomą kryte,
złotą słomą kryte,
przystrojone w kwiaty.

A Jezusik z pastuszkami będzie
grał na łące na fujarce z wierzby,
na fujarce z wierzby
w wieczory pachnące.
Rośnie zboże rośnie,
rośnie, pod słomiane dachy.
Święty klnie na wróble,
Święty klnie na wróble
i wystawia strachy!

A Jezusik mówił ptakom:
nie bójta się ptacty,
straszydliśka głupie,
straszydliśka głupie,
drewniska i szmaty!

Więc nie baly się wróblęta
i dziobały kłosy.
Oj, gniewał się Święty, oj gniewał się Święty,
skarżył Matce Boskiej.

Nie w Betlejem w Galilei,
żadnym obcym mieście,
ale w Polsce naszej,
ale w Polsce naszej
Jezus kwiaty pieści.

Matka Boska wieczorami
będzie nitki przędła
i śpiewała sobie,
i śpiewała sobie:
kolęda, kolęda!

Wiersz staroświecki

Pomódlmy się w Noc Betlejmską,
W Noc Szczęśliwego Rozwiązania,
By wszystko się nam rozplątało,
Węzły, konflikty, powikłania.
Oby się wszystkie trudne sprawy
Porozkręcały jak supelki,
Własne ambicje i urazy
Zaczęły śmieszyć jak kukielki.
Oby w nas paskudne jędze
Pozamieniały się w owieczki,
A w oczach mądre lzy stanęły

Jak na choince barwnej świeczki.
Niech anioł podrze każdy dramat
Aż do rozdziału ostatniego,
I niech nastraszy każdy smutek,
Tak jak goryla niemądrego.
Aby wąpiący się rozpląkał
Na cud czekając w swej kolejce,
A Matka Boska – cichych, ufnych –
Na zawsze wzięła w swoje ręce.

KS. JAN TWARDOWSKI

Zanim poszły pancry na „Wujek”

Z dr. ANDRZEJEM DROGONIEM – dyrektorem oddziału Instytutu Pamięi Narodowej w Katowicach rozmawia STANISŁAWA WARMBRAND.

Stan wojenny. Starannie zaplanowany, czy wywołany sytuacją? Jak długo trwały przygotowania?

Popatrzyłbym szerzej na to, co się wtedy działo, na dążenie do spacyfikowania społeczeństwa, na likwidację oporu; czy to w efekcie akcji zbrojnej, czy innych działań pacyfikacyjnych. Szło o taką akcję, która doprowadziłaby do pełnej kontroli społeczeństwa ogarniętego euforią sierpniowej wolności. Musimy być świadomi, że działania władzy, zmierzające do spacyfikowania nastrojów społecznych towarzyszyły „Solidarności” od początku. Wiemy, że „Solidarność”, jako potężny ruch, była wspomagana przez różnego rodzaju związki twórcze, związki intelektualistów, Niezależne Zrzeszenie Studentów. Wzmoczona akcja przenikania tych wielu i wielorakich niezależnych struktur przez agenturę była pierwszą oznaką, że nasila się dążenie do pacyfikacji nastrojów. Natomiast o ile chodzi o przygotowanie konfrontacji zbrojnej, a więc ostatecznego „rozwiązania problemu”, to przygotowania rozpoczęły się także już w roku 1980. Na to wskazują choćby materiały przekazane przez pułkownika Kuklińskiego, czy inne dokumenty. Możemy przyjąć, iż już w 1980 roku rozważano myśl o wyprowadzeniu na ulice wojsk w celu eliminacji „niepożądanych” w strukturach „Solidarności” komórek i osób (od zastraszania, okaleczenia, aresztu po zabójstwo).

Górny Śląsk. Ówczesny sekretarz KWPZPR – Andrzej Żabiński, straszył na łamach gazet „rewelacjami” – jak to górnicy w wyrobiskach zbierają drewno, żeby podpalić kopalnię. Cały Śląsk się śmiał z tych rewelacji o poczwierach „klockach” na opał, do których górnicy mieli i mają prawo „od początku świata” tyle, że reszta kraju łatwo mogła uwierzyć w te bzdury... Był to chyba znak, że prowokacja będzie jednym ze sposobów na złamanie oporu społecznego...

Proszę zwrócić uwagę na jedno z przemówień Żabińskiego (myślę o taśmie wyniesionej z narady MO i SB), w którym mówił o metodach pacyfikowania Związku, o wciąganiu związkowców w różne formy „przepychu”; o tym, żeby dać „im” wygodne pokoje, wygodne fotele, wygodne lokale – niech się zachlęsną władzą, a „nam” będzie łatwiej doprowadzić do pacyfikacji... Pewnie pani pamięta, że w pierwszych dniach stanu wojennego w siedzibach „Solidarności” przy Stalacha czy Szafranka czy w innych lokalach „znajdowano” przeróżne rzeczy, które miały świadczyć o „rozpasaniu” związkowców, a miało odwrócić uwagę społeczeństwa i wywołać „słuszne” oburzenie na próżniactwo...

„Znajdowano” butelki po „szampańskim” i „napoleonach”, łachmytki – futerka, ale zawsze futra. Luksus! Miała iść fama...?



To były „pomysły”, które trudno, żeby były poważnie traktowane, ale w ówczesnej biedzie i życiu w kolejkach, można było wzbudzić niechęć czy zawiść. Był to jeden ze sposobów „ukierunkowywania” nastrojów. Jednocześnie przygotowywano listy osób do internowania, przygotowywano druki decyzji, powołano „inspekcje robotniczo-chłopskie”, przygotowano komisarzy wojskowych, stworzono załączek organizacyjnej struktury, żeby z czasem sprawniej funkcjonowały one w szerokim zakresie.

Specyfika śląska...

Gdyby policzyć wszystkie zakłady, wszystkie jednostki, całą infrastrukturę w postaci węzłów drogowych, kolejowych, mostów, wiaduktów, które postanowiono „chronić”, czyli postawić posterunki, to mamy do czynienia z ogromną skalą działań.

Odbywano wtedy ogromną ilość narad. Były ośrodki decyzyjne; KW, KM, Wojewódzka Rada Narodowa, Urzędy Miast, cały system organizacyjny SB i Milicji Obywatelskiej. Jak, w świetle dokumentów, wyglądał schemat decyzyjny? Kto i gdzie wydawał rozkazy?

Nie wszystkie aspekty są do końca rozpoznane. Część dokumentacji uległa zniszczeniu. Jak ważne to było dla ówczesnych decydentów niech świadczy fakt, iż trudno do dziś dotrzeć do dokumentów dotyczących pacyfikacji kopalni „Wujek”. Jest osławiony telefonogram, ale brak dokumentacji podejmowanych decyzji, co umożliwiłoby wskazanie sprawców. Szczególnie na szczeblu kierowniczym. Czyżby ci, którzy pacyfikowali kopalnię, czynili to na własny rachunek, włącznie z użyciem broni palnej?! To przecież absurd! Każdy, kto analizował system totalitarny, doskonale wie, że decyzje zapadały na szczeblu najwyższym – partyjnym, milicyjnym i wojskowym.

Chodzi mi o dookreślenie czasu, kiedy zapadła decyzja. To nie jest „na pstryknięcie” to cały system rozkazów, przemarszów, przejazdów, przelotów, przegrupowań, zaopatrzenia...!

Przygotowania musiały trwać od



początku, natomiast musiały zapadać decyzje, czy zostanie to wykonane siłami tylko LWP, czy włączone zostaną inne siły – MO, ZOMO, ROMO itp. Rozstrzygnięcie siłowe, militarne, ponad wszelką wątpliwość było od początku brane pod uwagę. Doświadczenia były – na Węgrzech, w Czechosłowacji, w Polsce (choćby rok 1970). Grudzień był „wygodny” – zimowa aura, zimno, szarówka potęgują nastroje przygnębienia, beznadziei. To utrudnia samoobronę. Jest jeszcze nasza pamięć historyczna – powstania: listopadowe, styczniowe, toczące się w ekstremalnych warunkach atmosferycznych...

...i przegrane. Czy dlatego były na murach napisy „Zima wasza, wiosna nasza”? Śląsk to specyficzne miejsce; ogromne skupisko ludzi, miast, przemysłu. Miasto od miasta dzieli najczęściej tablica informacyjna. Zatem liczebność wojska, milicji, ZOMO musiała być nieporównywalna...

Zapewne pełne dane są w materiałach strategicznych, przekazanych przez pułkownika Kuklińskiego Amerykanom, trzeba jednak pamiętać, że obejmują planowane zamierzenia. Wydaje mi się, że precyzyjne dane są trudne do określenia. Wiemy, że poza jednostkami wojskowymi, stacjonującymi w województwie katowickim (Śląska jednostka MSW i jednostka Wojsk Ochrony Pogranicza z Gliwic), na teren tego województwa skierowano 10. Sudecką Dywizję Pancerną oraz wydzielone jednostki 2. Dywizji Zmechanizowanej, wchodzące w skład Śląskiego Okręgu Wojskowego (Wrocław). Komenda Wojewódzka MO w Katowicach miała do dyspozycji 5500 funkcjonariuszy, w tym 1000 członków ORMO i 2500 funkcjonariuszy przegrupowanych z innych województw. Trudna jest do określenia chociażby liczba użytych funkcjonariuszy ORMO, poza mundurowymi – kwestia agentów bezpieczeństwa, osób współdziałających instytucjonalnie (PRON) w bardzo szerokim, terenowym wymiarze

oraz osób wspomagających, zaangażowanie członków PZPR i innych bratnich partii, aktywizacja do celów pomocowych reżimowych związków zawodowych, członków organizacji młodzieżowych itp. Zachowały się dokumenty, z których wynika, że w grudniu (dokument z 21 grudnia 1981 r.) dla celów samoobrony wydział organizacyjny KW PZPR w Katowicach zmobilizował około 10 000 członków zaopatrzonego w broń palną. Formacje te zostały 3 lutego 1981 r. włączone do ORMO jako oddziały polityczno-obronne.

W naszej pamięci odnotowana jest kopalnia „Wujek”... Ale w innych katowickich kopalniach (np. „Katowice”, „Wieczorek”, „Staszic”) też działy się rzeczy straszne – do łaźni wpadało ZOMO. Pałowano bezbronnymi ludźmi... To samo działo się w hutach – na przykład w hucie „Baildon”.

Bito na bramach, bito w hotelach robotniczych, wyprowadzano z tychże hoteli w nocy, wyrivano ludzi ze snu, szczególnie zapisała się w pamięci pacyfikacja hotelu robotniczego przy kopalni Staszic – wyskakujący z okien półnaczy ludzie przechwytywani przez ZOMO...

Liczba zabitych na „Wujku” jest znana. Ile jeszcze było ofiar na Śląsku?

Byli zabici w trakcie pacyfikacji kopalni, byli ci, co zmarli na skutek odniesionych ran, byli ci, co zmarli, bo byli postrzeleni, zmaltretowani, doprowadzeni do kresu wytrzymałości psychicznej... wtedy skutki śmiertelne następowały o wiele później. To są miesiące, czasem kilka lat. Nie jesteśmy w stanie prześledzić losów, szczególnie tu, na Śląsku, gdzie była ogromna migracja ludności. Gdzie wyrzucano z pracy. Nie potrafimy już prześledzić losów wszystkich uczestników wydarzeń na „Wujku” czy na „Manifeście lipcowym”. Ani, poza czołówką, odtworzyć nazwisk, chociaż możemy mówić – w skali Śląska, o setkach rannych.

Przecież jakiś ślad pozostał. Myślę o specjalnej komórce w Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność”, zajmującej się zeznaniami ludzi – bitych, represjonowanych, internowanych...

Jest gotowa do druku lista osób represjonowanych. To jest 119 stron, zawierających imiona, nazwiska i zakłady pracy. To jest lista osób, które były aresztowane, skazywane wyrokami sądów na odsiadkę w więzieniu, które były internowane, a pochodziły z terenu obecnego województwa śląskiego (wtedy były to trzy województwa: bielskie, częstochowskie i katowickie).

Ile nazwisk zawiera lista?

Ponad 3 000. To są sprawy udokumentowane. A więc skala ogromna. I dowód, że szło nie tylko o kopalnię i huty, a więc najbardziej zwartą grupę społeczną; lista obejmuje także Uniwersytet Śląski. Tu koszt stanu wojennego – to 100 osób poddanych represjom. Jest to liczba najwyższa spośród wszystkich uczelni wyższych w Polsce – osób bądź internowanych, bądź skazanych przez sądy na różnego rodzaju kary. W tej liczbie

są pracownicy naukowcy tej miary jak ówczesny rektor UŚI profesor August Chelkowski czy prorektor profesor Irena Bajerowa. To „wojenny wyczyn” bez precedensu w skali kraju! Nie pominięto również studentów. Lista 3 000 osób jest spora, ale jeszcze niepełna. Czas ją opublikować. Największą zbrodnią stanu wojennego było stłamszenie nadziei prostego człowieka. Są krzywdy niedefiniowalne; nigdy nie dokonamy pełnego bilansu strat narodowych i krzywd, jakie są po dzień dzisiejszy skutkiem wojny, jaką komuniści polscy wytoczyli narodowi polskiemu w grudniu 1981 roku! Nie dotyczy to tylko tych, którzy pozostali w kraju, ale w równej mierze tych, którzy zostali zmuszeni – różnymi sposobami – do emigracji.

Ludzie urodzeni w grudniu 1981 roku mają 30 lat. Nowe pokolenia są bez obciążeń. Co przed nimi, albo – co z ich świadomością najnowszej historii Polski, Śląska?

Oby nasza młodzież potrafiła się dobrze w historii, w prawdziwych wartościach ukorzeni. Nie może bać się historii, musi ją przyjmować z całym bagażem. Być może jest tak, że to doświadczenie musiało dotknąć naród, aby wyrosła z tego wartość wolna od poznanego zła. Bez lęków. Wie pani, zło zawsze musi się zamienić w dobro. Inaczej nasze życie nie miałoby sensu.

Dziękuję za rozmowę.



Wizy dla uczestników, kibiców i organizatorów Euro 2012

Departament Konsularny MSZ od dawna przygotowywał się – we współpracy ze stroną ukraińską – do zapewnienia opieki konsularnej na Euro 2012 i sprawnego wystawiania wiz dla kibiców i uczestników Euro. Wizy do Polski potrzebują obywatele jedynie dwóch krajów biorących udział w Euro 2012 – Ukrainy i Rosji. Z kolei Polacy i obywatele innych krajów Unii Europejskiej nie potrzebują wiz na Ukrainę na okres do 90 dni. Do przekroczenia granicy potrzebny jest jednak ważny paszport.

1. Dla uczestników Euro 2012 (piłkarzy, sędziów, lekarzy, działaczy UEFA i FIFA), na podstawie oryginału pisma UEFA lub narodowej federacji piłki nożnej, polskie placówki konsularne będą wydawały bezpłatne wizy długoterminowe z prawem wielokrotnego wjazdu – nie potrzeba osobistego stawiennictwa w placówce konsularnej.

2. Kibice – obywatele państw objętych obowiązkiem wizowym będą otrzymywali wizy pobytowe na podstawie oryginału ważnych biletów na mecze. Nie przekreśla to prawa do odmowy wydania wiz osobom, znajdującym się w Systemie Informacyjnym Schengen (SIS) lub znajdującym się w wykazie osób, których wjazd na terytorium RP jest niepożądany.

3. Dopuszcza się możliwość zbiorowego składania wniosków wizowych dla grup zorganizowanych – nie wymaga to osobistego stawiennictwa. Grupy zorganizowane wnioskujące o wizy na Euro 2012 obsługiwane będą na preferencyjnych zasadach.

4. Na okres Euro 2012 we wszystkich polskich placówkach konsularnych w Rosji i na Ukrainie wydzielony zostanie osobny korytarz wizowy, nie wymagający wcześniejszej rejestracji daty złożenia wniosku wizowego przez Internet.

5. Uruchomiona zostanie maksymalna liczba okienek wizowych, w stopniu na jaki pozwala infrastruktura poszczególnych urzędów. Po wyłonieniu drużyn przechodzących do dalszych etapów mistrzostw, jeśli okaże się, że w Polsce w ćwierćfinale lub półfinale wystąpi Rosja albo Ukraina, wprowadzony zostanie w placówkach w tym kraju system pracy dwuzmianowej obejmujący również pracę w sobotę i niedzielę.

6. Kibice udający się do Polski na Euro 2012, ale nie posiadający ważnych biletów na mecze mogą aplikować o zwykłe wizy turystyczne, z wykorzystaniem normalnej procedury. Placówki konsularne dołożą starań, by wszystkie takie wnioski zostały terminowo rozpatrzone.

7. Apelujemy do wszystkich kibiców, którzy potrzebują wiz do Polski, zwłaszcza z Ukrainy i Rosji, by rozpoczynali procedury w konsulatach jak najwcześniej – o wizy na pobyt w czasie Euro można występować już w marcu 2012 r.

Ukraińskie informacje wizowe: <http://www.mfa.gov.ua/mfa/en/publication/content/1865.htm>

**Biuro Rzecznika Prasowego
Ministerstwo Spraw Zagranicznych**

Dawny kościół jezuitów we Lwowie został cerkwią garnizonową

Od 6 grudnia dawny kościół jezuitów pw. św. Piotra i Pawła we Lwowie znów otworzył swe podwoje dla wiernych jako greckokatolicka cerkiew garnizonowa. Nadal trwa przenoszenie stąd reszty zbiorów ksiąg Narodowej Biblioteki Narodowej im. Wasyla Stefanyka (dawne Ossolineum).

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
JURIJ SMIRNOW zdjęcia

W dniu obchodów 20-lecia Armii Ukraińskiej metropolita greckokatolicki lwowski arcybiskup Igor Woźniak przewodniczył pierwszej Mszy św. w byłym kościele jezuickim, który władze miasta przekazały archidiecezji lwowskiej Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego (UGKC) na cerkiew garnizonową. Wcześniej administrator kapelanii wojskowej o. Stepan Sus powiedział dziennikarzom, że w ciągu ostatnich trzech lat dokładał starań, aby odzyskać dla potrzeb kultu dawny kościół jezuitów. Zezwolenie otrzymano też od Towarzystwa Jezusowego. Jego przełożony na Ukrainie, o. Dawid Nazar SJ, uczestniczył we wspólnej modlitwie. Na chwilę uroczystość zaszczylił swoją obecnością wojewoda lwowski Mychajło Kostiuk. Mer Lwowa Andrij Sadowyj był do końca nabożeństwa. Kościół łaciński reprezentował ks. Jan Nikiel, proboszcz lwowskiej katedry. Na liturgię przybyło kilkunastu wojskowych ze sztandarami, jednak większość nie doczekała się jej zakończenia.

Na początku uroczystości władca Igor Woźniak odmówił modlitwę przebaczenia za zniszczenie i profanację tej świątyni oraz poświęcił jej ściany wewnętrzne, a następnie przewodniczył nabożeństwu i wygłosił homilię. Zaznaczył, że jest to jeden z największych kościołów Lwowa, w którym po II wojnie światowej mieściły się zbiory biblioteki naukowej im. Wasyla Stefanyka (dawne Ossolineum). Podziękował władzom miasta za przekazanie świątyni Ukraińskiemu Kościołowi Greckokatolickiemu (UGKC) i wezwał do jak najszybszego opróżnienia pomieszczeń kościelnych z pozostałych jeszcze zbiorów książkowych.

„Ktoś mówi, że ta cerkiew nie była ukraińską i że służyła wiernym Kościoła łacińskiego. I to jest prawda. Ale prawdą jest także to, że ziemie,



Oczekiwanie przy wejściu do świątyni

na których żyjemy, były okupowane przez różne narody” – powiedział metropolita Woźniak. Podkreślił, że dzisiejsi Ukraińcy mogą obecnie modlić się w świątyniach wzniesionych przez swych pradziadków, dzięki ich ciężkiej pracy. „Dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że teraz na ziemiach tych mieszkają w większości Ukraińcy, którzy potrzebują kościołów, aby się w nich modlić” – mówił dalej hierarcha greckokatolicki. „Nie będziemy nikogo oskarżać ani z nikim polemizować. Taka była historia. Tak w przeszłości układało się życie, dlatego każdy rozsądny i mądry człowiek dobrze to rozumie. Dzisiaj dokonana się zmiana i nie wiemy, co jeszcze może się wydarzyć również w jakimkolwiek miejscu naszej ziemi” – stwierdził metropolita Woźniak. Zdaniem biskupa Mychajła Kołtuna – przewodniczącego wydziału UKGK ds. duszpasterstwa wojskowego – przekazanie dawnego kościoła jezuitów na cerkiew garnizonową ma wymiar ogólnokrajowy. Na razie instytucja kapelanów wojskowych na Ukrainie jeszcze nie istnieje i tu przykładem jest archidiecezja lwowska, która przygotowała już kapelanów, aktywnie pomaga tworzyć duszpasterstwo wojskowe, buduje cerkwie i kapliczki w jednostkach wojskowych, organizuje pielgrzymki do Lourdes, Rzymu

i miejsc odpustowych na Ukrainie. Jednocześnie biskup Kołtun uważa, że nie należy dziwić się, że we Lwowie wojskowi ukraińscy nie zostali jeszcze odpowiednio przygotowani do udziału w uroczystości w nowo powstałej greckokatolickiej cerkwi garnizonowej oraz wezwał do modlitw w ich intencji.

O. Stepan Sus stwierdził, że zabiega o konserwację zachowanych w kościele dzieł sztuki sakralnej. W tym celu zajmuje się poszukiwaniem środków finansowych na Ukrainie i za granicą. Pokazał wydany folder o byłym kościele jezuitów – cerkwi św. Apostołów Piotra i Pawła. Młody energiczny kapłan liczy na to, że w tej świątyni będą też nabożeństwa dla młodzieży a także na to, że będą przychodzić turyści.

Info:

Kościół jezuitów we Lwowie wzniesiono w stylu barokowym w latach 1610-35, głównie dzięki wsparciu finansowemu Elżbiety Sieniawskiej – małżonki marszałka wielkiego koronnego, Prokopa Sieniawskiego. Wzorem dla świątyni był rzymski kościół jezuitów Il Gesù. Świątynia lwowska wykazuje podobieństwo do krakowskiego kościoła św. Piotra i Pawła. W latach 1740-43 sprowadzeni z Brna malarze Franciszek Ekstein i jego syn Sebastian wykonali freski na sklepieniu kościoła. W latach 1744-46 Sebastian Fesinger zbudował w kościele wielki ołtarz główny, konsekrowany w styczniu 1747. W latach następnym zbudowano ołtarze boczne (1754 i 1759).

W 1754 zamontowano zegar na wieży kościelnej, którą planowano wykorzystać też jako obserwatorium astronomiczne. Niestety nie zrealizowano tych planów, gdyż w 1773 Klemens XIV pod naciskiem niektórych państw zachodnich skasował zakon jezuitów. Powrócili oni do Lwowa w 1820, a w 16 lat później odzyskali kościół, po czym ponownie wygnano ich w okresie Wiosny Ludów w 1848. Do miasta wrócili po czterech latach i odtąd kościół św. Piotra i Pawła pozostawał w ich rękach do 1945 r. Po II wojnie światowej obiekt przystosowano pod magazyn dla zbiorów Biblioteki Ossolineum nie zwróconych Polsce oraz dla ksiąg przywiezionych ze wschodu Ukrainy i z Rosji.



GŁÓD KSIĄŻKI POLSKIEJ WE LWOWIE

Za czasów władzy sowieckiej w byłej księgarni „Družba” (Przyjaźń) w centrum Lwowa można było nabyć wiele różnych książek w języku polskim – od popularnych kryminałów do literatury naukowej i akademickiej. Obecnie w mieście „Semper Fidelis” Iwan Swarnyk, dyrektor Publicznej Obwodowej Biblioteki Naukowej we Lwowie stwierdza, że już od wielu lat w jej zbiorach nie ma współczesnych polskich wydań.

z IWANEM SWARNYKIEM rozmawiał KONSTANTY CZAWAGA.

Pretekstem naszej rozmowy stało się niedawne, uroczyste przekazanie przez konsulat generalny Federacji Rosyjskiej we Lwowie oraz inne instytucje z Moskwy zbioru wspaniałych współczesnych książek w języku rosyjskim dla waszej biblioteki. Pamiętam jak kiedyś starszy pracownik biblioteki literatury obcej przy ulicy Mularskiej (obecnie oddział Obwodowej Biblioteki Naukowej) powtarzał studentom, ażeby nie tracili swoich pieniędzy na drogie książki w „Družbie”, ponieważ wszystko można wypożyczyć za darmo w bibliotece państwowej. W czytelnicy było też sporo świeżych polskich czasopism. Teraz ich nie ma. Co się stało?

Bez wątplenia, że Lwów jak miasto, które nadzwyczaj wiele znaczy dla historii i kultury Polski, miało przez dłuższy czas wielkie tradycje polskiej książki. Powiedzmy, w lwowskiej księgarni „Družba” polska książka stanowiła ponad połowę powierzchni sklepowej. Dlatego dla każdego mieszkańca Lwowa, czy to polskiego pochodzenia, czy Ukraińca, czy dla każdej inteligentnej osoby polska książka oznaczała dostęp do światowej cywilizacji.

Jest Pan Ukraińcem. Kiedy i gdzie nauczył się pan polskiego?

Nigdy specjalnie polskiego się nie uczyłem. Polskiego słuchałem w radiu. Miałem w kuchni radio nastawione na Warszawę i szczególnie śledziłem wydarzenia w Polsce w okresie Solidarności. Oprócz tego, polskie radio nadawało dużo dobrej muzyki. Pasjonowałem się wtedy muzyką współczesną. Polskie radio stało się dla mnie pierwszą szkołą. Poza tym pierwszą moją książką w obcym języku były „Bajki” Jana Brzechwy, które ojciec (poeta i bajkopisarz Iwan Swarnyk – red.) sprezentował mi, gdy miałem pięć lat. Ojciec czytał mi polskie bajki, tłumaczył je na język ukraiński. Tak po raz pierwszy usłyszałem język polski. Dlatego język polski był pierwszym językiem obcym, który poznałem.

Wielu z nas w czasie studiów na Uniwersytecie zapoznawało się z klasyką światową w polskich przekładach.

Tak. Moje wiadomości z literatury światowej w dużym stopniu czerpałem dzięki polskim przekładom. Polacy, tak jak i Rosjanie, wiele uwagi udzielali przekładom klasyki światowej i ówczesnej literatury współczesnej. Później, miałem jeszcze

jedną okazję. Gdy ożeniłem się, mój szwagier był specjalistą od telewizji i zmajstrował antenę na Polskę, co sprawiło, że mogłem odbierać dwa polskie programy. Polska telewizja była o wiele ciekawsza niż sowiecka. Kryminały, kino europejskie, które wtedy demonstrowano, dla mnie, jak i dla wielu lwowian było możliwością dołączenia się do kultury światowej, ówczesnego europejskiego, amerykańskiego i światowego kina. Były tam też ciekawe programy publicystyczne i muzyczne.

Jako historyk, też wiele pan czerpał z polskich źródeł?

Naturalnie. Nie tylko źródła, ale i sam stosunek do wydarzeń historycznych. Polacy zawsze byli narodem patriotycznym, nie zważając na reżim, który w ich kraju panował: czy to komunistyczny, czy socjalistyczny. Ale Polska była Polską. Nigdy nie była ani sowiecką, ani socjalistyczną. Jeżeli była socjalistyczna, to pozostawała Polską, w odróżnieniu od Ukrainy. Pamiętam, jak ojciec z jakiejś delegacji pisarzy z Polski przywiózł okładkę na zeszyt, gdzie były portrety królów polskich. Było to dla mnie szokiem, bo nikt z ukraińskich uczniów nie uczył się o książkach kijowskich. Uczyliśmy się o Olegu, Jarosławie, Włodzimierzu, ale po kolei ich nie znaleźliśmy. Było to dla mnie przykładem stosunku do historii.

Potem miał pan styczność z językiem polskim w czasie pracy w Centralnym Archiwum Historycznym Ukrainy we Lwowie (w murach byłego klasztoru bernardynów).

Gdy trafiał mi się pośród tekstów łacińskich, które są bardzo złożone. Nasz lwowski tłumacz z łaciny Andrij Sodomora często mówił, że nie ma tu początku tekstu i nie ma końca. Chyba, że koniec będzie tam gdzie w dokumencie stoi data. I gdy w łacińskim tekście, trudnym, biurokratycznym i prawniczym trafiały się polskie wstawki, było to dla mnie kluczem, który pozwalał mi rozgraniczyć. Oto koniec jednej konstrukcji, tu ma być podmiot i orzeczenie, a tu są te fragmenty, które z łaciny nie przekładają się w ogóle.

Wróćmy do największej we Lwowie i dostępnej dla wszystkich kategorii czytelników publicznej naukowej biblioteki, której pan jest dyrektorem. Jaką jest część w zbiorach biblioteki zajmują polskie książki, włączając w to i wydział literatury obcej na ul. Mularskiej?

Ilość polskiej książki jest minimalna. Otrzymujemy tylko to, co nam darują dobroczyńcy. Na przykład, redaktor naczelny lwowskiego pisma „Ji” Taras Woźniak przekazuje nam książki, w tym i po polsku, które mu



Iwan Swarnyk

nie za bardzo są potrzebne. Zbiory biblioteki liczą ponad 700 tys. tomów i te kilkadziesiąt książek, to nie są żadne znaczące uzupełnienia zbioru.

A czy są poszukiwane polskie książki przez czytelników?

Bez wątplenia. Czytelnicy, szczególnie studenci słowiańskiej filologii Uniwersytetu Lwowskiego. Studiują język polski i literaturę, dla nich to jest sprawa zawodowa. Mogą zapoznać się z polską klasyką. Z twórczością Norwida, Mickiewicza czy Słowackiego, ale są to wydania z lat 30-40-50-60 XX wieku, ale nie mają żadnego pojęcia o współczesnej polskiej literaturze. Czy to o poezji, czy prozie, czy nawet współczesnej literaturze naukowej. Wiemy, na przykład, że nauki historyczne w Polsce są nadzwyczaj rozwinięte. To co u nas robi się dopiero teraz, to w Polsce osiągnięto już w latach 50-60 zeszłego wieku. Przykładem mogą tu służyć wydawnictwa o małych miasteczkach i wioskach. Ta miłość do swojej małej ojczyzny – jest to przykład, który warto naśladować. Poza tym są przekłady prac z dziedziny filozofii, historiozofii. Prace te bardzo sumiennie i starannie są tłumaczone na język polski.

Czy zwracał się pan do polskich wydawnictw, bibliotek i innych instytucji w Polsce, aby uzyskać taką literaturę?

Jest to zadanie, które stoi przede mną. Dopiero od dwu lat jestem dyrektorem. Mam wiele problemów, szczególnie w dziedzinie kompletowania ukraińskiej, rosyjskiej i każdej innej literatury. Zadanie pierwsze – zabezpieczyć należyty stan techniczny, aby wszystkie wydziały miały wyposażenie komputerowe. Bez katalogu elektronicznego jest to biblioteka dnia wczorajszego, lub nawet przedwczorajszego. Dziś w szafach są tysiące i tysiące kartek, w których studenci nawet nie zawsze się orientują. W odróżnieniu – katalog elektroniczny – jest absolutnie czytelnym i zrozumiałym. Już wiele zrobiono.

Jak ocenia pan inicjatywę konsulatu generalnego Federacji Rosyjskiej we Lwowie, który był współorganizatorem przekazania biblioteki zbioru nowych rosyjskich wydań?

Jest to bardzo ważny krok ze strony tzn. Domu Rosyjskiej Zagranicy im. Sołżenicyna, struktury, która celowo pracuje nad tym, aby szerzyć i popularyzować rosyjską książkę na świecie i dbać o zaspokojenie potrzeb w literaturze swojej mniejszości narodowej. Była to inicjatywa absolwentów Uniwersytetu Lwowskiego, Rosjan z pochodzenia, mieszkających we Lwowie. Zwrócili się oni do Domu Rosyjskiej Zagranicy z propozycją przekazania do Lwowa takiego zestawu książek. Cieszę się bardzo, że te książki trafiły do mojej biblioteki i będą dostępne nie tylko dla rosyjskiego czytelnika. Są to rzeczy, które w dużym stopniu stosują się rosyjskiej kultury, ale są to wydania, które nie ukazywały się w okresie sowieckim. Są to utwory ludzi, którzy przeszli przez obozy, trafili na wygnanie. W wielu wypadkach los rosyjskiej inteligencji był analogiczny do losu ukraińskiej inteligencji, która osiadła w Krakowie czy Paryżu, w Austrii czy Niemczech, czy za oceanem.

Czy zainteresowany byłby pan taką literaturą też w Polsce?

Bez wątplenia! Gdy patrzymy na to, co wydaje się we współczesnej Rosji, to możemy sobie wyobrazić co wydaje się we współczesnej Polsce!

Czy ma pan kontakt z konsulem generalnym RP we Lwowie?

Z żalem muszę stwierdzić, że na razie takich kontaktów nie mam. Mam dobre stosunki z konsulem Czech. Obecnie z konsulem Rosji, z polskim, niestety, nie mamy. Jest to dla mnie przykre, bo od dłuższego czasu związany jestem z polską kulturą. Tłumaczyłem dzieła literatury polskiej na język ukraiński. Przez 10 lat byłem członkiem Rady Fundacji „Krzyżowa” dla Porozumienia Euro-

pejskiego koła Wrocławia. Jeździłem co roku do Polski, mam tam dużo przyjaciół, kolegów. Miałem wykłady w Krakowie, uczestniczyłem w konferencjach naukowych w wielu polskich miastach.

Przed naszym spotkaniem rozmawiałem z dyrektorem Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego w Przemyślu dr. Stanisławem Stępnem, który powiedział, że przygotowuje dla Obwodowej Biblioteki Naukowej we Lwowie po egzemplarzu każdego wydania swego Instytutu.

Byłby to nadzwyczaj korzystny krok dla obu instytucji. Pana Stanisława znam jeszcze z mojej pracy w Archiwum. Przyjeżdżał tam jako naukowiec, badał życie Symona Petlury w zbiorach Archiwum we Lwowie. Mam z nim ciepłe stosunki i przyjemne wspomnienia. Chciałbym wspomnieć, że w Polsce istnieje wielkie lwowskie lobby. Są to organizacje Miłośników Lwowa, żyją potomkowie tej inteligencji, która była profesorami w Politechnice Lwowskiej, na Uniwersytecie. Wiem, że w Polsce jest wiele publikacji poświęconych naszemu miastu. Nawet w moim gabinecie jest z dziesiątek książek na ten temat: „Cmentarz Łyczakowski” Stanisława Nieciei i inne.

Nasza koleżanka red. Stanisława Warmbrand, była lwowianka z Akademickiej, pyta, czy jest możliwość przekazywać do biblioteki prywatne zbiory książek? Są chętni.

Z chęcią. Tym bardziej, że mamy analogiczne przykłady współpracy z ukraińską emigracją w Kanadzie, Australii. Z Rzymu mamy bibliotekę śp. ojca Dmytra Błażejowskiego. Są to bardzo cenne rzeczy, które są bardzo potrzebne szerokiemu czytelnikowi. Szczególnie dla młodego czytelnika. I jeszcze jedno. Od dawna sławną we Lwowie była biblioteka literatury zagranicznej na ul. Mularskiej, o której pan wspominał. Teraz jest w strukturze naszej biblioteki. Ma bardzo bogaty zbiór, ale tam też brakuje literatury współczesnej, szczególnie polskiej. Jak byśmy mieli uzupełnienia, to moglibyśmy przekazywać to co dostajemy w kilku egzemplarzach do bibliotek rejonowych. Wiemy, że Polacy mieszkają w województwie lwowskim w kilku miejscowościach. Kultura polska jest nam bardzo bliska, tym bardziej, że mamy tu wiekowe tradycje wspólnego zamieszkiwania w jednym państwie – Rzeczypospolitej. Też tradycje międzywojennej Polski, gdy Ukraińcy czuli się różnie, ale pamięć, tradycja i język polski i polska kultura pozostały. Szczególnie wśród ludzi starszych. A młodzież powinna poznawać współczesną polską kulturę i literaturę.

Dziękuję za rozmowę.

POWSTRZYMAĆ RZEŹ

W TRUSKAWCU!

Apelujemy o pomoc w imieniu naszych braci mniejszych

W Truskawcu (województwo lwowskie), jak i w niektórych innych miastach Ukrainy, lokalne władze w brutalny i oburzający sposób mordują psy – zarówno bezpieczne, jak i mające właścicieli. O tym że w uzdrowskim miasteczku, po przyjściu do władzy nowego mera Rusłana Kozyra, problem bezpiecznych psów rozwiązuje się w tak barbarzyński sposób, jak uśmiercanie ich za pomocą dithylinum – substancji paraliżującej układ oddechowy – informują wolontariusze miejscowego Stowarzyszenia Ochrony Zwierząt.

WŁODZIMIERZ KLUCZAK
red. naczelny internetowej gazety
Truskavetskyj Visnyk

Problem, który dotyczy niestety całej Ukrainy, został nagłośniony też przy wsparciu polskich mediów, jak np. Polskie Radio czy TVN 24 (zobacz <http://www.youtube.com/watch?v=sDR7cYG9QYI>).

Truskawieccy obrońcy psów przy pomocy nieobojętnych dziennikarzy Truskawca i Borysławia niejednokrotnie zwracali się do samorządów z prośbą by chociażby wysłuchać ich propozycje, lecz burmistrz mia-

w uzdrowsku zajmuje się jeden z robotników przedsiębiorstwa komunalnego z Borysławia. Ponieważ władze lokalne nie reagują na apele obrońców zwierząt, 2 grudnia br. obrońcy zwierząt zwrócili się z prośbą o wyjaśnienie całej sytuacji i pomoc do premiera Ukrainy Mykoły Azarowa. Przygotowania do Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej na Ukrainie idą pełną parą i z wielkim zaangażowaniem są nie tylko budowane drogi czy stadiony, ale także okrutnie mordowane zwierzęta. Obrońcy zwierząt z Truskawca boją się, że do czerwca 2012 roku zamiast zbudować psie schroni-



sta żadnego głosu oprócz własnej opinii słuchać i słyszeć nie chce. Od początku roku psy w Truskawcu zabijali hycie ze Stryja i Lwowa („słynne” ДКП „Лев”). Na podstawie umowy zawartej pomiędzy firmą „Lew” a władzami Truskawca (ze strony Truskawca podpisał Jurij Terlečkiy, naczelnik wydziału gospodarki komunalnej rady miejskiej) lwowscy hycie od kwietnia po lipiec 2011 roku 7 razy wylapywali i zabijali bezpieczne psy w parku uzdrowskim, często w obecności kuracjuszy (w tym i dzieci) z różnych stron Ukrainy, Polski i innych krajów Europy.

Pod presją rozgniewanych kuracjuszy oraz miejscowych wolontariuszy ochrony zwierząt od lipca hycie ze Lwowa do Truskawca już nie przyjeżdżają. Tym niemniej niszczenie psów w Truskawcu trwa, o czym świadczy wielka ilość dokumentów, podanych do milicji i prokuratury oraz artykuły w lokalnych środkach masowego przekazu. Na podstawie wyłącznie jakiejś umowy ustnej z merem Truskawca zabijaniem zwierząt

ska, władze wyniszczą wszystkie psy w terenie.

Niepokojącym faktem jest też „polowanie” na wolontariuszy, dyskredytowanie ich w wypowiedziach władz lokalnych i w kontrolowanych przez nie mediach. Obrońcy zwierząt otrzymują bez żadnych podstaw odmowy na prawo handlu, często również wywierana jest na nich presja w miejscu pracy.

Jest takie ludowe przysłowie, że nie wynosi się śmieci z domu, lecz z wielkiej trwogi obrońcy zwierząt w Truskawcu zdecydowali zwrócić się z apelem o pomoc do polskich przyjaciół, z prośbą chociażby wsparcia ich poprzez media.

Zwolennicy rozwiązania problemu bezpiecznych psów w bardziej europejski sposób boją się, że los zastrzelonych zwierząt może stać się kiedyś i ich udziałem. Szczególnie w mieście, gdzie mer za własne pieniądze i bez zważania na protesty wielu ludzi postawił pomnik Stefanowi Banderze.

KG

Kandydat do filmowego Oscara PRZETR WALI w kanałach Lwowa

Żaden inny polski film nie miał, na przestrzeni ostatnich lat, tak dużej szansy na oscarową nominację. „W ciemności”, najnowszy obraz Agnieszki Holland i polski kandydat do tegorocznej nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej, podbija prestiżowe festiwale filmowe i zbiera znakomite recenzje w światowej prasie.



Kadr z filmu Agnieszki Holland

Zły, ale dobry
„W ciemności” przenosi widzów do kanałów lwowskiego getta, gdzie przed niemieckim okupantem ukrywa się 21 Żydów. To oparta na faktach dramatyczna historia Żydów, którzy podczas likwidacji getta we Lwowie ukryli się w kanałach pod miastem i spędzili tam czternaście miesięcy w latach 1943-44. Jedyń- cioru z grupy dwudziestu jeden osób (w tym dwojga dzieci i ciężarnej kobiety) udało się przetrwać dramat życia w podziemiach miasta – wśród szczurów, o głodzie, w otaczających ich wilgoci i ciemności. Historia ta prawdopodobnie nie miałaby szczęśliwego zakończenia gdyby nie pomoc Leopolda Sochy, polskiego kanalarza, któremu autor zadedykował książkę. Prosty złodziejasek, w którego rolę w filmie wciela się Robert Więckiewicz, początkowo jedynie dla własnego interesu zaczyna pomagać ukrywającej się grupie, wkrótce jednak postanawia bezinteresownie uratować tym ludziom życie, narażając w ten sposób siebie i swoją rodzinę. Między Polakiem a uciekinierami powstaje głęboka więź emocjonalna, która przekształca się w heroiczną walkę o ich życie. I to właśnie na tym aspekcie swoją uwagę koncentruje reżyserka filmu.

Agnieszka Holland, autorka słynnego „Tajemniczego Ogrodu” z 1993 r., już wiele lat temu chciała nakręcić film o postaci niejednoznacznej, nie heroicznej, często antysemitycznej, ale z jakichś wewnętrznych powodów dążącej ku dobru bliźniego. Plany zrealizowała dopiero teraz, po zapoznaniu się z losem 7-letniej Krystyny Chiger, która spędziła rok w kanałach. Kobieta spisała później swoją historię w książce „Dziewczynka w zielonym sweterku”.

„Chciałabym, aby ten film był bliski bohaterom, rzeczowy i uczciwy emocjonalnie. Z kamerą widzowie podążają za postaciami przez niekończące się kanały. Ciemność musi pozostać ciemnością, a widzowie muszą czuć, że są tam razem z bohaterami” – opowiada w swoim obrazie Agnieszka Holland.

Sam scenariusz filmu powstał na podstawie książki Roberta Marshalla „W kanałach Lwowa”. (Wydana w 2011 roku w wydawnictwie Świat Książki – red.) Film to koprodukcja polsko-niemiecko-kanadyjska, zrealizowana w Berlinie, Lipsku, Łodzi, Warszawie i Piotrkowie Trybunalskim. Na ekranie pojawiają się znani aktorzy z tych krajów, m.in. Robert Więckiewicz (w roli Leopolda Sochy), Maria Schrader (Krystyny Chiger), Herbert Knaup i Joachim Paul Assböck.



*Wszystkiego dobrego,
barszczu smacznego,
prezentów wiele,
życzą przyjaciele.*

Zachwyceni krytycy

„W ciemności” znakomicie przyjęła branża filmowa i recenzenci. Obraz, porównywany do „Listy Schindlera” i „Pianisty”, w ostatnim czasie zebrał szereg prestiżowych wyróżnień. Film jest m.in. laureatem Nagrody Publiczności Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Mar Del Plata, Nagrody za Najlepszą Reżyserię Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Valladolid czy Nagrody dla Najlepszego Filmu na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym St. Louis.

Film spotkał się także z entuzjastycznym przyjęciem na prestiżowych festiwalach w Toronto, Chicago i Telluride, a autorkę zdjęć do filmu, Joannę Dylewską, nagrodzono „Złotą Żabą” na tegorocznym prestiżowym festiwalu Plus Camerimage.

Wiele miejsca „W ciemności” poświęciły także słynne dzienniki, m.in. „The New York Times” i „Wall Street Journal”. W weekendowym wydaniu pierwszej gazety ukazał się obszerny artykuł i filmie i wywiad z odtwórcą głównej roli. Autor publikacji, Larry Rohter, podkreślił, że „In Darkness” (angielski tytuł filmu) ma duże szanse na znalezienie się na liście produkcji nominowanych do Oscara. Wróżąc obrazowi Agnieszki Holland świetlaną przyszłość Joe Morgenstern z „TWSJ” scharakteryzował film jako „odważny, epicki, daleki od konwencjonalnej rozrywki”.

Aktualnie o żadnym innym nie-anglojęzycznym filmie nie mówi się w USA tak dużo, jak o najnowszym obrazie polskiej reżyserki.

„W ciemności” wejdzie w styczniu 2012 r. na ekrany kin na całym świecie. Czy na Ukrainie też?

GR / wp.pl

Podziękowanie

**Pani Ewa Pietrykiewicz,
Przewodnicząca Katolickiego
Stowarzyszenia Wychowawców
Oddział w Warszawie**

Szanowna Pani Prezes!

W swoim imieniu, w imieniu rodziców i dzieci pragnę wyrazić zadowolenie z organizowanych przez KSW im. Stanisława Kostki szkoleń dla osób z Ukrainy, zwłaszcza z Szepetówki. Staropolskie „BÓG ZAPŁAĆ” Państwu za niestrudzoną pracę na rzecz pomocy rodakom zamieszkałym poza granicami Kraju!

Życzymy Pani Prezes, gronu Pedagogicznemu i wszystkim pracowników KSW im. Stanisława Kostki dużo zdrowia, siły, i satysfakcji z tej pracy, którą Państwo podejmujecie.

**z upoważnienia Zarządu Szepetowskiego Oddziału ZPU
Walentyna Pasiecznik
oraz rodzice uczniów**

Świąteczne przysłowia

Na dzień Adama i Ewy daruj bliźnim gniewy.

Boże Narodzenie po wodzie, to Wielkanoc po lodzie.

Królowie pod szopkę, dnia na kurzą stopkę.

Jak w Wigilię z dachu ciecze, jeszcze się zima długo powlecze.

Gdy w Narodzenie pogodnie, będzie tak cztery tygodnie.

Gdy w pełni księżyca Gody przypadają, łagodną resztkę zimy z tego wysnuwają.

Adam i Ewa pokazują, jaki styczeń i luty po nich następują.

POLSKIE RADIO KRAKÓW Z LWOWSKĄ PIOSENKĄ W TLE



ALEKSANDER SZUMAŃSKI

Młodzi Polacy, ale nawet i ci średniego pokolenia pozbawieni są dzisiaj słuchania tych lwowskich melodii i piosenek. Nikt bowiem, może za wyjątkiem Radia Katowice, w niedzielnej audycji Danuty Skalskiej nie przypomina w Polsce chlubnych tradycji przedwojennego „Radia Lwów” i jego „Wesołej Lwowskiej Fali”.

Już po raz trzeci, począwszy od listopada 2009 roku Radio Kraków jednoczy się ze Lwowem w swojej audycji „Blues do dwóch miastach”. I tak oto 9 listopada 2011 roku, w Studiu im. Romany Bobrowskiej Radia Kraków, al. Słowackiego 22 odbył się kolejny koncert w krakowskiej rozgłośni poświęcony obu miastom. Właściwie bardziej precyzyjnie – odbył się spektakl słowno-muzyczny. Poezja śpiewana z urozmaiconą formą przekazu, tekstami i muzyką wybitnych autorów i ta anonimowa – uliczna zawsze wzrusza, raduje i wywołuje emocje. Tym bardziej, że dotyczy tych miast, które kochamy.

„Piosenka jest dobra na wszystko”, właśnie. Szczególnie lwowska. Lwowskie piosenki wybitnych autorów takich jak: Marian Hemar, Jerzy Petersburski, Henryk Wars, Emanuel Szlechter, Witold Szolginia, Feliks Konarski, Jerzy Michotek, Jerzy Janicki, jak i te popularne „sztajjerki” anonimowe, uliczne. Stanowią dokument polskiej kultury obyczajowej i muzycznej, a także języka przełomu XIX wieku oraz dwudziestolecia międzywojennego w regionie, gdzie współżyły różne narodowości, krzyżowały się różne prądy obyczajowe i kulturowe, a kultura i język polski, mające zdolność asymilowania elementów obcych, rozwijały się potężnie i dumnie.

Lwów, stołeczne miasto Galicji stanowił wybitny ośrodek naukowego życia polskiego. Przede wszystkim Uniwersytet Lwowski od 1910 roku noszący imię Jana Kazimierza – skupiał uczonych – twórców wielu szkół naukowych, liczących się w ówczesnej Europie, a utrzymujących swoją pozycję także w dwudziestolecu międzywojennym. Życie kulturalne Lwowa XIX i XX wieku pomimo narzekań krytyków na prostactwo, kosmopolityzm i wiedeński stempel na wszystkim rozwijało się intensywnie, prężnie i systematycznie, osiągając rozmach i wysoki poziom w dziedzinie teatru, literatury, krytyki, dziennikarstwa i sztuk pięknych. Wystarczy wskazać choćby niektóre nazwiska urodzonych, lub działających we Lwowie twórców: ludzi teatru – W. Bogusławski, S. Skarbek; pisarzy i krytyków – W. Pol, S. Goszczyński, A. Fredro, W. Belza, K. Ujejski,

G. Zapolska, M. Konopnicka, K. Matuszyński, J. Kasprówic, M. Wolska, Beata Obertyńska J. Balicki, J. Parandowski; malarzy, rzeźbiarzy i architektów – A. Grottger, K. Sichulski, M. Dułębiana, Z. Gorgolewski, L. Marconi. Doniosłą rolę w dziejach piśmiennictwa i kultury polskiej odegrały lwowskie firmy księgarsko-wydawnicze.

Kraków i Lwów, dwa czołowe ośrodki nauki i kultury polskiej, dwa nasze „Piemonty”, w których skupił się ruch niepodległościowy przed pierwszą wojną światową, dwa miasta owiane historyczną legendą, łączyły w długoletniej historii rozliczne związki. Starszy o prawie cztery wieki Kraków w okresie rozbięcia dzielnicowego nie był jeszcze zainteresowany ekspansją na ziemie ówczesnej Rusi Halicko-Włodzimierskiej. Najlepiej świadczy o tym bunt panów Krakowskich w 1191 roku przeciw ruskiej polityce Kazimierza Sprawiedliwego. Ale za Kazimierza Wielkiego było już inaczej. Rozkwit handlu lewantyńskiego na szlaku wiodącym z genueńskiej Kaffi i moldawskich portów Kilia i Białogród przez Lwów do Krakowa, Wrocławia i dalej na zachód, spowodował zainteresowanie kupców krakowskich ekspansją na ziemie wschodnie. Dlatego Kraków, podobnie jak moiżni i rycerstwo małopolskie, poparł politykę króla. Przyłączenie Ziemi Halickiej przez Kazimierza Wielkiego wzbudziło nadzieję, że patrycjat krakowski przejmie w swoje ręce intratny handel ze Wschodem. Płynęły stamtąd cenne towary, poszukiwane w całej Europie – korzenie, przyprawy, jedwab, bawełna, pachnidła i alun. W odwrotnym kierunku wiezono sukno, wyroby metalowe i produkty rzemiosła zachodnioeuropejskiego oraz polskiego.

Wielokulturowość Lwowa ruskożydowsko-ormiańska, a także w mikroskali niemiecko-czeska, mieściła się w obszarze kultury polskiego miasta. Kraków jako pierwsze miasto udzieliło w listopadzie 1918 roku pomocy miastom Przemyśl i Lwów,



Franciszek Makuch



Irena Paprocka

które walczyły o niepodległość. W 1920 r. Lwów obronił Kraków przed nawałą bolszewicką. Za bohaterską postawę został odznaczony przez marszałka Józefa Piłsudskiego Krzyżem Virtuti Militari, znowu wszedł do legendy narodowej.

W II Rzeczypospolitej Lwów i Kraków zostały tylko miastami wojewódzkimi, co oznaczało dla nich pewną degradację. Zarazem jednak rozrosły się terytorialnie, wzrosła liczba ich mieszkańców. „Lwowskie Targi Wschodnie” wpływały korzystnie na ekonomikę Krakowa, przyczyniły się do rozwoju między nimi kontaktów handlowych. W latach 30. oba miasta uzyskały ze sobą połączenia lotnicze, nawiązane zostały też kontakty turystyczne. W dziedzinie nauki i kultury podtrzymywano dawne więzy. Wielu profesorów uczelni lwowskich wykładano w Krakowie i na odwrót, niektórzy z nich przenosili się

z jednego miasta do drugiego. Tak na przykład, badacz kultury średniowiecznej i dziejów miast Jan Ptaśnik był profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza i Uniwersytetu Jagiellońskiego, mechanik Maksymilian Huber wykładał na Politechnice Lwowskiej i AGH, a geograf i kartograf Eugeniusz Romer był profesorem UJK i UJ. Na scenach Lwowa i Krakowa występowali artyści tej miary jak Karol Adwentowicz i Adam Didur, reżyserowali przedstawienia m.in. Leon Schiller i Otto Axer. Nawiązano też szerokie kontakty sportowe. Już w 1911 r. z inicjatywy Lwowskiego Klubu Sportowego „Czarni” i krakowskiej „Wisły” powstał Związek Polskiej Piłki Nożnej, przekształcony w II Rzeczypospolitej w PZPN. Lwowska „Pogoń” po zaciętej rywalizacji z krakowskimi klubami „Wisła” i „Cracovią” wywalczyła w latach 1922-1926 tytuł piłkarskiego mistrza Polski. Kraków i Lwów były w ogóle kolebkami polskiego sportu i skautingu. One też solidarnie udzielały pomocy fachowej całemu krajowi, bowiem jako jedyne wielkie miasta dysponowały u progu niepodległości znaczną ilością gruntownie wykształconej inteligencji.

Przechodząc do relacji z koncertu, ujrzelśmy na wstępie barwny regionalny zespół „Niecieczanie” (teatr i chór ludowy w Niecieczy). Założenie

chóru w Niecieczy nastąpiło w 1915 roku przez ówczesnego księdza parafii ofimowskiej Stanisława Słoninę. Kontynuatorem tej działalności był ksiądz Leon Birnbaum do czasu, kiedy do Niecieczy w 1916 roku przybył nowy kierownik szkoły Bolesław Banek i przez kilka lat wspólnie prowadził tę działalność. Pierwszy występ chóru odbył się 6 stycznia 1916 roku w kościele parafialnym w Otfimowie. Chór śpiewał na dwa głosy. W tym czasie wystawiono Jasełka, do których ksiądz Birnbaum użył własnych kostiumów teatralnych. Wspomnieć jednak wypada, że przed pierwszą wojną światową powstał załazek teatru – kółko teatralne, które przez pewien czas prowadził ówczesny kierownik szkoły Józef Kummer. W 1904 roku wystawiono pierwsze przedstawienie związane tematycznie z Bitwą pod Raclawicami. „Niecieczanie”, zaprezentowali śpiewy i tańce w wykonaniu artystów w strojach regionalnych, którym przygrywali muzycy na instrumentach – dętych, klawiszowych i strunowych. Występ zespołu podobał się licznie zebranej publiczności, a gdy artyści schodzili ze sceny, publiczność bisowała.

No cóż, we Lwowie muzyki śpiewały zawsze.

I tu nasuwa się pytanie, które miasto jest piękniejsze, Lwów, czy Kraków? Odpowiedź wcale nie jest łatwa, gdy ogląda się dwa piękna, a właściwie piękno w pięknie. Można nawet porównywać monumentalne wielokilometrowe ciągi kamienic lwowskich, z krótkimi, pięknymi ulicami krakowskimi, ale zaprojektowane w innej przecież wyobraźni urbanistycznej. Kto ma rację? Zapewne poeta:

{...} *Dwa miasta otrzymałem w darze,
A które piękniejsze?*

*Czy Lwów Katedrą marzeń,
Czy Groby Królewskie [...]*

Ale po kolei. Gdy zespół muzyczny „Chawira” pod kierownictwem prezesa Fundacji Ocalenia Kultury Kresowej Karola Wróblewskiego rozpoczął koncert, to natychmiast pomyślałem o Jerzym Polomskim, ale właściwie o „Big Cycu” z którym pan Jerzy wylansował piosenkę „Cała sala śpiewa z nami”. Bo też i cała sala zajęta przez ponad 100 osób, trzymając się za ręce śpiewała „Tylko we Lwowie”.

Nazwa „Chawira” pochodzi z gwary południowo-wschodnich Kresów i oznacza ciepły, rodzinny dom.

Zespół „Chawira” powstał w Krakowie, jesienią 2003 roku, założony przez Karola Wróblewskiego – akordeonistę i wokalistę z zamiarem popularyzowania piosenek polskich z okresu międzywojennego, kresowych, patriotycznych, a także piosenek światowych z okresu pierwszej połowy XX wieku, w tym również jazzowych. Skład zespołu zmieniał się kilkakrotnie, jednakże przez wszystkie lata niezmienna pozostała jego baza w osobach Karola Wróblewskiego i Stefana Czyży – saksofonisty, klawecisty i wokalisty.



Zespół „Chawira”

Pierwszy koncert zespołu odbył się 12 marca 2004 roku w Śródmiej-skim Ośrodku Kultury w Krakowie i poświęcony był w całości piosenkom lwowskim. Występ bardzo spodobał się publiczności, wśród której powstała inicjatywa cyklicznych spotkań z zespołem „Chawira”. Po wielu takich spotkaniach zawiązało się Towarzystwo Kresowe „Chawira”, które zorganizowało do dnia dzisiejszego ponad 250 cyklicznych spotkań z zespołem w różnych znanych restauracjach krakowskich.

Odbyło się też wiele koncertów w domach kultury i innych ośrodkach kulturalnych w całym kraju, a także za granicą (Wiedeń, Linz, Budapeszt, Norymberga). Pierwszą wokalistką zespołu była Ilona Gawlik.



Mieczysław Świącicki

Gdy prowadzący koncert Wacław Krupiński poprosił do fortepianu Jerzego Michała Bożyka, jeszcze długo przed jego występem rozlegały się brawa. Lwowski i krakowski bard Jerzy Michał Bożyk (ps. Boży Jerzyk, ur. 7 maja 1941 we Lwowie) – polski pianista i wokalista jazzowy, promotor polskiego autostopu i jazzu. Lingwista (tłumacz języka słowackiego) i socjolog, działacz niepodległościowy (KPN, Związek Strzelecki „Strzelec”, wielokrotny uczestnik Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej), cyklista, jak również turysta górski. Przewodnik po Małopolsce i Szlaku Orlich Gniazd. Wieloletni uczestnik Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy pod Baranami.

Ukończył Liceum Muzyczne w Łodzi w 1959. Po ukończeniu szkoły rozpoczął współpracę z zespołami „The Jazz Five Boys”, „Silver Jazz” i „Tiger Rag”. Do 1976 koncertował na kontraktach w Czechosłowacji, Finlandii i Szwecji.

W 1977 zdał państwowy egzamin piosenkowski u profesora Bardiniego. Następnie rozpoczął studia teatrolologiczne na Uniwersytecie Łódzkim, które ukończył w 1985. Od 1982 był członkiem zespołu jazzowego Beale Street Band. Zagrał rolę pianisty w filmie Bracia Karamazow. Obecnie koncertuje w krakowskim klubie „Awaria”, co roku także otwiera festiwal piosenki studenckiej YAPA.

Bisom nie było końca. Jurek Bożyk prezentuje rzadko spotykany głos „lekkobachrypnięty” i tym samym wciela się niewątpliwie w Luisa Armstronga.

Paweł Paprocki – dziesięcioletni pieśniarz, przy akompaniamencie swojej mamy Ireny Paprockiej wzruszająco śpiewał do jej tekstów o Lwowie. I tu były bisy, a niekiedy były wzruszenia, również gdy Irena Paprocka śpiewała do tekstów Wiktora Budzyńskiego – twórcy słynnej

audycji Radia Lwów „Wesołej Lwowskiej Fali”. Katarzyna Tyborowska wystąpiła z „Preclarką z Pohulanki” Wiktora Budzyńskiego, a Beata Zalańska-Szubryt wzruszyła wszystkich piosenką poświęconą pamięci jej lwowskiej babuni. Słuchaliśmy jeszcze laureatek konkursu Festiwalu Piosenki Lwowskiej i Balaku Lwowskiego Dominiki Pater, Aleksandry Rojek, Ewy Rudnik. A potem?

Wydarzenie wieczoru

Sam mistrz piosenki, pieśniarz (o Lwowie), tymczasowo śpiewający w Krakowie, solista opery i operetki Franciszek Makuch – tenor. Franciszek Makuch studiował na Wydziale Wokalnym w Konserwatorium w Krakowie u profesora J. W. Śmietany.



Krakowski bard Jerzy Michał Bożyk



Zespół „Niecieczanie”

W swoim dorobku artystycznym ma około 40 ról operowych i operetkowych, m.in. – Dancairo w Carmen Bizeta, Spoletta w Tosce Pucciniego, Gaston w Traviacie Verdiego, Norman w Łucji z Lammermoor Donizettiego, Andreas, Cochenille, Pitichinacio, Franciszek w Opowieściach Hoffmana Offenbacha, Janczi w Wiktorii i jej huzarze Ábrahama, Iwan w Carewiczu Lehára, Koloman Żupan w Hrabinie Maricy Kálmána. Jest laureatem Konkursu Moniuszkowskiego w Łodzi w 1970 roku. Artysta jest obdarzony zmysłem scenicznego komizmu i doskonale sprawdza się w rolach charakterystycznych.

Występował na scenach teatrów Szwajcarii, Francji, Włoch, Holandii, Niemiec, Luksemburga, Izraela, Stanów Zjednoczonych, krajów byłego Związku Radzieckiego.

Zanim rozpoczął swój występ powitały go ogromne brawa i kwiaty. Pan Franciszek po jednym kwiatku z bukietu obdarował panie, w tym moją żonę Alę, potem mnie uściśnął, powrócił na scenę. Pan Franciszek znany z poczucia humoru, wielokrotnie na naszych lwowskich festiwalach „szmoncesujący” z Wojtkiem Habelą nawet w rabinackich strojach, tym razem w czasie strojenia gitary i przygotowywania mikrofonów powiedział ulubionym „szmoncesem”:

„Mama do synka u lekarza – Monius, ty się trzymaj prosto, żeby pan doktor widział jaki ty jesteś krzywy.”

Untenbaum na ulicy mówi do współnika: Aprikozenkranz, ty wreszcie przestań liczyć pieniędzy, popatrz jaka idzie piękna dziewczyna, ja z nią tej nocy spałem. O, wa! Od-

powiada Aprikozenkranz – gdybym chciał to bym spał z nią codziennie – to jest moja żona”.

Pamiętam z poprzednich koncertów „szmoncesowanie” Franka z Wojtkiem Habelą, którego dzisiaj niestety nie było. To dopiero była zabawa. Przednia. Gdy pan Franciszek zaśpiewał dwie obowiązkowe piosenki „Moje serce zostało we Lwowie” Mariana Hemara i „Kleparz” własnego autorstwa, to się dopiero rozkreślił kilkoma piosenkami, zmianami głosu, ubrania, kapelusza i zapewne fryzury, wszystko jak leci, czyli, jak przystało na mistrza. A publiczność? Nie chciała go wypuścić ze sceny.

A tu następna niespodzianka! Pan Franciszek śpiewa, na scenie pojawia się Książę Nastroju Miecz-

List do redakcji Cudowna podróż

To były piękne dni, naprawdę piękne dni! Taka mała podróż dookoła świata, świata krajów nadbałtyckich: Litwy, Łotwy, Estonii z uwzględnieniem ich stolic, gdzie odbywały się spotkania z tamtejszą Polonią w ramach „Konferencji Wyjazdowej” z ramienia Mokotowskiego Uniwersytetu III wieku. A komu się udało, to nawet lyknał wody i powietrza Helsinek.

Zacząło się od Grodna. Tu spotkaliśmy się z grupami UTW: warszawską, grodzieńską i brzeską. Grodno – to legendarne miasto, tak bardzo związane z Polską, o tak licznych śladach kultury i historii polskiej. Miasto króla Stefana Batorego, miasto Elizy Orzeszkowej, miasto wielu kultur, podobnie jak nasz Lwów.

Pędem trwała kilkugodzinna wycieczka po mieście, bo czekało nas jeszcze dotarcie do Wilna przed nocą. Zamek XIV-XIX wieku, w którym zmarł Stefan Batory oraz Kazimierz Jagiellończyk, świątynie różnych wyznań, zabytkowe kościoły, muzea, parki – miasto opasane Niemnem.

Udaliśmy się do Wilna, miasta tak drogiego sercu każdego Polaka. Tu wszędzie unosi się duch Filomatów i Filaretów, duch Mickiewicza i stworzonych przez niego „Dziadów”, duch Piłsudskiego.

O Jezu, a czemuż to tak pilno?

Bo chcemy zobaczyć nasze Wilno, Bo chcemy zobaczyć stare Wilno.

Stare zabytkowe kościoły, których jest bardzo dużo zarówno na Starówce, w śródmieściu (katedra w



Wilno, pomnik Anioła na Zamku

mieniami słońca w złotych liściach. Dawne kościoły, przeważnie luterzańskie, choć i sporo katolickich, gdzie w niektórych msze św. odprawiane są po polsku. Na kościelnych wieżach zamiast krzyża często spotyka się koguty, symbolizujące ewangeliczne zaparcie się św. Piotra. Wśród kościołów szczytne miejsce zajmuje katedra pw. św. Jakuba, posiadająca słynne organy, zajmujące drugie czy trzecie miejsce w Europie. Z żalem opuszczaliśmy to piękne portowe miasto.

Nieznany i zagadkowy Tallin okazał się też perłą architektury i historii. Posiada wiele zabytków średnio-



Ryga

stylu klasycystycznym pw. św. Stanisława), tak i w różnych dzielnicach (Antokol, kościół św. Piotra i Pawła o wnętrzu bardzo bogatego baroku), uniwersytety, stary cmentarz na Rosie, gdzie śpią polscy legionści oraz spoczywa serce marszałka przy jego matce, oraz czekająca nas Matka Boska w Ostrej Bramie. Dodawały i krzepiły w nas ducha te ślady dawnej historii. Malowniczo położone, otoczone wodami Wilii i Wilejki, stare, kochane Wilno.

Kiepi, kto będąc w Winie nie udał się do Trok, „by przypatrzyć się jezioru”. Nad jeziorem Trockim na wzgórzu unosi się stary zamek, wskrzeszony z ruin, – rezydencja książąt litewskich (Gedymina, Witolda, Kiejstuta), gdzie odbywały się obrady, narady, podpisywano ugody i rozejmy, również z Krzyżakami.

Pożegnawszy Wilno wyruszyliśmy na Łotwę, do Rygi. Ryga – wspaniała, majestatyczna, oczarowała nas swoim pięknem, elegancją i europejskością. Witaała nas gorącymi pro-

wieczą: katedrę z XIII wieku, ratusz z XIV w., dom Czarnogłowych (jak w Rydze) z XVI wieku. Dominują tu świątynie luterzańskie, bardzo ciekawe i zabytkowe oraz pięknie położoną na wzgórzu cerkiew prawosławna pw. św. Aleksandra Newskiego.

Godłem Tallina są trzy lwy na niebieskiej tarczy. Hymn odgrywany jest dwa razy dziennie. Jest to miasto turystów, emigrantów i studentów. Tallin położony jest u stóp Zatoki Fińskiej i składa się z dwu części: starej, Górnej, o średniowiecznej architekturze, o bardzo wąskich uliczkach i nowej, Dolnej, gdzie znajdują się budynki administracyjne i handlowe. Tallin był zwieńczeniem tej cudownej niezapomnianej podróży.

Jednocześnie wzbogacały nas edukacyjnie ciekawe i mądre prelekcje profesorów MUTW na spotkaniach z gościnną Polonią, odwiedzanych miast. Wszystko to uczestnicy zawdzięczają pani dyrektor MUTW dr Zofii Iwanickiej.

STANISŁAWA NOWOSAD

„LWOWIACY” W KRĘGU PRZYJACIÓŁ

Z okazji jubileuszu swego 20-lecia najstarszy polski zespół pieśni i tańca we Lwowie pod przewodnictwem Stanisława Durysa zaprezentował po raz kolejny przedstawił lwowskiej publiczności swój dorobek. Swoją twórczość przedstawili też Polacy z Borysławia i szereg wykonawców ukraińskich.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Sala koncertowa Budynku Kultury im. Gnata Chotkiewycza we Lwowie, 4 grudnia była wypełniona po brzegi przez miłośników i przyjaciół Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Lwowiacy”, który już dwa dziesięciolecia działa przy Lwowskiej Miejskiej Dziecięco-Młodzieżowej Społecznej Organizacji. Sponsorami imprezy byli Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, Konsulat Generalny RP we Lwowie, Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie i Stowarzyszenie Wspólnota Polska.

Początek zespołu „Lwowiacy” sięga swoimi korzeniami dalekich lat 70. – usłyszałem z ust starszych pań oraz znanych we Lwowie choreografów. Lwowscy Polacy, z pokoleń wojennych, zawsze uczestniczyli w różnych znanych zespołach „Junist”, „Halyczyna”, „Horycwił” i innych. Wtedy właśnie poznawali też i polskie tańce w zespołach dziecięcych. Stąd wywodzi się ta długoletnia i prawdziwa przyjaźń maestro Staszka Durysa ze śmietanką artystyczną Lwowa. „Wszystkich nas łączy entuzjazm i zamiłowanie do tańców ludowych i pieśni, bez względu na swoje pochodzenie” – zaznaczył w rozmowie z korespondentem „Kurier” Pobjeda Charisow, prezes oddziału lwowskiego Ukraińskiego Narodowego Związku Choreograficznego. Później przekazał Stanisławowi Durysowi list gratulacyjny Związku.

Można było zauważyć na sali też kilka osób duchownych, księży rzymskokatolickich i grekokatolickich.



Arcybiskup Mieczysław Mokrzycki i Stanisław Durys

„Bardzo się cieszę, że zostaliśmy tutaj zaproszeni na 20-lecie Zespołu Pieśni i Tańca „Lwowiacy”, że razem możemy wracać do tych pięknych tradycji, które wnoszą w nasze serca wiele radości, pokoju – powiedział ze sceny arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki. – Cieszymy się, że ta kultura i tradycje naszych ojców i dziadków jest tutaj podtrzymywana i przekazywana kolejnym pokoleniom, że młodzież może realizować i rozwijać swoje talenty, zdolności i w ten sposób ubogacać nie tylko siebie ale społeczeństwo i środowiska, w których żyją, w których wzrastają. Jest to piękna tradycja i piękne wartości które warto uboga-



Na scenie „Lwowiacy”

cać w tę wielokulturowość i wielonarodowe tutaj miasto Lwów”.

Ks. metropolita życzył wszystkim zgromadzonym, w sposób szczególny młodzieży zespołu „Lwowiacy” udanego występu i dalszych sukcesów w ich pracy. Na koncercie obecny był też wikariusz generalny archidiecezji lwowskiej ks. prałat Józef Pawliczek.

Zaskoczył wszystkich bardzo interesujący, ciekawy i radosny występ polskiego zespołu z Borysławia, któremu za wspaniałą prezentację podziękował Konsul RP we Lwowie Marian Orlikowski. A panu Stanisławowi Durysowi serdecznie pogratulował za 20 lat przypominania, krzewienia, rozwijania tej tradycyjnej kultury polskiej na Ziemi Lwowskiej. „To wielkie zadanie i wielki sukces, że się udało” – podkreślił dyplomata.

Wira Otczyz z Departamentu polityki wewnętrznej lwowskiej pań-



*Prószy śnieg
czysty jak Twe serce,
gdziekolwiek spojrzę
tam śnieżne kobierce,
cichutko rozbrzmiewa
wesola kolęda,
niech piękne będą
dla Ciebie te święta.*

stwowej Administracji wojewódzkiej odczytała list gratulacyjny pierwszego wicewojewody lwowskiego Bogdana Petruszaka, który wysoko ocenił działalność zespołu „Lwowiacy” oraz zaznaczył, że wielu jego absolwentów poszerza autentyczne tańce polskie na Ukrainie. Ważnym elementem pracy Stanisława Durysa stało odrodzenie przedwojennych polskich tańców ulic i przedmieść Lwowa. „Lwowiacy” reprezentują tańce lwowskich Polaków na różnych festiwalach na Ukrainie i w Polsce.

Po występie najmłodszych uczestników zespołu „Lwowiacy”, w imieniu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie życzenia złożyła Teresa Dutkiewicz. „Najpiękniejsze kwiaty to są nasze dzieci” – mówiła. Życzyła, żeby za kilka lat tak pięknie tańczyły jak przedstawiciele obecnych zespołów polskich i ukraińskich.

„Nie zostajemy z tyłu, staramy się zawsze współpracować z innymi zespołami, aby coś i u nich zacerpnąć i coś swojego oddać – powiedział za zakończenie koncertu Stanisław Durys. Na zakończenie zespół „Lwowiacy” brawurowo odtańczył mazura.

A potem... W kręgu przyjaciół potoczyła się biesiada uczestników koncertu podczas przyjęcia z okazji obchodów 20-lecia Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Lwowiacy”.

List do redakcji

Prawie niezauważonym w polskich mediach zostało, przerwanie, jeszcze w czerwcu 2011 r., wydawania dodatku do gazety „Rzeczpospolita” pt. „Księga Kresów Wschodnich”. Stało się to kompletnym zaskoczeniem, przynajmniej dla środowisk kresowych, że wstrzymano tak cenną inicjatywę. Łącznie, w ciągu niemal półtora roku, zdolano wydać 72 zeszyty kresowego cyklu: 51 w pierwszej serii „Kresy Wschodnie” oraz 21 w drugiej serii „Kresy Wschodnie. Ostoje polskości”, dalekie do ukończenia. Redaktorzy dzielnie to próbowali tłumaczyć względami ekonomicznymi, co nie wydaje do końca prawdziwe, zważywszy, że nadal ukazują się co tydzień inne dodatki, równie ciekawe, ale widać bardziej poprawne politycznie. Takie podejście bierze się stąd, że nie sposób zadać pytania, czy tylko względy

Zatrzymane Kresy



ekonomiczne zadecydowały. Widząc co w mediach potrafi się pisać, a właściwie co cierpliwie przemilczanej lub ośmieszanej, tzw. trudne tematy relacji polsko-ukraińskich, nie sposób nie domyślać się, że są tego stanu także inne powody i zabiegi, jak to nieraz mogliśmy się przekonać np. przy niezapraszaniu niewygodnych ludzi na konferencje itp.

Pozostaje apelować do nowego właściciela wydawnictwa „Rzeczpospolitej”, który przecież nic wspólnego nie miał z przerwaniem wydanego cyklu, o kontynuowanie tak

potrzebnej lekcji historii, celowo do niedawna przemilczanej i na potęgę zakłamywanej; o zapewnienie białej plamy poprzez kontynuację tego tematycznego cyklu historycznego, który i tak już pozostaje na polskim rynku prasowym ewenementem, pod względem jego długości.

No cóż upominanie się o to na łamach „Kuriera Galicyjskiego” też może pozostać wymownym...

WALDEMAR WIGLUZ,
Przemysł

Stół wigilijny

*kiedy gwiazdka
śle noc
stół zaprasza
pod choinką sianko
prezent rozjaśniony bombką*

*wśród dwunastu potraw
uszka z grzybkami
toną w czerwonym barszczu
wypudrowane racuchy
w piramidzie tracą poziom
z galarety patrzy
jednym okiem karp
makaron z makiem
ma tysiące spojrzeń*

*dobro w sercu gości
do domu wchodzi
uśmiechnięta kolęda*

HENRYKA DEDERKO
Czułcyce, Polska



*Niech przeżywanie
tajemnicy narodzin
Chrystusa – Zbawcy
rodzaju ludzkiego,
prowadzi nas
do pogłębionej refleksji
nad prawdą
o Bogu Ojcu,
który jest Miłością.
Niech ta prawda inspirowa
i oświeca nasze myśli,
słowa i uczynki w każdym
dniu nadchodzącego
Nowego Roku.*

KSIAŻĘ I ŻEBRAK

Słynna powieść Marka Twaina o tym samym tytule przedstawia historię dwóch chłopców, syna króla i syna złodzieja. Chłopcy, podobni do siebie jak dwie krople wody, zamienili się swoim ubraniem. Dzięki temu syn złodzieja Tomek, stał się księciem, a syn króla Edward, stał się nędzarzem. Nasza opowieść będzie o chłopcu, który tak jak Edward, z pozycji księcia spadł na samo dno ludzkiej nędzy. Opowieść Marka Twaina kończy się happy endem. Nasza opowieść nie będzie miała dobrego zakończenia.



SZYMON KAZIMIERSKI

Są ludzie świecący jak gwiazdy. Ludzie, którym zawsze wszystko się udaje, a dzięki licznym talentom, udaje się im to wszystko, jak gdyby bez najmniejszego wysiłku. Są rzutcy i dynamiczni. Otacza ich orszak zapatrzonych i zauroczonych przyjaciół, znajomych i pochlebców, którzy czekają z niecierpliwością na to, co idol powie, jak się zachowa, w co się dzisiaj ubierze...

28 grudnia 1899 roku, w mieście Genewie w Szwajcarii, mieszanemu polsko-szwajcarskiemu małżeństwu, urodził się chłopak. Bogdan Eugène Junod. Jego ojciec Teodor Junod był Szwajcarem, matka Jadwiga Anna Dorota z Dylewskich, była Polką. Rodzice wyznawali kalwinizm i w takiej religii wychowywali syna. Po latach, z pierwszych liter swojego imienia i pierwszych liter trzeciego imienia matki, chłopak utworzył sobie pseudonim artystyczny. Będzie on brzmiał – BODO!

Teodor Junod zajmował się prowadzeniem objazdowych teatrzyków i kabaretów, z którymi rodzina wędrowała przez całą Rosję i dopiero w roku 1903 osiadła na stałe w Łodzi. Tutaj pan Junod założył pierwsze w Łodzi kino o nazwie „Urania”. Sama koncepcja kina w stale rozrastającej się Łodzi była niewystarczająca, a wobec tego do kina doszły wkrótce występy cyrkowe i programy kabaretowe.

Bodo rozpoczyna karierę artystyczną

Mały Bogdan wzrastał w towarzystwie tancerzy, kuglarzy i piosenkarzy, a że miał do tego smykałkę, już w wieku lat dziesięciu opracował swój własny, prywatny numer sceniczny zwany „10-letni kowboj Bodo – cudowne dziecko XX wieku”. Przebrany w kostium kowboja, mały Bodo żonglował lassem, strzelał z kolta, fertycznie tańczył szalone irlandzkie tańce i bardzo ładnie śpiewał „Yankee Doodle”, czym rozgrzewał widownię, wiwatującą i bijącą mu brawa na stojąco.

Od razu trzeba powiedzieć, że to bardzo nie podobało się jego matce. Między rodzicami dochodziło do spórów. Ojciec nie miał nic przeciwko występom estradowym małego Bogdana, matka natomiast uważała, że syn powinien zająć się nauką, aby

w przyszłości zostać szanowanym lekarzem. Wreszcie między rodzicami nastąpił rozwód, a po rozwodzie Bogdan został z ojcem, matka zaś wyjechała za granicę.

Bodo rozpoczął naukę w łódzkiej szkole handlowej, ale widać było, że kompletnie nie nadawał się do tego zawodu. Do wymarzonej przez matkę medycyny miał talentu chyba jeszcze mniej, bo mdlał na widok każdej, nawet niewielkiej rany.

Wreszcie, zniecierpliwiony głupią nauką w głupiej szkole, w roku 1916 uciekł z domu, pojechał do Poznania, a tam znalazł zatrudnienie w teatrze „Apollo”, początkowo, jako bileter, ale już od 11 stycznia 1917 roku, jako piosenkarz i tancerz. Na pewien czas wraca do Łodzi, potem występuje w Lublinie, by w końcu, w roku 1919 przenieść się do Warszawy. Do Warszawy zaprasza też swoją matkę, która nareszcie pogodziła się z myślą, że Bogdan jednak nie będzie sławnym doktorem, więc w kąć odłożyła marzenia i wzięła się za prowadzenie mu domu.

W Warszawie Bodo zaangażował się do teatrzyku „Sfinks” i tam poznał słynnego już wówczas aktora Ludwika Sempolińskiego. Według Sempolińskiego: „Był doskonałym tancerzem i świetnym piosenkarzem, bardzo muzykalnym, choć głosu nie miał nadzwyczajnego. Do osiągniętych później rezultatów było jeszcze wtedy daleko. Nawet nie miał własnego fraka. Kiedy wyjechał z Warszawy, posyłałem mu moje piosenki, bo nie stać go było na kupno”.

Zabawne, nieprawdaż? Biedny był wtedy ten Bodo. Nie miał nawet własnego fraka!

Bożyszczyc Warszawy

Ale ten okres nie trwał długo, bo na jesieni 1920 roku Bodo występował już w najbardziej chyba promującym aktorów kabarecie „Qui Pro Quo”. Miał już własny frak, który nota bene, leżał na nim jak ulał. Od tego momentu Bodo staje się bożysz-



Bodo we fraku

czem Warszawy. Występuje w kabaretach „Qui Pro Quo”, „Morskie Oko”, „Cyganeria”, „Cyrulik Warszawski”. Pięknie śpiewa i tańczy, a w każdym jego występie widać naturalną, świetną grę aktorską.

Bodo nie jest aniołkowaty, ani gogusiowaty. Jest jakby zaprzeczeniem dotychczasowego ideału, który wymagał, aby aktor był śliczny. Bodo reprezentował typ mężczyzny mocno zbudowanego i sprawnego fizycznie, naturalnie dowcipnego, szarmanckiego i przyjacielskiego. Tym zdobywał publiczność. Porównywano go do francuskiego gwiazdora Maurice Chevaliera, bo obaj cieszyli się podobną sławą i uwielbieniem.

Bodo nie był aniołkowaty, ani gogusiowaty. Był jakby zaprzeczeniem dotychczasowego ideału, który wymagał, aby aktor był śliczny. Bodo reprezentował typ mężczyzny mocno zbudowanego i sprawnego fizycznie, ale jednocześnie nadzwyczaj miłego, naturalnie dowcipnego, szarmanckiego i przyjacielskiego. Tym zdobywał publiczność. Porównywano go do francuskiego gwiazdora Maurice Chevaliera, bo obaj cieszyli się podobną sławą i uwielbieniem.

Jeszcze więcej popularności przyniosły mu filmy, w których zaczął występować. Wtedy dopiero osiągnął szczyty powodzenia i bogactwa. Wtedy znało go każde dziecko w Polsce. Kobiety za nim szalały. Każda rola, którą zagrał była wydarzeniem, każda piosenka, którą zaśpiewał, stawała się szlagierem. Tak było z „Titiną”, piosenką francuską, którą wystarczyło, że raz zaśpiewał, aby na drugi dzień śpiewała ją cała Polska. Takich szlagierów Boda było dużo więcej. „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Już taki jestem zimny drań”, „Baby, ach te baby”, czy „Sex appeal”.

A filmy? – Było ich ponad trzydzieści! Wszystkie przynosiły ogromne zyski i Bodo mało, że sławny, stał się też bardzo bogaty! Teraz stać go już było nawet na kilka setek najszlachetniejszych fraków. Do tego, oprócz talentu i wyjątkowej pracy, jaką opłacał sukcesy, miał jeszcze dużo szczęścia. Wszystko się mu udawało, a teatry i producenci filmowi wyrwali go sobie z rąk.

Król Mody

W roku 1936 Bodo uzyskał tytuł „Króla Mody”. Reklamował krawaty, kapelusze, marynarki Old England. Nigdy nie reklamował alkoholi, choć kuszono go wielkimi pieniędzmi, bo ten idol był absolutnym abstynentem! Przez całe życie nie wypił kieliszka wódki, czym zdawał się być dziwa-



*Niechaj ziemię rozśpiewa kolęda,
każdy dom i każdego z nas,
niechaj piękne Bożonarodzeniowe Święta
niosą wszystkim betlejemski blask.*

kiem na tle dość mocno „trunkowych” koleżanek i kolegów. Bodo za to lubił dobrze zjeść, a mazurki wielkanocne po prostu uwielbiał. Kupował je zawsze w tak dużych ilościach, żeby mu starczyły aż do Bożego Ciała! Było w nim jeszcze coś doprawdy dziwnego. Bodo pasjonował się... wyszywaniem makatek, takich z koralikami, którymi miał wytapetowane mieszkanie i którymi obdarowywał znajomych. Każdy z obdarowanych chodził potem przez kilka dni z oczkami w słup. No, nie pasowało to nijak do tego Bodo, jakiego się znało!

Było w nim coś mamisynkowskiego, to fakt. Nie na próżno żartowano, że Bodo kocha na pierwszym miejscu tylko swoją matkę, a na drugim miejscu swojego psa, wielkiego doga arlekin Sambo. Bodo, bywalec wielu drogich restauracji, miał pozwolenie przychodzenia do lokali z psem. Sambo znany był powszechnie z tego, że gryzł tylko znajomych Boda i nigdy nie atakował ludzi postronnych. Często widziano ich razem w najlepszych knajpach. Bodo i Sambo.

Bodo rzekomo był kobieciarzem. Rzekomo zmieniał kobiety, jak rękawiczki. Taka była o nim potoczna opinia, ale czy to była prawda? – Może była to tylko rola, jaką grał? Rola narzucona mu przez życie na święcniku, w gwarze, w tłumie. Coś, co uzupełniało stereotyp powodzenia. Bodo – artysta! Bodo – szczęściarz! Bodo – kobieciarz!

Tak naprawdę wiedziano tylko o dwóch paniach, które można było nazwać jego wybrankami. Polskiej aktorce pochodzenia żydowskiego Norze Ney i Tahitance Reri. To fakt, że Bodo interesował się tylko kobietami o ciemnej karnacji i jeśli już się kochał, to w brunetkach.

Romans z piękną Norą trwał kilka lat, ale jakoś nie zakończył się małżeństwem, choć do małżeństwa zdawało się być bardzo blisko. I kiedy już z Norą wszystko się skończyło, pojawiła się Reri.

Była to Tahitanka z wyspy Bora-Bora, którą reżyser Murnau zaangażował do kręconego w plenerach Polinezji filmu „Tabu”. Reri miała wtedy 17 lat, była piękna, naturalna i swobodna, jak wszystkie dziewczyny z tych szczęśliwych wysp.

Praca przy filmie trwała półtora roku, po czym Murnau zabrał Reri ze

▷ sobą do Stanów Zjednoczonych, a tam załatwił jej angaż na Broadwayu. W Stanach Zjednoczonych Reri chodziła do szkoły i uczyła się angielskiego i francuskiego.

Producenci „Tabu” wysłali Reri do Europy. Miała tam promować film poprzez cały szereg występów pokazujących publiczności folklor Polinezji. W roku 1933 Reri, już sławna w Niemczech, przyjeżdża do Warszawy. Na pierwszym występie, jaki dała w kinoteatrze Alhambra, zobaczył ją Eugeniusz Bodo, no i zakochał się w niej po uszy!

Bodo zaczął namawiać ją, by została w Polsce. Jej szefowie z Hollywood nie mieli nic przeciwko temu i Reri sprowadziła się do mieszkania Bodo! Mieszkali teraz razem, jeszcze bez ślubu, z matką Boda, kobietą podobno bardzo staromodną i apodyktyczną. – A tu taka tolerancja!!



Bodo i jego pies Sambo

W roku 1934 wchodzi na ekran film „Czarna perła”, gdzie Bogdo i Reri występują razem. Reri wypada w nim wspaniale. No i wtedy, jakby pod wpływem przekleństwa złej czarownicy, między kochankami dochodzi do zerwania! Bodo powoli odwraca się od Reri twierdząc, że nie można z nią wytrzymać, bo Reri pije jak smok!! (Rzeczywiście piła ostro!) Reri natomiast twierdzi, że nie wie dlaczego Bodo ją zaniedbuje i może pije właśnie, dlatego. Ze sprawy pomiędzy obojgiem aktorów powoli robi się skandal. Znalazła się wielka grupa ludzi, przeważnie mężczyzn zakochanych w Reri, którzy oskarżali Boda, że rozkochał w sobie dziewczynę, a teraz, bezczelnie ją od siebie odtrąca. Byli też i tacy, którzy się odgrażali, że jeśli tylko dopadną Boda, to mu wleją! Przyjdzie czas, że popularny w Polsce pisarz Arkady Fiedler porówna wżgardzoną miłość Reri do miłości królowej, zakochanej w świniopasie...

Tymczasem „świniopas” bardziej, niż kiedy indziej, przypominał księcia

z bajki. Jest bogaty, jeździ własnym, wytwornym samochodem, wszyscy go znają, trzy pokolenia Polek kochają go i szaleją za nim. Wreszcie w roku 1938 zostaje odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi!

W kwietniu 1939 roku Bodo otworzył swój własny lokal na ulicy Foksalskiej pod nazwą „Cafe Bodo”. Na drugim piętrze tej samej kamienicy kupił drogi, czteropokojowy apartament, do którego przeniósł się z matką.

We wrześniu 1939 roku Bodo znalazł się we Lwowie

Od 1 września 1939 roku miał występować w nowoutworzonym kabarecie o nazwie „Tip-Top”... Dlaczego we wrześniu 1939 roku Bodo znalazł się we Lwowie, istnieje chyba kilkanaście różnych tłumaczeń. Jedno mniej wiarygodne od drugiego. Oto kilka z nich.

- Uciekał jakoby przed Niemcami – tylko nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego miałby przed nimi uciekać. Miał powody uciekać jego przyjaciel Ludwik Sempoliński, za kabaretowe parodie Adolfa Hitlera i piosenkę „Ten wąsik”. Mógł się spodziewać rozstrzelania Melchiora Wańkowicza za książkę „Na tropach Smętka”, ale Bodo??

- Zniechęciły go jakoby zakazy występowania dla polskich artystów w okupowanej Warszawie i Bodo chcąc nadal uprawiać swój zawód, odnajdł komuś kawiarnię „Cafe Bodo” i wyjechał do Lwowa, gdzie Rosjanie pozwalali na takie występy. – Tu już chyba zabrał głos ktoś, kto nie ma zielonego pojęcia o warunkach, jakie panowały w okupowanej Polsce.

Niemcy nie tyle zabraniali grania w teatrach, co raczej zastrzegali sobie prawo cenzurowania przedstawień, a teatry i teatryki legalne istniały pod niemiecką okupacją w najlepsze. Nawet Teatr Rosyjski działał w Warszawie w trakcie walk na froncie wschodnim.

Inną sprawą był zakaz grania dla Niemców, wydany aktorom przez Polskie Państwo Podziemne, ale były od tego zakazy wyjątki, jak choćby kawiarnie artystyczne, gdzie aktorzy występowali za pozwoleniem władz podziemnych i to niejednokrotnie razem z aktorami z „wyklętych” teatrów legalnych. Gdyby Bodo chciał grać w okupowanej Warszawie, mógłby sobie grać.

Tak naprawdę, jak myślę, Bodo wyjechał do Lwowa wraz z całym tłumem uchodźców, po słynnym

przemówieniu radiowym pułkownika Romana Umiaszowskiego z dnia 7 września 1939 roku, w którym pułkownik zwracał się, szczególnie do mężczyzn, by rozpoczęli wycofywanie się na tereny wschodnie, gdzie mają być formowane nowe, wielkie jednostki Wojska Polskiego. Gdzieś przeczytałem, że Bodo opuścił Warszawę 9 września 1939 roku. Jeśli ta informacja jest prawdziwa, to wszystko by się zgadzało.

Pod koniec września 1939 Lwów pękał we szwach. Nagromadziła się w nim tak wielka liczba uchodźców, że miasto, podobno, potroilo liczbę swoich mieszkańców! Gielda artystyczna samorzutnie ukształtowała się w „Klubie Artystów” na ulicy Jagiellońskiej i Bodo natychmiast został tam zaangażowany do zespołu występującego w kinoteatrze „Stylowy”. W październiku zatrudnił się w Teatrze Miniatur.



Bodo i Nora Ney przed katedrą w Krakowie



Bodo i Reri

W grudniu do Lwowa przybyła komisja z Moskwy, która z ramienia Rady Komisarzy Ludowych przeprowadziła weryfikację artystów. Polacy mogli mieć dwa teatry i trzy orkiestry. Bodo został konferansjerem i piosenkarzem w zespole „Tea-Jazz” Henryka Warsa.

Bodo i teraz błyszczał na tle zespołu, bo nareszcie mógł wykorzystać swoją nienaganną znajomość języka rosyjskiego, jaką posiadał podczas przebywania z ojcem w Rosji oraz w trakcie nauki w szkołach carskiej jeszcze Łodzi. Nie znaczy to, że zespół występował tylko dla publiczności rosyjskiej, chodzi raczej o to, że po zejściu z afisza jego programu we Lwowie, zespół udawał się w tournée po Związku Radzieckim, gdzie dominowała publiczność rosyjska.

I wśród Polaków i wśród Rosjan, Bodo zdobywał za każdym swym występem ogromne brawa. Powodziło mu się, jak zwykle, bardzo dobrze. Nagrywał nawet płyty.

Bodo przebywał z zespołem na dwóch takich objazdach, po czym oświadczył zaskoczonym kolegom,

że na trzeci objazd nie pojedzie. Postanowił bowiem podjąć starania o wyjazd ze Związku Radzieckiego do Stanów Zjednoczonych. Złożył już na milicji odpowiednie dokumenty, a w szczególności swój szwajcarski paszport. Zaskoczeni koledzy dopiero teraz dowiedzieli się, że Bodo jest Szwajcarem! Próbowano namówić go, by jednak pojechał z zespołem, ale Bodo odmawiał. Chciał czekać na wymarzoną wizę do Stanów. Przeniósł się ze Lwowa do Brzuchowic i tam oczekiwał na pomyślne załatwienie swojego podania. Czekał tak kilka miesięcy.

22 czerwca 1941 roku Wehrmacht zaatakował Związek Radziecki i od razu, już w bitwach na granicy, pobił i zmasakrował Armię Czerwoną, która rzuciła się do panicznej ucieczki. Do równie panicznej ucieczki rzucili się działacze partyjni, enkawu-

- To nie było więzienie na Łąckiego! Bodo został zamordowany w więzieniu Brygidki.

- Widziano ciało Eugeniusza Bodo na Syberii w wagonie kolejowym pełnym zamrożonych trupów.

No i wreszcie oficjalna wersja przedstawiana przez komunistyczne władze w czasach Polski Ludowej. – Bodo został rozstrzelany przez Niemców w zajętej przez nich Lwowie. Jest to kłamstwo po prostu bezczelne, ponieważ polscy komuniści bardzo dobrze wiedzieli, co stało się z Eugeniuszem Bodo.

Bodo zaarrestowany przez Sowieców

Po jakimś czasie stało się bowiem jasne, że aresztowali go Sowieci i dla jakichś swoich celów trzymają go w więzieniu. O zwolnienie Bodo występowali do władz sowieckich przedstawiciele ambasady polskiej i emigracyjnego rządu na Zachodzie. Sowieci byli głusi na te akcje dyplomatyczne. Mieli bowiem wspaniały w ich mniemaniu wybieg. Bodo legitymował się wobec nich paszportem szwajcarskim, więc co w tej sprawie mają do powiedzenia dyplomaci polscy?

Myliłby się ktoś uważając, że stanowisko Rosjan wynikało z nieznamośności sytuacji, w jakiej znalazł się Bodo. Może podwójne obywatelstwo w tamtych czasach nie było tak pospolite, jak obecnie, ale proszę być spokojnym. Rosjanie doskonale wszystko wiedzieli i mieli pełne rozpoznanie w tej sprawie. Później okaże się, że pod wpływem rozmów z polskimi dyplomatami, Bodo został sprowadzony do Moskwy z więzienia w Ufie, gdzie akurat przebywał. Prawdopodobnie chciano go przehandlować w zamian za jakieś polskie ustępstwa. Z przebiegu następnych wydarzeń widać, że z tego handlu nic jednak nie wyszło. Umowa Sikorski – Majski też nie na wiele przydała się biednemu Bodo, bo zobowiązywała Rosjan do zwalniania z więzień i łagrów obywateli polskich. A oni, z faryzeuszowskim uśmiechem twierdzili, że Bodo, to przecież Szwajcar, a Szwajcarów zwalniać nie muszą.

W roku 1943 prokomunistyczny Związek Patriotów Polskich, wciąż łasy jakiegokolwiek polskiego poparcia, wystąpił do władz Związku Radzieckiego o uwolnienie Bodo. Pomysł był doskonały. Uwolnić Bodo! Byłaby to dla Związku Patriotów wielka sława i dlatego warto było się o Boda upomnieć. Skoro towarzysze ze Związku Patriotów próbowali uwolnić Boda w ten właśnie sposób, to znaczy, że wiedzieli o tym, że trzymają go Rosjanie, że Bodo nie został zabity przez Niemców we Lwowie, jak potem będą kłamać całej Polsce w żywe oczy. „Wyzwoliciele” nic jednak nie osiągnęli, co świadczy o tym, jak naprawdę byli traktowani przez swoich protektorów. Oświadczone im bowiem, że owszem, Bodo gdzieś siedzi, ale gdzie, to nie wiadomo, że poszukają... Podobnie kłamał generałowi Sikorskiemu w sprawie polskich oficerów. Wierzyli Państwo w to, że oni nie wiedzieli, gdzie siedzi Bodo? Bo potem, kiedy Bodo już umarł, jakimś cudem natychmiast go odnaleźli!

Co więc działo się z Bodem od czasu, gdy złożył u władz podanie o wizę wyjazdową z ZSRR i ów fatalny

Każda rola, którą zagrał Bodo była wydarzeniem, każda piosenka, którą zaśpiewał, stawała się szlagierem. Tak było z „Titiną”, piosenką francuską, którą wystarczyło, że raz zaśpiewał, aby na drugi dzień śpiewała ją cała Polska. Takich szlagierów Boda było dużo więcej. „Umówiłem się z nią na dziewiątą”, „Już taki jestem zimny drań”, „Baby, ach te baby”, czy „Sex appeal”. A filmy? – Było ich ponad trzydzieści! Wszystkie przynosiły ogromne zyski i Bodo mało, że sławny, stał się też bardzo bogaty! Wszystko się mu udawało, a teatry i producenci filmowi wyrwali go sobie z rąk.

szwajcarski paszport? Obecnie wiemy już niemało.

W roku 1990 ukazała się w Rosji książka muzykologa polskiego pochodzenia Alfreda Mirka pod tytułem „Dziennik więźnia”, w której autor przedstawia niezwykle spotkanie, jakie miał w celi moskiewskiego więzienia na Butyrkach. Spotkał się tam wiosną 1943 roku z Bodo, którego znał dobrze jeszcze z roku 1940. Podczas jednego z koncertów zespołu „Tea-Jazz” kupił nawet płytę z piosenką śpiewaną przez Bodo. W wieloosobowej celi siedział samotnie, biedny i zagłodzony Bodo, starannie unikany przez wszystkich współwięźniów. Sprowadzono go do Moskwy z więzienia w Ufie jesienią 1942 roku. Bodo nie miał pojęcia, czemu go tu przewieziono. Niczego od niego nie chcieli. Nie przesłuchiwali go. Jakby o nim zapomnieli. Mirek i Bodo spę-



Bodo uwięziony

dzili we tej samej celi kilka miesięcy. Bodo opowiadał:

„W czerwcu 1941 roku we Lwowie weszło do mnie dwóch. Zapropowowali, żebym się ubrał i pojechał z nimi. Byłem przekonany, że chcą mnie uratować przed niemiecką oku-

Bodo cierpiał okropny głód. Żeby oszukiwać żołądek wciąż popijał wodę z solą. To nie mogło się dobrze skończyć. „Nie chciałem mu dawać soli – pisał Mirek, ale tak prosił, że nie sposób mu było odmówić”. Bodo chudł, a jednocześnie puchł. Skórę na głowie pokrywały mu jakieś okropne owróżdzenia. Słabł coraz bardziej.

W kwietniu 1943 Mirek został zapisany na transport do łagru. Przed wyjazdem podarował Bodo woreczek na chleb. Wtedy Bodo: „Oderwał z poły płaszcz kwadrat z podszewki, wysupłał z ręcznika nici, pożyczyl od kogoś grubą, wykonaną więziennym sposobem igłę i zawijając na kolanie brzegi materiału podszyl je. Wysła chusteczka. To było wszystko, co mógł mi ofiarować”. Po pewnym czasie Mirek spotkał więźnia, który był świadkiem śmierci aktora.

Niedługo po Mirku, Bodo został również wysłany do łagru: „Z wielkim trudem, podtrzymywany, czepiając się uchwytów więziennego samochodu, znalazł się w środku. Ani płaszcz, ani kapelusza już wtedy nie miał”. – Według relacji autora wspomnień o Bodo:

„W chwili przybycia do łagru był w agonii. Nie wiadomo, czy żył jeszcze, gdy podnoszono go z zalanej moczem podłogi towarowego wagonu i niesiono do obozowego szpitala. Tam stwierdzono zgon... Zmarłego Bodo umieszczono w stodole, gdzie mieściła się kostnica, potem wrzucono do zbiorowego grobu”.

Na linku <http://www.youtube.com/watch?v=9OXobtKBM18&feature=related> znajdziecie Państwo piosenkę Bodo, śpiewaną przez niego

Bodo wyjechał do Lwowa wraz z całym tłumem uchodźców po słynnym przemówieniu radiowym pułkownika Romana Umiasztowskiego z dnia 7 września 1939 roku, w którym pułkownik zwracał się, szczególnie do mężczyzn, by rozpoczęli wycofywanie się na tereny wschodnie, gdzie mają być formowane nowe, wielkie jednostki Wojska Polskiego. Gdzieś przeczytałem, że Bodo opuścił Warszawę 9 września 1939 roku.

pacją. Żartowałem, wziąłem płaszcz, kapelusze. Wsiadliśmy do samochodu i pędziliśmy bez wytchnienia, żeby się wydostać z zachodniej Ukrainy. Zatrzymaliśmy się dopiero wieczorem w jakimś dużym mieście. Zamknęli mnie w garażu siedziby NKWD, a sami poszli zjeść i wyspać się. Rano zjawili się odmienieni nie do poznania. Poprzedniego dnia uciekali jak zające, teraz syci i różowi na twarzach przedstawiciele wielkiego państwa radzieckiego. Traktowali mnie jak powietrze. W ciągu tej nocy napilem się tylko wody z kranu. Pomknęliśmy do Moskwy. Przywieźli mnie do Butyrk – i tak tu siedzę”.

Nietrudno zrozumieć postępowanie obu enkawudystów, którzy aresztowali Boda. Do Lwowa podchodzili Niemcy i trzeba było wiać! Jednak po drodze można było się natknąć na jakieś patrole NKWD, wyłapujące takich uciekinierów. Inaczej by było, gdyby się nie uciekało, a na przykład konwojowało niebezpiecznego szpiega. Prawda? – Gdzie jest ten frajer ze szwajcarskim paszportem?!!

po rosyjsku. Jest to piosenka z płyty wydanej w Związku Radzieckim w roku 1941. Nasze „Tylko we Lwowie” zmieniono wtedy na „Czekamy na was we Lwowie”. – Akurat! Czekali na nich!

Oficjalnego potwierdzenia śmierci Boda nie można się było doprosić do czasu upadku Związku Radzieckiego. Dopiero na polecenie prezydenta Jelcy na rosyjski Czerwonny Krzyż „znalazł” dokument świadczący, że Bodo zmarł 7 października 1943 roku w łagrze Kotłas koło Archangielska. W roku 1941 został skazany na pięć lat więzienia przez Specjalne Kolegium przy NKWD, jako element społecznie niebezpieczny. Jego matka wciąż wierzyła, że Bodo żyje i kiedyś wreszcie do niej przyjedzie. Ale to ona przeżyła syna. Zmarła w styczniu 1944 i jest pochowana na cmentarzu ewangelickim w Warszawie. Pies Sambo też przeżył swojego pana. Został zabity dopiero podczas powstania warszawskiego.

KG

73. rocznica śmierci ormiańskiego abp. Lwowa Józefa Teodorowicza

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski odprawił 3 grudnia wieczorem, w warszawskim kościele sióstr wizytek Mszę św. w intencji abp. Józefa Teodorowicza i innych zmarłych wiernych z archidiecezji lwowskiej obrządku ormiańskiego. Eucharystia była sprawowana w rycie ormiańsko-katolickim, w wigilię 73. rocznicy śmierci wybitnego hierarchy, wielkiego polskiego patrioty, który zmarł 4 grudnia 1938 r.

W kazaniu ks. Isakowicz-Zaleski zaapelował także o modlitwy w intencji ks. Dionizego Kajetanowicza, wybranego następcą abp. Teodorowicza, który jednak nie zdążył zostać wyświęcony na biskupa, gdyż aresztowało go NKWD. Duszpasterz polskich Ormian prosił też o modlitwy za wszystkich, których wypędzono z archidiecezji lwowskiej obrządku ormiańskiego, w tym księży: Kazimierza Roszko, Kazimierza Romaszkana i Kazimierza Filipiaka, dzięki którym obrządek ormiańsko-katolicki przetrwał trudne czasy komunizmu.

Ks. Isakowicz-Zaleski nakreślił postać wielkiego abp. Teodorowicza, człowieka głębokiej wiary, hierarchy wrażliwego na niesprawiedliwość społeczną i kochającego całym sercem, jednakowo, dwie swoje ojczyzny- Polskę i Armenię. Przypomniał, że w pobliskim kościele św. Krzyża abp Teodorowicz głosił swoje słynne kazania, transmitowane przez Polskie Radio.

Duszpasterz polskich Ormian podkreślił też, że arcybiskup Lwowa otworzył drogę do dialogu ekumenicznego ze starożytnym Apostolskim Kościołem Ormiańskim. Obecnie obie wspólnoty jeszcze bardziej się zbliżyły, o czym świadczy – jak podkreślił kaznodzieja – obecność na Mszy św. w kościele wizytek kapłana Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, ojca Daczada.

Ks. Isakowicz-Zaleski prosił zebranych o modlitwy w intencji powstałych kapłańskich i zakonnych w obu wspólnotach. „Chcemy być razem, niezależnie od tego, ile kropli krwi ormiańskiej płynie w naszych żyłach” – deklarował kaznodzieja.

Przed Mszą ks. Isakowicz-Zaleski udzielił sakramentu chrztu i bierzmowania trójce ormiańskich dzieci, wnucząt senatora RP Łukasza Abgarowicza. Liturgia sprawowana w języku ormiańskim i polskim była zakończeniem obchodów Dnia Ormiańskiego w Warszawie, zorganizowanego przez Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich.

W Domu Spotkań z Historią można było wysłuchać wykładów o kulturze ormiańskiej i obejrzeć filmy o abp. Teodorowiczu. Zorganizowano także warsztaty dla dzieci.

Abp Józef Teodorowicz (1864-1938) przeszedł do historii jako jeden z najwybitniejszych członków Episkopatu Polski okresu międzywojennego i wielki polski patriota. Był jedynym obywatelem II RP, oprócz marszałka Józefa Piłsudskiego, po śmierci którego ogłoszono żałobę narodową.



Abp Józef Teodorowicz

Urodzony w szlacheckiej rodzinie ormiańskiej, podczas studiów prawniczych w Czerniowcach, przeżył kryzys wiary. O jego nawrócenie przed obrazem Matki Bożej w Stanisławowie modliły się gorliwie matka i siostra. Zdaniem rodziny modły zostały wysłuchane, bo młody Józef porzucił studia prawnicze i wstąpił do seminarium duchownego we Lwowie. W 1887 r. przyjął święcenia kapłańskie. Jako duszpasterz zaangażował się bardzo w sprawy społeczne: był radnym miasta Lwowa i współzałożycielem dzienników katolickich. W 1903 r., w wieku zaledwie 37 lat, został arcybiskupem ormiańskim Lwowa.

Zasłynął jako płomienny kaznodzieja i pisarz teologiczny. Dbając bardzo o rozwój i utrzymanie instytucji ormiańskich, zaangażował się z całych sił w obronę sprawy polskiej w czasach, kiedy Polski nie było na mapie świata. W latach 1902-1918 zasiadał w Sejmie Krajowym we Lwowie i w Izbie Panów w Wiedniu. W 1905 r. jako jedyny biskup galicyjski zaangażował się w sprawę strajków szkolnych w Wielkopolsce, a w 1906 r. również jako jedyny biskup galicyjski wziął udział w pogrzebie arcybiskupa poznańsko-gnieźnieńskiego Floriana Stablewskiego, nawiązując przy tym szereg kontaktów z tamtejszymi środowiskami patriotycznymi.

Ponieważ nie było możliwe ustanowienie ambasadora Polski przy

Watykanie, abp Teodorowicz, wykorzystując swoje znakomite kontakty z papieżem Piusem X, umieścił w otoczeniu papieskim zaufanego polskiego kapłana – został nim przyjaciel arcybiskupa Teodorowicza, ks. Adam Stefan Sapieha, późniejszy kardynał. Sam Teodorowicz pisał wielokrotnie do Kurii Rzymskiej, alarmując m.in. o postępującej germanizacji Wielkopolski. Popierał wizję odrodzonej Polski: antyniemiecką i antyaustriacką, reprezentowaną przez Romana Dmowskiego. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę związał się z Narodową Demokracją, zasiadając w jej liście w Sejmie, a następnie w Senacie. Do historii przeszło jego kazanie z 2 lutego 1919 r. w katedrze św. Jana w Warszawie, na rozpoczęcie Sejmu Konstytucyjnego. Zaangażował się też w sprawę przywrócenia Górnego Śląska do Polski.

Po śmierci, za zasługi dla Ojczyzny, został pochowany na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Ale nie dane było mu spocząć w spokoju. Przed nadejściem Sowietów, przeczorni Ormianie, obawiając się profanacji grobu arcybiskupa, przenieśli jego szczątki do grobowca jednej z rodzin lwowskich. Dopiero 7 czerwca br. trumna ze szczątkami abp. Teodorowicza powróciła na Cmentarz Orłąt Lwowskich.

źródło:
Katolicka Agencja Informacyjna

O Henryku Zbierzchowskim i nie tylko...

JADWIGA SMIRNOWA

tekst

JURIJ SMIRNOW

zdjęcia

Od tygodnia mam zaproszenie od konsulatu generalnego RP we Lwowie na wieczór „z okazji 130. rocznicy urodzin legendarnego barda lwowskiego, Henryka Zbierzchowskiego”. Ma być wyświetlany film Sławomira Gowina „Kawaler księżycy” i odbyć się koncert w wykonaniu Macieja Wróblewskiego i Marii Sołoduchy. Od tygodnia czuję się jakbym wybierała się na spotkanie z kimś znajomym i lubianym, ale od wielu, wielu lat niewidzianym.

Przypominam sobie wszystko, co wiem o Henryku Zbierzchowskim. Urodził się we Lwowie w 1881 roku. Z wykształcenia był prawnikiem, pracował jako radca prawny w Lwowskiej Izbie Skarbowej. Ponadto był poetą, powieściopisarzem, nowelistą, dramaturgiem, satyrykiem i redaktorem popularnego pisma satyrycznego „Szczutek”. Tworzył dużo w różnych жанrach: od piosenek kabaretowych i legionowych po sztuki teatralne. Literacką nagrodę miasta Lwowa otrzymał w 1928 roku, a Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury w 1938 roku. Ponad wszystko kochał Lwów. Zmarł w Krynicy w 1942 roku.

Dość długo ta moja wiedza o ostatnim bardzie Lwowa była skromna, wyczytana z różnych książek, jakby trochę przypadkowo, bo do „perestrojki” o przedwojennym Lwowie w ogóle czegoś dowiedzieć się było trudno. Czasy na szczęście się zmieniają. Zaczęto pisać, opowiadać i przyjeżdżać do Lwowa. Od własnego męża „opętanego” katedrą ormiańską dowiedziałam się, że Jan Henryk Rosen ozdabiając ormiańską



Konsul Jacek Żur (od prawej) odbiera popiersie Henryka Zbierzchowskiego dla przyszłego Domu Polskiego we Lwowie

chowski miał jeszcze cięższy przypadek tej choroby miłości do miasta nad Pełtwią. Kazimierz Schlegel pisał: „Zbierzchowski kochał Lwów. To określenie jest zbyt ogólne – żył Lwovem nawet w lecie bardzo rzadko go opuszczając. Był lwowskim rekwizytem – miłym pogodnym i potrzebnym”. Marian Hemar do tego dodał: „Pisarz tak Lwowski, / że dość mu trzech słów: / Lwów – to Zbierzchowski, / Zbierzchowski – to Lwów”.

Od Witolda Szolgini usłyszałam o wielogodzinnym, a nawet, wielodniowym przebywaniu Henryka Zbierzchowskiego w słynnym artystycznym lokalu „Atlasa”, pisaniu przeróżnych utworów przy kawiarnianym stoliku, o tym, że wszystko co napisał, podpisywał „Nemo” i że sprytny właściciel „Atlasa” Edzio Terlerski od razu z tego skorzystał wymyślając wódkę „Nemówkę”, za którą płacilo się drożej niż za „Żytnią”. To Witold Szolginia anegdotę o tym jak to pewnego razu Henryk Zbierzchowski po kolejnej przechulaney u „Atlasa” nocy drzemał w

być u wszystku zazdrośny – nawet u dobrzy zawiązany krawatki...”. Istna perelka.

Po trochu postać Zbierzchowskiego nabierała dla mnie kolorów, stawała się bliska, znajoma. Chodząc po Lwowie często myślałam: tu siedział na kawie, tu pracował, tu mieszkał. Łatwo mogłam wyobrazić sobie postać „...wysoką, o rozwianym włosie z zawiązanym pod brodą romantycznym czarnym fontaziem... w narzuconej na ramiona pelerynie i szerokim kapeluszu na głowie...” Idzie ulicą Piaskową nucąc: „Pij, pij, bracie, mój/pij rano, wieczór i w noc...”, a za parę naście minut będzie już siedział przy stoliku w „Atlasie” i napisze: „Kocham Cię, Lwowie – miasto mej młodości/i złotey mego żywota jesieni,/Bom krew z krwi Twojej i kość z Twojej kości...”.

Wreszcie nadchodzi 7 grudnia. Za kwadrans siódma wieczór ulicą Zieloną podchodzę do klubu „Picaso”. Przy wejściu wita mnie spiżowa postać Picasso (pożal się Boże, w ten



Śpiewa Maciej Wróblewski



Maria Sołoducha

i Spotkań Lwowskich i dziennikarzy Radia Lwów. Kłaniają się komus grzecznie bracia Radkowcy – Iwan i Piotr, holdujących modzie batiańskiej z przelomu XIX-XX wieków.

W głębi siedzi pan, bardzo przypominający świętego Mikołaja, tylko obok ma nie worek z prezentami, a dwie gitary, przy czym jedna dziwna z głowa kaczora. Później dowiaduję się, że ma aż 18 strun. Domyślam się, że to Maciej Wróblewski i że będzie dzisiaj śpiewał. Obok młoda uroczą dziewczyna. Ktoś mówi: „To Marysia Sołoducha, Ukrainka, urodzona i mieszkająca w Polsce i też będzie śpiewała”. Przy samej scenie konsulowie Jacek Żur i Marian Orlikowski zajęci rozmową z potomkami Henryka Zbierzchowskiego: wnukiem Pawłem, przybyłym z Londynu, wnukiem siostry poety Janem Czarnieckim i jego synem Stefanem z Warszawy. Obok

reżyser filmu „Kawaler Księżycy” z Natalią Posiką. To jej ojciec, znany lwowski artysta-rzeźbiarz, mający pracownię przy ul. Piaskowej w willi należącej kiedyś do Henryka Zbierzchowskiego, z okazji 130. rocznicy urodzin wykonał popiersie poety, widniejące na scenie: „...pociągła, pogodna twarz, zdobiona wydatnym, istic „cyranowskim”, nosem...”.

Za parę minut światło na sali gaśnie. Konsul Jacek Żur przedstawi potomków Henryka Zbierzchowskiego, reżysera filmu „Kawaler księżycy”, wykonawców piosenek. A dalej był film, piosenki polskie, ukraińskie, rosyjskie, w tym cudna „Czerwona Ruta”, „Wołodymira Iwasiuca” i nie mniej cudna „Pod Papugami” Czesława Niemena. Maciej Wróblewski parokrotnie zaśpiewał piosenki Henryka Zbierzchowskiego, niegdyś bardzo popularną w całym Lwowie „Cudna, ach cudna, jest noc”. Za drugim razem już i zebrani z zapalem powtarzali refren.

Wszystko się kończy. Skończył się i ten wieczór. Wychodziłam z klubu z uczuciem wielkiej wdzięczności dla organizatorów, twórców filmu i wykonawców piosenek z nadzieją, że podobne imprezy przybliżające postaci ludzi, którzy żyli we Lwowie i tworzyli to miasto, nie pozwolą zapomnieć „tamten Lwów”.

Wracam wieczorem do domu ulicą Zieloną. Zimno i ciemno. Patrę na kościół ewangelicki i za nim w dali jaskrawo oświetloną wieżę telewizyjną na Wysokim Zamku, a z pamięci wynurza się wiersz jeszcze jednego wielkiego barda – Mariana Hemara, który w swej emigracyjnej tęsknocie w wielkiej miłości do Lwowa napisał: „...mrok, jak kurtyna rozchyli – / wtem – kopiec! Góra Piaskowa! / śmierć szepnie cicho w tej chwili: / Widzisz, synku? Wróciłeś do Lwowa...”.

Patrząc w pochmurne grudniowe niebo myślę, że Bóg Miłosierny oszczędził Henrykowi Zbierzchowskiemu emigracyjnej tułaczki i tęsknoty za miastem, które kochał nad życie, a dzisiaj gdzieś tam wysoko, wśród gwiazd, uśmiecha się i mówi: „Widzisz, Heniu! Pamiętają Cię we Lwowie”.



katedrę malowidłami w latach 20 namalował Henryka Zbierzchowskiego jako anioła. Z niemalym trudem udało się nam tam trafić, kiedy w katedrze jeszcze były magazyny. Niedaleko łuku, przy wejściu po lewej stronie nad oknem zobaczyliśmy „Śmierć Katarzyny Aleksandryjskiej”. Dwaj aniołowie podtrzymują wiotkie ciało męczennicy. Anioł po prawej stronie ma twarz Henryka Zbierzchowskiego.

W tych trochę ciekawszych latach 90. miałam szczęście poznać Witolda Szolginie, człowieka od dzieciństwa skazanego na dożgonną miłość do rodzimego Lwowa. To od niego usłyszałam, że Henryk Zbierzchowski

szedł przy biurku, aż raptem słyszy: „Panie Zbierzchowski! Panie Zbierzchowski!” Otwiera oczy i widzi przed sobą naczelnika mówiącego: „Panie Zbierzchowski! Dzisiaj to ja muszę pana obudzić. Chcę się pożegnać – odchodzę na emeryturę”.

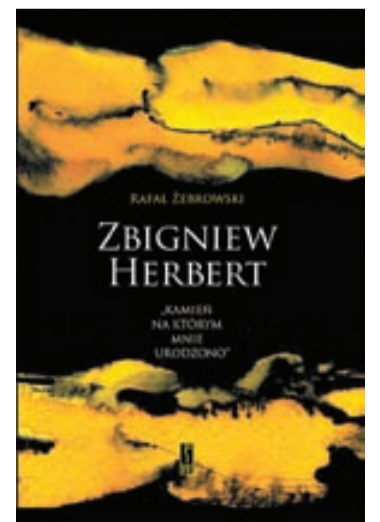
Później dostawaliśmy od redaktorki wydawnictwa „Sudety” Ireny Kozioł książki Witolda Szolgini z serii „Tamten Lwów”. Ostatnią otrzymaliśmy już po śmierci autora. Prawie w każdej z tych książek było coś o Henryku Zbierzchowskim. Drukowane i cytowane były jego wiersze, fraszki. Jedno powiedzonko na zawsze utkwiło w mojej pamięci: „Wiliuś putrafi

grudniowy wieczór w samych tylko szortach!) z tłącym się papierosem w ręku. Od razu za drzwiami twarze znajome i nieznanome, młodsze i starsze, szczerze uśmiechnięte. Mówi się po polsku, ukraińsku, rosyjsku. Gwaro i miło. Przy stolikach już sporo ludzi popijających kawę i „do kawy”. Widzę tu Emilię Chmielową – prezes FOPnU, o czymś wesołym rozmawia ze swym zastępcą Teresą Dutkiewicz i Marią Iwanową. Zajmują miejsce przy stoliku księża. Bliżej sceny widzę profesorów Uniwersytetu Leonida Zaskilniaka i Bogdana Hud'a, Nie zabrakło i przedstawicieli prasy polskojęzycznej Kuriera Galicyjskiego

Nowa książka o Zbigniewie Herbercie

Szanowni Państwo, Przyjaciele, Krewni i Znajomi Niegodnego Autora!

Po wielu trudach i przykrościach, acz nie bez wsparcia kilku życzliwych osób, drukiem ukazała się moja książka o rodzinie Herbertów i młodości jej najbardziej znanego syna, Zbigniewa. Szacowne wydawnictwo PIW jest w sporych tarapatkach i zapewne nie będzie w stanie jej promować z należytym rozmachem. Ciężko jest Autorowi myśleć o tym, że owoce jego trudu nie trafią „pod strzechy”. Toteż mając zaszczyt poinformować Was o szczęśliwym rozwiązaniu i narodzinach woluminu, pragnę równocześnie prosić o rozgłaszanie owego faktu *urbi et orbi* oraz wywieszanie w miarę możliwości stosownych wieści w Internecie. Dziełko liczy 660 stron i zawiera 150 ilustracji.



Z góry dziękuję za zrozumienie i przychyłość.

RAFAŁ ŻEBROWSKI

Nie ma to jak we Lwowie?

Gospodarzem lwowskiego etapu Polsko-Ukraińskiego Wędrującego Festiwalu Filmowego BO! był Pałac Sztuki przy ul. Kopernika, którym kieruje dyrektor Juryj Hniatkowski, piosenkarz i jazzman, znany też z bardzo ciekawego wykonania słynnego szlagieru „Nie ma jak we Lwowie”. Organizatorzy festiwalu pokazali lwowskiej publiczności osiem filmów fabularnych i osiem dokumentalnych. A jak reagowała publiczność?

MAREK WILK

Zdecydowanie większym zainteresowaniem cieszyły się filmy fabularne, ale przykładowo Swietłana Korolowa, profesor Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie oglądała jedno i drugie. I zachwycił ją dokument Małgorzaty Szyszki pt. „Ukraińska dumka Fryderyka Chopina”, a poważnie zamyśliła się po „Tronie w Ukrainie” Andrzeja Kępińskiego. Pani profesor należała do grona osób, które oglądnęły prawie wszystkie filmy.

Z lwowską publicznością spotkali się reżyserka Anna Ferens, która pokazała swój film „Zobaczyłem zjednoczony naród” i reżyser Mychajło Tkaczuk, który przyjechał z Kijowa ze swoim filmem „Bliski, a daleki”. Słowem wstępny każdy film opatrzył Andrzej Kępiński, który zapytany jak ocenia lwowski etap festiwalu stwierdził:



Reżyser Mychajło Tkaczuk

- Pytanie to trzeba skierować przede wszystkim do publiczności, która każdy film nagradzała brawami! Pan Jakub Herold, wicekonsul Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej we Lwowie, po zakończeniu naszego festiwalu pogratulował nam frekwencji i zapewnił, iż Festiwal BO! potwierdza



Reżyser Andrzej Kępiński i profesor Swietłana Korolowa, której podobał się film Małgorzaty Szyszki

zainteresowanie polskim filmem na Ukrainie. Od siebie dodam, iż zyskałszy nowych przyjaciół i partnerów. Znów jak w Łucku i Tamopolu festiwalowi towarzyszyło duże zainteresowanie mediów. Radio Lwowska Fala przeprowadziło konkurs o tematyce związanej z polską kinematografią, ugościły nas lokalne telewizje i „Radio Swoboda” oraz otrzymaliśmy kilka propozycji repertuarowych do następnych etapów i edycji Festiwalu BO! A wystawa fotograficzna autorstwa redaktor Jolanty Stopki „Tropami Pawła Jasienicy Rzeczypospolitej Trojga Narodów” udanie promowała nasz projekt filmowy, jaki chcemy zrealizować z kijowską wytwórnią filmową Batyskaf – pełnometrażowy film dokumentalny pt. „Tropami Pawła Jasienicy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Srebrny wiek”. Otóż, prawdopodobnie znaleźliśmy poważnego partnera do jego produkcji. I bardzo kompetentnego konsultanta merytorycznego. W kuluarach festiwalowych przypadkowo doszło też do spotkania z żyjącą i



Reżyser Anna Ferens

tworzącą w USA Roxy Toporowych, ukraińską dokumentalistką, autorką bardzo ciekawego filmu „Folk”, który mam nadzieję, uda się nam pokazać polskiej publiczności. Niezwykle też były dla mnie spotkania z młodzieżą dziesiątej i jedenastej klasy polskiej szkoły we Lwowie, co było możliwe dzięki zaproszeniu, jakie otrzymaliśmy od Marty Markuniny, dyrektorki Ogólnokształcącej Szkoły Średniej nr 10 i odwiedziny polskiego Uni-



*Wszystkiego, co dobre
i pachnie świątami,
skrzypiącego śniegu
pod stopami,
cudownej kolacji
w wigilijnym mroku
i hucznego
Nowego Roku!*



wersytetu Trzeciego Wieku we Lwowie, grupą kierowaną przez Ewę Małanicz. A wszystko to mogło się wydarzyć dzięki pomocy Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i kijowskiej wytwórni filmowej Batyskaf.

We Lwowie Festiwal BO! pokazał filmy fabularne: „Śluby panieńskie”, „Kariera Nikusia Dyzmy”, „Kup teraz”, „Operacja Dunaj”, „Piotrek trzynastego”, „Czarny, Erratum”, „Czarny czwartek”.

Ze Lwowa Festiwal BO! powędrował do Kijowa, gdzie w kinie Zhovten, od 15 do 21.12. 2011 będzie można znowu podziwiać polskie filmy. Kijowski etap festiwalu BO! zakończy światowa premiera pełnometrażowego filmu dokumentalnego o stanie wojennym w Polsce pt. „Jak generał wybierał się na wojnę”. Autorzy tego filmu, reżyserzy Robert Kaczmarek i Grzegorz Braun zapowiedzieli swój przyjazd do Kijowa.

Polsko ukraiński wędrowny festiwal filmowy BO! 15-21 grudnia kino „Zhovteń” w Kijowie

15 grudnia – godz. 19:00 – uroczyste otwarcie festiwalu, połączone z pokazem filmu „Śluby panieńskie”
16 grudnia – godz. 19:30 – „Różyczka”
 godz. 21:20 – „Operacja Dunaj”
17 grudnia – godz. 19:30 – „Czarny Czwartek”
 godz. 21:20 – „Kariera Nikosia Dyzmy”
18 grudnia – godz. 19:30 – „Czarny Czwartek”
 godz. 21:20 – „Kup teraz”
19 grudnia – godz. 19:30 – „Erratum”
 godz. 21:20 – „Piotrek trzynastego”
20 grudnia – godz. 19:30 – „Hel”
21 grudnia – godz. 21:20 światowa premiera – film dokumentalny pt. „Towarzysz Generał idzie na wojnę” – produkcja 2011, długość 80 min. – reż. Robert Kaczmarek i Grzegorz Braun

Продам забудовану ділянку у Польщі, біля Балтійського моря, поруч кордону з Німеччиною



Ділянка розміщена над Щецинською затокою, має доступ до води. Знаходиться у тихій, мальовничій околиці Волінською Національного Парку. Відстань до Балтійського моря – 10 км (Мендзиздрое), до аеропорту у Голеньове – 50 км, до Щеціна – 90 км, до відомого гольфклубу Амбер Балтік – 20 км.

Забудова складається з двох будинків, ділянка – 8780 м². Під меншою будівлею – гараж, сполучений тунелем з більшим будинком. Загальна площа великого будинку – 500 м², меншого – 80 м².

Оба будинки мають тераси з видом на затоку. Під терасами – господарські приміщення для зберігання городнього інвентаря.

На першому поверсі великого будинку: кухня, вітальня, кімната для гостей з ванною кімнатою, санвузел, великий холл та сходи у підвал та на II поверх.

Підвал: приміщення на сауну і фітнес-зал, господарські приміщення, велика кімната з ванною і виходом у сад.

II поверх: 4 кімнати і 2 ванни, мансарда має вмонтовані у дах вікна і може бути ще одна велика кімната.

Меньший будинок може бути для гостей або під офіс: вітальня, кімната у мансарді, кухня, ванна, коридор.

Меньша будівля в середині поштукатурена. У більшому будинку треба викінчити електропроводку II поверху і поштукатурити. В обох будинках не має обігріву. Підготовлена ємність на мазут.

Ціна – 450 000 EUR

Продам також суміжну ділянку 4000 м² за ціною 25 EUR за м².

Контакт:

klinkier-plast@o2.pl; тел. +48 505 156 391

Obrońca podatników

ALEKSANDER KRZECZUNOWICZ



ARTUR GÓRSKI

Nie ma wątpliwości, że Aleksander Krzeczunowicz był jednym z bardziej kontrowersyjnych konserwatywnych polityków z Galicji Wschodniej. Po ojcu – Kornelu Krzeczunowiczu – odziedziczył zainteresowania, wiedzę i smykałkę do spraw podatkowych. Konsekwentnie bronił Galicji przed nadmiernym fiskalizmem rządowym, a także utworzył prężnie działające Towarzystwo Ochrony Podatników. Ze względu na swój trudny charakter i wybuchową naturę miał jednak wielu oponentów politycznych, także wśród konserwatystów krakowskich. Michał Bobrzyński miał bardzo złe zdanie o Krzeczunowiczu, gdyż ten bojkotował politykę Namiestnika, przeciwstawiając się skutecznie tworzeniu dalszych gimnazjów ruskich. Uważał Krzeczunowicza za „ujemny typ i produkt rasy ormiańskiej w Galicji”. Przyznawał jednak, że odgrywał on „znaczącą rolę wśród podolskich konserwatystów”, a „we wszystkich sprawach sejmowych, zaczynając od podatku, a kończąc na szkołach, występował z powagą autorytetu”.

Aleksander Krzeczunowicz urodził się 15 marca 1863 r. Ojciec zapewnił mu dobre wykształcenie i majątek. Jak wielu Podolaków ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Pod czujnym okiem ojca zgłębiał też sprawy gospodarcze i finansowe. Odziedziczył majątki m.in. Bólszowce, Bouszowo, Herbutowo, Kunaszowo i Słobódka. Jako ich właściciel w 1888 r. został członkiem Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego, a rok później członkiem Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Swoją karierę publiczną Krzeczunowicz rozpoczął w samorządzie. Od 1891 r. zasiadał w Radzie powiatowej w Rohatynie, a od 1900 r. pracował w Wydziale Powiatowym w Podhajcach. W 1912 r. został prezesem rohatyńskiej Rady powiatowej, jako osoba wielce zasłużona dla tej ziemi.

W wyborach 1908 r. Krzeczunowicz uzyskał mandat poselski do Sejmu krajowego z kurii wielkiej własności obwodu brzeżańskiego, z rekomendacji Podolaków. Pięć lat później ponownie został wybrany posłem w tym obwodzie, wystawiony przez Radę Narodową. Był członkiem Klubu Centrum (Środka), skupiającego najbardziej nieprzejednanych Podolaków.

W Sejmie galicyjskim pracował głównie w komisjach: budżetowej, podatkowej i reformy wyborczej, ale był wybierany także do komisji: szkolnej, petycyjnej, solnej i wodnej.

W swoich wystąpieniach sejmowych najczęściej zabierał głos w sprawach budżetowych i podatko-

wych. W 1909 r. negatywnie ocenił politykę rządu, który zwiększał podatki, a zarazem zmniejszał dotacje krajowe. Jego zdaniem „rząd przecenia zamożność Galicji i jej stosunki ekonomiczne”. „Jeżeli teraz rząd chce wywieźć z Galicji kilkadziesiąt milionów więcej, niż Galicja dać jest w stanie, może spowodować tym zachwianie bilansu i może także doprowadzić kraj do ruiny, może doprowadzić do tego stanu, w którym zostawiły Galicję rządy absolutne” – mówił. Domagał się, aby rząd jak najszybciej przeprowadził wielką reformę finansów państwowych i „ażeby do tego czasu tak samo zrezygnował z dochodu z wódki dla skarbu państwa tak, jak zrezygnował z dochodu z piwa”. Jego zdaniem, rząd postąpiłby „konsekwentnie i sprawiedliwie”, gdyby „oddął krajom także dochód z podwyżki podatku od wódki, a natomiast sobie zatrzymał cały dochód z podatku osobisto-dochodowego, nie przyznając krajom w tym podatku żadnego udziału”. Zwracał uwagę, że wobec rosnącego deficytu budżetu Galicji, sięgającego w 1909

roku 11 mln koron, kraj dla usunięcia niedoborów „potrzebuje całej kwoty, jaką dać może podwyżka podatków od piwa i od wódki, zapłacona przez konsumentów galicyjskich”.

W tym roku ukazała się we Lwowie jego broszurka pt. *Sanacja finansów*, w której rozwinął swoje sejmowe wystąpienie. Powtórzył w niej pogląd, że ciężary podatkowe muszą być równomiernie rozłożone na wszystkie kraje monarchii i zrównoważone korzyściami, jakie poszczególne kraje odnieść mogą. „Gdy się tego na uwagę nie bierze, następuje szkodliwe przesunięcie ciężarów z jednych krajów na inne” – pisał. A w dalszej części pytał retorycznie: „Czyż może być słusznym, aby Galicja płaciła za niedobory kosztownych kolei alpejskich, z których nie korzysta?”.

W 1912 r. złożył w Sejmie wniosek w sprawie projektów rządowych o podwyższenie podatków: osobisto-dochodowego, od wódki, od piwa, od spadków i uregulowania udziału krajów w tych podatkach. Zaznaczył, że wniosek ten „nie jest niczym innym, jak tylko dalszym ciągiem ak-

W historii c.k. Galicji niepoślednią rolę odgrywali Podolacy – konserwatywne stronnictwo polityczne ziemian Galicji Wschodniej lat 1867–1914. W poprzednich numerach Kuriera Galicyjskiego przedstawiliśmy historię tego ugrupowania. Poniżej kontynuujemy cykl artykułów poświęconych biografom jego najwybitniejszych przedstawicieli. Zapraszamy do lektury!

podwyższenie tej subwencji do 75%, a petycję tę motywując złym stanem finansowym powiatu, ważnością tej drogi i tym, że Wysoki Sejm uznał już przed 40 laty potrzebę drogi z Monasterzysk do Halicza”.

W latach 1910–1914 był namiętnym wrogiem demokratycznej reformy wyborczej. Starał się jej przeciwstawić, a jeśli już musi zostać przeprowadzona, podejmował działania, aby spowolnić jej wprowadzenie i przeprowadzić z korzyścią dla pol-

głosu) z tytułu ilości dzieci, „by każdy obywatel, nawet małoletni miał głos wykonany przez ojca jego”, z tytułu wykształcenia (np. drugi głos dla osoby z wykształceniem gimnazjalnym, a trzeci dla osoby, która ukończyła studia wyższe), „bo taki ma więcej zrozumienia dla spraw publicznych”, a także z tytułu płacenia wyższych podatków, „bo płacący podatek ma wyższy interes w tym by gospodarstwo krajowe było dobrze prowadzone”. Uważał, że „jeżeli parlament ma moc skutecznie kontrolować rząd i skutecznie działać, winien być dobrze złożony i nieliczny”. Podczas prac nad reformą wyborczą złożył liczne poprawki do projektu, a gdy zostały odrzucone, na znak protestu, opuścił posiedzenie Sejmu.

Krzeczunowicz – to typowy ziemianin o gorącej głowie kresowego szlachcica. Znany był z ciętego, ostrego języka. Zasłynął z niewybrednych, gwałtownych ataków na swoich oponentów politycznych, co spowodowało, że Sąd powiatowy w Rohatynie wystąpił do Sejmu z prośbą o zgodę na karno-sądowe ściganie Krzeczunowicza. Immunitet został mu uchylony i ostatecznie w 1910 r. został skazany na karę pieniężną za „przekroczenie obrazu czci”.

Zdaniem Jerzego Zdrady, Krzeczunowicz utworzył Towarzystwo Ochrony Podatników w związku z wprowadzeniem w Austro-Węgrzech pod koniec XIX w. podatku osobisto-dochodowego. Już wcześniej ludność Galicji odczuwała boleśnie nacisk „sruby podatkowej”. Jednak nie ma wątpliwości, że główną przyczyną utworzenia Towarzystwa była twarda polityka związanego ze Stańczykami Witolda Korytowskiego, który jako szef Krajowej Dyrekcji Skarbu usprawnił działalność maszyny podatkowej, tworząc z niej – jak twierdził Krzeczunowicz – bezwzględne, administracyjne narzędzie do ściągania danin z ubogiej ludności Galicji. „Jeżeli chłop zabiera zniemawidzony egzekutor ostatnią chudobę za niezapłacony podatek, to cokolwiek o tym zawyrokowała martwa literatura prawa, życie nie zakute w szablon biurokratyczny, musi podnieść przeciwko temu gromki głos protestu” – podnosili w prasie i na zgromadzeniach członkowie tej organizacji obrońcy podatników, a wtórował im Krzeczunowicz.

W 1911 r. Krzeczunowicz wspólnie z innymi Podolakami – hr. Stanisławem Stadnickim i księciem Witoldem Czartoryskim założył spółkę, która przejęła wydawanie „Gazety Narodowej”, tytułu od dawna stano-



Dawny gmach Sejmu Galicyjskiego we Lwowie, ok. 1898 r.

zwała ustawa niemiecka rozkładać podatek na lat 10 bez procentu i nie zezwala na wystawienie nieruchomości na licytację za spadek”.

Był zwolennikiem poprawienia sytuacji komunikacyjnej Galicji Wschodniej. Postulował zbudowanie kolei „od Podhajec do jednej ze stacji kolei podolskiej”. W tej sprawie zwrócił się ze stosownym wnioskiem do Wydziału krajowego, zauważając, że linia zbudowana równoległe do linii Chodorów – Tarnopol i do linii Buczac – Czortków „obsługiwałyby najlepiej tę część kraju, dotąd komunikacji pozbawionej”. Zaznaczył przy tym, że inwestycja ta nie będzie przeszkadzała rozpoczętej za rządów podhajec do Buczacza, „ponieważ obie linie są dla kraju potrzebne”. W 1912 r. zabiegał o zwiększenie subwencji krajowej z 50 do 75 % na do-kończenie budowy drogi Czortków – Monasterzyska z przedłużeniem do Halicza. Jego wniosek wynikał z fatalnych stosunków finansowych w powiatach, którymi droga przechodzi. „Dlatego wniosłem petycję imieniem powiatu rohatyńskiego prosząc o

skiej mniejszości w Galicji Wschodniej. „Reforma wyborcza – mówił w lutym 1914 r. – musi uwzględniać dwie kwestie główne tj. kwestię społeczną i sprawę narodową, musi je uwzględnić razem i łącznie (...). Ale projekt dzisiejszy, zdaje mi się, nie załatwia dostatecznie ani jednej kwestii, ani drugiej kwestii”. Był m.in. przeciwny utworzeniu narodowych okręgów wyborczych, które na wschodzie kraju stawałyby w uprzywilejowanej pozycji Ukraińców, a tym samym pogłębiały konflikt polsko-ukraiński. „Potrzeba zgody, ona musi być odczuta, a zgoda nie może nastąpić, jeśli się rozdzielimy, bo zawsze mamy mnóstwo spraw stycznych, gdzie trzeba będzie wspólnego porozumienia, a narody między sobą rozdzielone już trudniej będą mogły się zrozumieć” – przekonywał. Jednocześnie wyrażał obawy, że powszechne głosowanie doprowadzi do sytuacji, że „będziemy mieli rozmaite niespodzianki, szczególnie w okręgach, w których nie chłop-rolnik, lecz proletariat większość mieć będzie”. Był też zwolennikiem pluralności głosów (wielokrotnej siły

więcego nieformalny organ konserwatystów podolskich. Pod nowym właścicielem „Gazeta Narodowa” stała się oficjalnym organem Klubu Centrum (Środka), zaczęła się rozwijać i niebawem stanowić coraz większą konkurencję dla krakowskiego „Czasu”. Krzeczunowicz został jednym z bardziej regularnych autorów gazety, w której zresztą już i wcześniej publikował.

Przed wojną Krzeczunowicz popierał sojusz Podolaków ze starorusinami przeciwko ukraińskim narodowcom. Jego wrogość wobec obozu ukraińskiego w czasie wojny zaprowadziła go na pozycje prorosyjskie. Tak głośno krytykował ukraińską politykę rządu wiedeńskiego, że po ustąpieniu wojsk rosyjskich z Galicji został oskarżony przez władze austriackie o zdradę stanu i internowany we Lwowie. Miał stanąć przed Sądem, jednak wstawiło się za nim w rządzie kilku czołowych konserwatystów wschodniogalicjskich i ostatecznie sprawę wyciszono.

Ostatnim jego znaczącym wystąpieniem programowym był tekst napisany w październiku 1918 r., wydany w kolejnym roku w Krakowie jako odrębna broszura polityczna pt. *Przyszłość Słowian i kwestia ruska w Galicji i na Podolu*. Przedstawił tam kilka ciekawych koncepcji odnośnie przyszłości Polski niepodległej. Wyraził m.in. opinię, że byłoby wskazane utworzenie w ujścia Dniestru do Morza Czarnego wolnego miasta handlowego, „w któremby Polska, Rosja i Rumunia miały własne doki i własne porty, w którychby mogły utrzymywać własne floty handlowe. Kanałem od Sanu do Dniestru miałaby Polska dostęp do dwu mórz”. Był także za decentralizacją państwa i przyznaniem szerokich prerogatyw na rzecz samorządu terytorialnego. „Rząd centralny – pisał – powinien się ograniczyć do polityki zagranicznej, zarządu armia, clami, monopolami, żegluga, kolejami, wyższymi szkołami i do nadzoru nad sprawami należącymi do kompetencji wojewodów, miast, powiatów i gmin”.

Zabrał również głos w sprawie przyszłego ustroju odrodzonej Polski. Uważał, że jest sprawą drugorzędą, czy Naczelnik Rzeczypospolitej będzie miał tytuł prezydenta, obieralnego na pewien okres czasu, z prawem ponownego wyboru, czy też tytuł króla, obieralnego dożywotnio z prawem dla Sejmu, wypowiedzenia mu wcześniej posłuszeństwa, „bo o władzy decyduje nie tytuł, lecz konstytucja”. Jednak sam przychylił się do monarchii ze względu na tradycję Korony i Litwy. Wolał tytuł króla „naturalnie z zastrzeżeniem, iż obieralnym mógłby być tylko Polak lub Litwin w razie unii z Litwą, którego ojciec był już Polakiem lub Litwinem”. I dodawał: „Wszak żyje potomek Gedyminów Sanguszko Lubartowicz, nie należący do żadnej partii, a jego wybór mógłby ułatwić ponowną unię Polski z Litwą”. Jak wiemy, koncepcje te zostały tylko na papierze.

W niepodległej Polsce nie podejmował prób udziału w życiu publicznym. Po odparciu bolszewickiej nawałnicy w 1920 r., zajął się odbudową majątków zniszczonych w wyniku działań wojennych i poświęcił sprawom rodzinnym.

Aleksander Krzeczunowicz zmarł 3 marca 1922 r. we Lwowie i pochowany został dwa dni później na Cmentarzu Łyczakowskim, w grobie rodzinnym.

KG

KAROL SZYMANOWSKI WCIĄŻ POWRACA DO FILHARMONII LWOWSKIEJ

Już po raz trzeci w tym roku lwowiacy spotkali się z muzyką wybitnego polskiego kompozytora Karola Szymanowskiego. Pierwszy koncert poświęcony był inauguracji polskiej prezydencji w Unii Europejskiej (KG nr 13, 2011 r.). Zaproszono wówczas do Lwowa polskiego pianistę światowej sławy Pawła Kowalskiego. Muzyka polskiego kompozytora brzmiała też niejednokrotnie w ramach XVII Międzynarodowego Festiwalu „Kontrasty-2011”.

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcie

26 listopada br. konsulat generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie zorganizował koncert z okazji 93. rocznicy Niepodległości Polski. „Usłysz Państwo utwory symfoniczne dwóch wybitnych kompozytorów, Polaka Karola Szymanowskiego i Ukraińca Borysa Latożyńskiego, – zwrócił się do publiczności w słowie powitalnym konsul Andrzej Drozd. – Ich muzyka nie świadczy jednak wyraźnie o przynależności narodowej autorów. Karol Szymanowski urodził się na Ukrainie i był bardzo związany z ukraińską kulturą muzyczną. Borys Latożyński urodził się w rodzinie o polskich korzeniach i nie uniknął wpływu polskich tradycji na swą manierę twórczą” – podsumował.

Koncert składał się z dwu części. W części pierwszej artyści przedstawili utwory symfoniczne Karola Szymanowskiego, w drugiej – Borysa Latożyńskiego. Sylwetki kompozytorów przybliżyła publiczności muzykolog Zofia Iwanowa.

Karol Szymanowski (1882-1937) urodził się we wsi Tyszówka (obw. czerkaski, Ukraina). Naukę muzyki początkowo pobierał pod kierunkiem Gustawa Neuhaus w Elizawetgradzie. Następnie studiował w Warszawie u prof. Zygmunta Noskowskiego. Kompozytor pochodził z rodziny niezwykle uzdolnionej muzycznie. Siostra Stanisława Korwin-Szymanowska była znakomitą śpiewaczką, zaś brat Feliks – biegłym pianistą. W latach 1908-1926 Karol Szymanowski odbywał wiele podróży za granicę. Zwiedził wiele krajów Europy, Ameryki i nawet Afryki. W 1927 r. otrzymuje stanowisko dyrektora Warszawskiego Konserwatorium, a później zostaje pierwszym rektorem uczelni. Jego dzieła zdobywają wielki sukces w Polsce i za granicą, dotyczy to zwłaszcza oratorium Sabat Mater. IV Symfonia Szymanowskiego wędruje przez wielkie muzyczne ośrodki Europy. Balet „Harnasie” powstał w inspiracji kompozytora twórczością ludową i kulturą polskich górali. Przez osiem lat kompozytor pracował nad dziełem, by wreszcie w 1935 r. wystawić go po raz pierwszy w Pradze. Rok później, przy współudziale francuskiego tancerza i choreografa Sergego Lifara, balet osiąga międzynarodowy sukces w Operze Paryskiej.

Wśród kompozycji Szymanowskiego znajdujemy olbrzymie, nie spotykane do tej pory w polskich kompozytorów bogactwo form: symfonie, opery, koncerty, muzyka kameralna, oratorium, balet. Główne jednak jego zainteresowanie twórcze skupia się na dziełach symfonicznych oraz utworach fortepianowych i skrzypcowych. Podczas koncertu usłyszeliśmy „Trzy kaprysy Paganiniego – op. 40 na skrzypce i fortepian” oraz cykl „Mity” (Fontanna Aretuzy, Narcyz, Dryady i Pan). Karol Szymanowski stworzył „Mity” w 1915 r. na Ukrainie



Młodzi artyści na scenie Filharmonii Lwowskiej

i po raz pierwszy utwór wykonano w Humaniu. Uważał go za niezwykle ważne dla siebie dzieło. Nieco później Szymanowski opisał program muzyczny „Mitów”, co ułatwiło wykonawcom odtwarzanie tej muzyki, zaś publiczności – zrozumienie. W „Mitach” jest wszystko – szum lasu i dźwięki wodospadu, cisza nocy letniej i zaduma na brzegu jeziora. Jest to melodia bardzo nastrojowa, ekspresyjna. Lidia Futorska skłoniła skrzypce odtworzyć ten urokliwy klimat – w niektórych momentach była nawet podobna do driady, ukazującej magię przyrody. Skrzypaczka doskonale odczuła zamysł Szymanowskiego, muzykę można było odczytać z jej twarzy, a na sali publiczność trwała w subtelny zachwyceniu fantazyjnymi melodiami.

Młodszy od Szymanowskiego o 12 lat Borys Latożyński już jako dziecko doskonale grał na fortepianie i skrzypcach, a w wieku 14 lat był autorem kilku dzieł muzycznych. W latach 20. i 30. XX w. był już znanym kompozytorem, wykładowcą, profesorem. Dla jego twórczości charakterystyczne są monumentalne utwory i muzyka kameralna. Ogromne znaczenie i wpływ miała dla kompozytora muzyka ludowa i właściwy jej rytm. Latożyński wprowadził swoją twórczością współczesną mu muzykę ukraińską w kontekst europejski. Pracował w czasach Sowieckim partia wymagała od kompozytora dzieł na określone tematy, stworzone w stylu socrealizmu, bez burżuazyjnych „izmów”. Wymagała utworów „prostych, zrozumiałych dla zwykłych ludzi-robotników i kolchoźników”. Borys Latożyński nigdy nie szedł na łatwiznę i nie patrzył na rzeczywistość przez różowe okulary. Był człowiekiem wielkiej kultury i zawodowego kunsztu, niezwykle erudycji muzycznej, jak również utalentowanym pedagogiem-wychowawcą plejady ukraińskich kompozytorów takiej miary, jak Igor Szamo. Nie uniknął oczywiście krytyki kierownictwa i prasy komunistycznej. Mimo to, kompozytora doceniono jeszcze za życia poprzez przyznanie mu wielu nagród państwowych. Borys Lato-

żyński nie lubił krytyków „Kompozytorzy muzykę rozumieją, ale często jej nie lubią. Słuchacze muzykę lubią, ale często jej nie rozumieją. Krytycy muzyki nie rozumieją i nie lubią” – mówił z humorem.

Podczas koncertu usłyszeliśmy „Ukraiński Kwintet nr 42” w czterech częściach. Była to muzyka pełna tęsknoty, smutku, muzyka głębokich rozmyślań i zadumy. W magicznych dźwiękach można było odczytać romantyczne wspomnienia i niepokój przyszłości. Brzmiały wspomnienia o młodości; o ludziach, których już z nami niema; o czasach, które już odeszły na zawsze. Można było dosłyszeć odwołania do tradycji muzyki ludowej, czuło się nastrojowość ukraińskiego stepu i tajemniczość górskich polonin.

Widzowie godnie ocenili mistrzostwo młodych artystów. Na najwyższe pochwały zasługują: Lidia Futorska (skrzypce), Andrij Czajkowski (skrzypce), Iwan Pachota (fortepian), Marta Karapinka (alt) oraz Wiktor Rekało (wielonczela). „Iwan Pachota jest utalentowanym interpretatorem i kompozytorem o wyraznej indywidualności, – mówił konsul Andrzej Drozd. – Efektowna gra Lidii Futorskiej na skrzypcach i Iwana Pachoty na fortepianie tworzą niepowtarzalny duet. Występujący dziś przed Państwem artyści są przyszłością ukraińskiej muzyki we Lwowie” – podsumował. Postanowiliśmy przybliżyć naszym czytelnikom ich sylwetki:

Lidia Futorska urodziła się w 1981 r. we Lwowie i jest absolwentką Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej im. Łysenki. Odbyła staż w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Występowała na scenach Ukrainy, Polski, Słowacji, Austrii, Kanady, Włoch. W repertuarze skrzypczki mieści się muzyka różnych epok – od baroku do awangardy XX wieku.

Iwan Pachota urodził się w obwodzie połtawskim, na Ukrainie. Studiował muzykę w Charkowie, a później klasie prof. Mykoły Skoryka Lwowskiej Narodowej Akademii Muzycznej im. Łysenki. Interesuje go przede wszystkim francuska muzyka kameralna XX

w. Utwory kompozytorskie Iwana Pachoty były wykonywane we Francji, Niemczech, Hiszpanii, USA, Polsce, na festiwalach muzycznych we Lwowie i Odessie. W 2008 r. pianista wystąpił na prestiżowym festiwalu „Tage für Neue Musik Zürich”, a w 2009 r. otrzymał Państwowe Stypendium im. Wołodymyra Iwasiwki fundacji „Open Ukraine”.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić zaangażowanie Konsulatu Generalnego RP we Lwowie w propagowanie muzyki poważnej i kultywowanie najlepszych tradycji lwowskiego życia kulturalnego. Z niecierpliwością będziemy czekali na nowe spotkania kulturalne.

Okienko poetyckie

W 16. rocznicę (Ojcu Rafałowi Kiernickiemu)

*Ojciec Rafale, w niebieskiej chwale,
U tronu jesteś Pana.*

*Za służbę wierną Bóg niewymierną
Darzy Cię pełnią wiana.*

*Niezapomniani! Jakże Kochany!
Pasterzu Kresowych stanic.
W małym i dużym, każdemuś służył
Swym poświęceniem bez granic.*

*W ten czas złowrogiej, klody pod nogi
Rzucił los cierniem i znojem.
Tyś woli hartem, z żołnierskim żartem
Znosił z stoickim spokojem.*

*Sam w Bożej mocy, we dnie i w nocy
Byłeś lask nieba szafarzem.
O, dobry Boże! Prosim w pokorze,
Wzniesie rychło Go na ołtarze.*

*Czas tak ulata, szesnasta data,
Jak Cię powołał Pan.
Palimy znicze w Twojej kaplicy,
Skąd błogosławisz nam.*

STANISŁAWA NOWOSAD

OBOZOWISKO ŁOWCÓW MAMUTÓW W BOŁSZOWCACH

Od kilku lat archeolodzy z Uniwersytetu Wrocławskiego prowadzą prace na wzgórzu klasztornym, wokół sanktuarium w Bołszowcach, niedaleko Halicza.

z MIROSLAWEM FURMANKIEM, szefem ekipy archeologów w Bołszowcach rozmawiał MARCIN ROMER.

Cóż nowego? Jakie rezultaty udało się wam uzyskać w tym roku?

Tym razem sytuacja wygląda trochę inaczej niż zwykle. Nie licząc paru wolontariuszy, przyjechała z nami ekipa z Koła Naukowego Antropologów z Uniwersytetu we Wrocławiu – pod kierownictwem pani profesor Barbary Kwiatkowskiej i Jacka Szczurowskiego. Działamy w kilku miejscach, w zasadzie w dwóch. Tutaj, na tym niższym tarasie przed klasztorem, po stronie wschodniej, mamy jeden wykop, a drugi mamy założony w miejscu, gdzie powstaje nowe, trzecie skrzydło klasztoru. Jest wiele nowych ciekawych odkryć.

Oczywiście, jak zwykle, znaleźliśmy parę grobów. W czasie poszukiwań archeologicznych pojawiło się też parę nowych i to bardzo zaskakujących elementów. W wykopie koło kościoła, gdzie górne warstwy są już związane z funkcjonowaniem klasztoru, czyli XVII-XVIII-XIX-wiecznymi, odkryliśmy, że pod spodem jest cmentarz, który zajmuje całą powierzchnię wzgórza. To jednak nie koniec. Okazało się, że pod tą warstwą jest jeszcze inny obiekt (mamy niewielki wykop, więc trudno powiedzieć, jaką spełniał funkcję) gdzie odkryliśmy materiał wczesnośredniowieczny. Musimy to do końca przeanalizować. Jest albo XII-, albo XIII-wieczny, czyli to już ustawia sytuację cmentarza. Ten cmentarz musi być młodszy niż ten XII-XIII wiek. Natomiast jak dokładnie chronologicznie wyglądał jego po-



Mirosław Furmanek

czątek? Wiadomo, że te późniejsze fazy już są związane z funkcjonowaniem kościoła, ale nie wiemy, kiedy się zaczęła jego historia. Natomiast w dwóch wykopach, które są tu przy bramie, pod tą warstwą cmentarną, gdzie akurat odkryliśmy pięć grobów, również wystąpiły różnego rodzaju znaleziska i obiekty związane ze starszymi okresami, jeszcze pradziejowymi. Takim bardzo interesującym, ale zagadkowym obiektem, którego nam się w tym roku jeszcze nie udało wyjaśnić, jest rów, czyli coś w rodzaju fosy. Rów niezbyt szeroki, ale taki bardzo charakterystyczny dla tego okresu. Prawdopodobnie jest związany z osadą kultury trypolskiej. Czyli, powiedzmy, gdzieś około połowy 5 tysiąclecia przed Chrystusem.

Są to dość rzadkie obiekty, osady tej kultury dość rzadko były otaczane fortyfikacjami. Przebadaliśmy to na niewielkim kawałku, więc ciężko było tak naprawdę w stu procentach powiedzieć, jak go datować. Były tam, zresztą, fragmenty malowanej ceramiki. I jeszcze jeden fajny obiekt, który był wkopany w ten rów (czyli jest młodszy), w którym odkryto całe naczynie gliniane, związane prawdopodobnie z takim kompleksem, funkcjonującym w starszej epoce brązu. Przypuszczam, że wstępnie można je datować na 1,5 tysiąca lat przed Chrystusem. Co do tego naczynia też nie mamy takiej stuprocentowej pewności. Te materiały jednak zawsze są dla nas nieco zaskakujące, trochę inne niż na ogół przez nas spotyka-

ne. Musimy to przeanalizować, żeby rzeczywiście określić chronologię. Jest to naprawdę fajne, ważne i tak naprawdę są to zupełnie nowe rzeczy, które otwierają nowe perspektywy. Myślę, że przez to nie będzie łatwo nas się pozbyć (śmiech). Tym bardziej, że rzeczywiście ciągle trwają tu jakieś prace budowlane i jednak trzeba będzie tamtą strefę też przebadać, po to, by nie zniszczyć tam czegoś, nawet przypadkowo. Zabytków jest dużo – i tych nowożytnych, i tych pradziejowych.

Od początku odkrywaliśmy tutaj zabytki, które są z tych starszych okresów pradziejowych. One zawsze były w warstwach nowożytnych, były przemieszane z tymi warstwami, które związane są z funkcjonowaniem klasztoru. Kiedy budowano ten klasztor, niszczone przy okazji to wszystko, co było wcześniej. Przez to nie mieliśmy takich stuprocentowo pewnych obiektów z tych okresów



*Jest taki dzień
w środku zimy,
pachnący barszczem,
choinką.
Wesołych świąt
sobie życzymy,
karmiąc się szczęścia
drobinką.*

nie gdzieś jeszcze, głębiej, pod tymi wszystkimi nawarstwieniami, może się okazać, że jest jakieś stanowisko łowiecko-zbiierackie – gdzieś z epoki lodowcowej. Tym bardziej, że samo to miejsce – znając reguły lokowania tego typu myśliwskich obozowisk – jest położone w takim miejscu, gdzie zazwyczaj tego rodzaju obozowiska były lokowane. Tutaj jest bardzo dobry strategiczny punkt, gdzie widać ogromny teren, wychodzą tutaj jakby dwie dolinki rzeczne i są to naturalne miejsca migracji zwierząt.



To miejsce pozwalało zlokalizować te zwierzęta a później na nie polować. Tym bardziej, że tam, zaraz po drugiej stronie, tam, gdzie jest maszt w Haliczu, od paru lat też jest badane przez archeologów ze Lwowa i z Torunia obozowisko łowców mamutów.

Tegoroczna eskapada, choć krótka była więc bardzo owocna i obiecująca. Jakie wobec tego są wasze plany na przyszłość?

Musimy jednak to trochę inaczej zorganizować, bo nasze przyjazdy są jednak zbyt krótkie. To wymaga funduszy. My tu przyjeżdżamy na zasadzie wolontariatu czy w ramach jakichś studenckich praktyk lub wybieżek. To niestety trochę nas ogranicza. Trzeba będzie gdzieś spróbować coś zadziałać w tym kierunku, żeby można było na dłużej tu przyjechać i podjąć badania archeologiczne w szerszym zakresie. Wziąć jeszcze jakiegoś archeozoologa, jakiegoś geomorfologa, który by nam też tu się przydał.

Dziękuję za rozmowę.

KG



Staralam się zadbać o drobne sprawy zwykłych ludzi

z panią JOANNĄ FABISIAK, posłem na Sejm, wiceprzewodniczącą Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą oraz członkiem Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży rozmawiał ROMAN ŚMIGIELSKI.

Zasiada Pani w Sejmie RP już czwartą kadencję. Co udało się Pani w tym okresie osiągnąć w parlamencie?

Moją pracę w parlamencie można podzielić na kilka obszarów: aktywność w Sejmie, wspieranie różnych inicjatyw związanych z Polonią i młodzieżą, działanie dla Warszawy i pomoc zwykłym ludziom. Podczas tej kadencji Sejmu bardzo aktywnie włączyłam się w prace nad ustawą o Szkolnictwie Wyższym, ustawą o funkcjonowaniu Uniwersytetów Trzeciego Wieku, a także ustawą o Karcie Polaka. Zależało mi bardzo na ochronieniu studentów przed drastycznym podniesieniem czesnego. Te działania zakończyły się sukcesem. W Komisjach sejmowych zajmuję się przede wszystkim sprawami Polonii i Polaków mieszkających za granicą, a także polskiej młodzieży. Na tym polu przeprowadziłam kilka większych inicjatyw, jak choćby ostatni program walki o zdrowe żywienie wśród młodzieży pod hasłem „Wiem co jem”. Byłam także jednym z inicjatorów i patronem powstałej w kwietniu 2011 roku Polskiej Rady Organizacji Młodzieżowych. PROM jest związkiem stowarzyszeń polskich organizacji młodzieżowych oraz organizacji zrzeszających młodzież. Jej celem jest między innymi współtworzenie polityki młodzieżowej, upowszechnianie idei uczestnictwa młodzieży w życiu publicznym, reprezentowanie interesów młodzieży wobec instytucji sektora publicznego, a także ułatwienie nawiązywania kontaktów pomiędzy polskimi organizacjami młodzieżowymi a ich partnerami za granicą.

Uczestniczyłam w pracach nad reformą szkolnictwa polonijnego. W procesie tworzenia tego programu brałam udział w niezwykle ważnej dla oświaty polonijnej konferencji zorganizowanej przez Europejską Unię Wspólnot Polonijnych w Malmo w październiku 2009 roku. Na konferencji zostały poruszone najważniejsze problemy edukacji polonijnej. Bardzo mi zależy na tym, aby każde dziecko pochodzenia polskiego, mieszkające za granicą, miało dostęp do nauki języka polskiego. Uważam bowiem, że jest on najtrwalszym i najskuteczniejszym spoiwem łączącym naszych Rodaków na emigracji z Polską, jej kulturą i tradycją.

Byłam współtwórcą ustawy o Polskiej Akademii Nauk. Podczas prac nad tym dokumentem zaproponowałam wzmocnienie nadzoru nad gospodarowaniem mieniem Akademii poprzez dookreślenie celowości dysponowania tym mieniem tylko do realizacji zadań statutowych. Moim pomysłem było dokonywanie systemowej oceny pracy naukowej w instytutach przeprowadzanej zarówno



wewnątrz Akademii, jak i przez organ z zewnątrz, stworzenie ram prawnych do realizacji wspólnych zadań naukowo-badawczych i dydaktycznych przez instytuty Akademii, uczelnie wyższe i instytuty badawcze, a także wspieranie rozwoju młodych naukowców. Zaproponowałam zmiany w zakresie organizacji i trybu działania organów Akademii (m.in. zmieniono i ograniczono skład Prezydium Akademii). Dażyłam też do zmian zasad gospodarowania majątkiem Akademii.

Ale starałam się również zadbać o drobne sprawy zwykłych ludzi. W natłoku codziennych obowiązków, spotkań, posiedzeń i wystąpień, wydają się one niektórym zbyt błahe, mało istotne. To nieprawda. Trzeba pamiętać, że dla każdego sprawy jego rodziny, domu, sąsiedztwa, ulicy czy osiedla są często ważniejsze od tych „wielkich” spraw ogólnokrajowych czy międzynarodowych. Dlatego też robię wszystko, aby dostrzec problemy każdego mieszkańca, który przyjdzie na mój dyżur, poprosi o pomoc, o radę. Podczas pełnienia mandatu posła starałam się jak najwięcej czasu poświęcać mieszkańcom Warszawy. Uważam, że moim zadaniem nie jest jedynie reprezentowanie ich w Sejmie i branie aktywnego udziału w pracach Parlamentu, ale także pomoc w różnych sprawach dotyczących zwykłych ludzi. Dobrym zwyczajem stały się moje wielogodzinne, poniedziałkowe dyżury w biurze poselskim. W tej kadencji spotkałam się z 279 osobami. Choć sprawy, z jakimi mieszkańcy Warszawy zwracają się do mnie, są bardzo różne, starałam się do każdej z nich podejść indywidualnie i z należytą starannością. Bez względu na to, czy chodziło o sprawę prywatną, osobistą, związaną z mieszkaniem, pracą, czy też o szerszym zakresie – dotyczącą większej grupy, organizacji pozarządowej, wspólnoty, spółdzielni czy osiedla – starałam się pomóc. Wiele spraw znalazło swoje odzwierciedlenie w zgłaszanych przeze mnie interpelacjach oraz podejmowanych

interwencjach. Tylko w poprzedniej kadencji było ich w sumie 68.

Poza pracą nad konkretnymi rozwiązaniami prawnymi oraz pracą w Komisjach, staram się wspierać z poziomu Parlamentu rozwój Warszawy. Między innymi dzięki moim staraniom udało się doprowadzić I linię metra na Bielany. Dzięki niej tysiące mieszkańców północnej Warszawy może bez trudu i znacznie szybciej dojechać do centrum miasta, do szkoły, pracy, sklepu. Niewątpliwym sukcesem jest także rozpoczęcie budowy Mostu Północnego, dzięki któremu mieszkańcy prawobrzeżnej Warszawy, zwłaszcza Białoleki, będą mogli bez trudu i stania w korkach dotrzeć na Bielany.

Uczestniczyła Pani aktywnie w pracach nad ustawą o Karcie Polaka. Jak ocenia Pani realizację tej ustawy z perspektywy czterech lat od jej uchwalenia? W jakim stopniu realizuje ona intencje ustawodawców?

Pomysł powołania do życia Karty Polaka był znakomity. Od dziesięcioleci wszyscy czuliśmy potrzebę reintegracji z Polską osób mieszkających na Wschodzie. To przedsięwzięcie było pewną historyczną koniecznością, a jednocześnie naszym moralnym zobowiązaniem wobec kolejnych pokoleń naszych Rodaków, którzy mieszkają na terenach byłego ZSRR. Podczas prac nad ustawą o Karcie Polaka skupiłam się na przeformowaniu kilku istotnych punktów. Na przykład było dla mnie bardzo ważne, aby umożliwić osobom z niej korzystającym pracę oraz prowadzenie działalności gospodarczej na terenie Polski. Moja poprawka w tej sprawie została przyjęta, dzięki czemu wielu Polaków mieszkających na stałe za granicą otrzymało możliwość pracy w Polsce. Jest to szczególnie ważne w czasach, gdy w wielu zawodach brakuje w Polsce rąk do pracy.

Z perspektywy czasu widać pewne wady rozwiązań, jakie wprowadziła Karta Polaka. Trzeba na przykład

zauważyć, że nie ma w niej mowy o tzw. bezpieczeństwa, którzy to dosyć pokaźnej liczbie zamieszkują teren Łotwy, a także Polacy korzystający z Karty muszą płacić za wizy do krajów ze strefy Schengen. Wady te nie są jednak w stanie przysłonić pozytywnych aspektów wprowadzenia tego rozwiązania. Kartę Polaka z perspektywy 4 lat oceniam zatem pozytywnie.

Ustawa o Karcie Polaka powstała z myślą o Polakach zamieszkałych na Wschodzie. Czy nie uważa Pani, że Polacy mieszkający na Zachodzie też powinni mieć możliwość uzyskania podobnego do Karty Polaka dokumentu, potwierdzającego przynależność do Narodu Polskiego?

Polacy mieszkający na Zachodzie są dla nas równie ważni, jak ci, którzy mieszkają na Wschodzie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zależy mi na utrzymaniu łączności z tymi obydwojema grupami i moje dotychczasowe działania na rzecz Polonii były skierowane zarówno do osób mieszkających na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Nie można jednak zapominać o tym, że historia Polaków mieszkających w dawnym ZSRR oraz Polaków mieszkających w krajach Europy Zachodniej czy Ameryki jest inna. Ci pierwsi w znakomitej większości zostali wysiedleni siłą z terytorium Polski, nie mieli możliwości powrotu. Żyli, pracowali, zakładali rodziny i wychowywali kolejne pokolenia w atmosferze strachu, walki ze wszystkim co polskie. Poza tym warunki materialne i bytowe, w których funkcjonowali przez dziesięciolecia, często urągaly najbardziej podstawowym prawom każdego człowieka do godnego życia. Nie umniejszając zatem w żaden sposób krzywd, niepokojów i dramatów z jakimi spotykali się nasi Rodacy w innych częściach świata, sprawiedliwość wymaga podkreślenia, że wobec Polaków ze Wschodu należało podjąć priorytetowe i ekstraordynaryjne działania.

Wydaje mi się jednak, że pewna forma udokumentowania przynależności do Narodu Polskiego osób mieszkających na Zachodzie odegrałaby pozytywną rolę w utrzymaniu z nimi łączności. Bardzo mi zależy, aby pielęgnować kontakty z Polonią mieszkającą w innych krajach Unii Europejskiej, bez względu na okres oraz przyczyny jej powstania. Staram się pracować w równym stopniu dla Polaków, którzy wyjechali na Zachód w okresie II wojny światowej, czasach PRL, a także dla tych, którzy stanowią najmłodszą i często jedynie tymczasową emigrację związaną z otwarciem europejskich rynków pracy. Już w najbliższym czasie planuję liczne działania, skierowane właśnie do tej ostatniej grupy.

Jakie były priorytety działania w poprzedniej kadencji Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą?

Podstawowym założeniem działania Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą jest utrzymywanie kontaktu z Polakami mieszkającymi poza Polską, dbanie o ich prawa związane z posługiwaniem się językiem polskim, dostępem do polskiej kultury, a także kultywowaniem polskiej tradycji i zwyczajów. Uważam, że język polski jest podstawowym i głównym spoiwem, które łączy Polonię z Ojczyzną. Dlatego bardzo ważne jest dla mnie umożliwienie jak najszerszej grupie naszych Rodaków mieszkających za granicą nauk i podtrzymywanie znajomości języka polskiego. Priorytetem dla nas jest także próba naprawienia krzywd, jakie spotkały naszych Rodaków przed 1989 rokiem. Pracujemy między innymi nad uporządkowaniem kwestii repatriacji Polaków wysiedlonych na Wschód oraz naniesieniem poprawek na Kartę Polaka. Cieszę się, że po dwudziestu latach III RP udaje się wreszcie pomóc naszym Rodakom, których rodziny zostały siłą wysiedlone do ZSRR. Szkoda, że trzeba było czekać na to aż dwie dekady. W obecnej kadencji Sejmu zabiegałam też o poprawienie warunków przywracania obywatelstwa naszym Rodakom, którzy utracili je na skutek decyzji władz PRL. Sprawa ta dotyczyła między innymi żołnierzy Armii Krajowej, którzy po wojnie pozostali na Zachodzie.

Komisja na bieżąco podejmuje sprawy ważne dla Polaków mieszkających za granicą. W kończącej się kadencji zajmowaliśmy się między innymi kwestią relacji pomiędzy władzami na Białorusi oraz na Litwie a mieszkającymi tam Polakami, a także kontrowersyjną, a niekiedy skandaliczną działalnością środowiska związanego z panem Kobyłańskim w Ameryce Południowej. Interesujemy się sytuacją i problemami mniejszości polskiej także w dużych krajach Unii Europejskiej. Istotne dla Komisji jest także monitorowanie migracji Polaków w związku z poszukiwaniem pracy w innych krajach UE.

Komisja stara się też być ciałem oceniającym i doradczającym różnym instytucjom, które pracują >

▷ dla Polonii. Przykładem może być tu TV Polonia, której misja, działalność i skuteczność pracy jest właśnie przez naszą Komisję oceniana. Przyglądamy się pracom Instytutów Polskich i staramy się kreować podejmowane przez nie inicjatywy.

Zasiadała Pani w Radzie Programowej TV Polonia. Czy Pani zdaniem TV Polonia wypełnia w sposób należyty swoją misję?

TV Polonia od wielu lat pełni bardzo ważną funkcję i dobrze wpisuje się w szeroką pojętą strategię integracji i utrzymywania kontaktu pomiędzy Polakami mieszkającymi za granicą a Polską. Oczywiście nie jest instytucją doskonałą. Ramówka TV Polonia wciąż nie posiada wystarczającej liczby programów skierowanych do polskich nauczycieli mieszkających za granicą. Musimy pamiętać, że są oni bardzo ważnym ogniwem w procesie zachowania przez najmłodsze pokolenie polskiej emigracji polskiej tożsamości i dlatego powinni być odpowiednio wspierani również przez polską telewizję. Polscy nauczyciele, mieszkający i pracujący za granicą, powinni mieć możliwość codziennej aktualizacji swojej wiedzy o bieżących wydarzeniach naukowych, społecznych, kulturalnych i politycznych w Polsce. Będą wówczas gotowi przekazywać tę wiedzę młodym Polakom, a za ich pośrednictwem ogółowi danej społeczności.

W mijającej kadencji zależało mi też na promowaniu na antenie TV Polonia pozytywnej działalności polskich misjonarzy. Pamiętajmy, że z Polski wywodzi się ogromna liczna księży i zakonników, którzy na co dzień pracują w najodleglejszych zakątkach świata. Ich heroiczna, pełna oddania i poświęcenia praca jest doceniana w wielu krajach. Dlatego też mam wrażenie, że wciąż zbyt mało mówi się o niej w Polsce.

Prawdziwym skarbem Polski jest nasza kultura, w tym kuchnia. Bardzo bym chciała, aby w czasach, gdy ogromną popularnością cieszą się zachodnie programy kulinarne, również polska kuchnia była doceniona i promowana. Ogromną rolę mogłaby tu odegrać TV Polonia.

Jest Pani założycielką fundacji „Świat na TAK”. Czym zajmuje się ta fundacja?

Fundacja „Świat na TAK” została założona z myślą o polskiej młodzieży, która w okresie transformacji ustrojowej w Polsce szczególnie narażona była na wpływ negatywnych zjawisk społecznych, które tylko z pozoru wiązały się z ideą demokracji i wolności, ale tak naprawdę były ich zaprzeczeniem. Obserwowaliśmy zanik identyfikacji młodych ludzi z autorytetami. Wraz z przyjaciółmi zdawaliśmy sobie sprawę, że młodzi potrzebują naszej szczególnej troski, rady, a często także pomocy. Bardzo mądre było stwierdzenie, że „jeśli nie znajdziemy dla nich czasu dziś, jutro może być za późno”. I tak powstała Fundacja „Świat na TAK”. Byliśmy przekonani, że tylko poprzez zorganizowane działania jesteśmy w stanie naprawdę pomagać, a nadanie naszej inicjatywy ram formalno-prawnych umożliwiło pozyskiwanie środków finansowych na naszą działalność statutową.

Największym projektem organizowanym przez Fundację jest Samorządowy Konkurs Nastolatków „Ośmiu Wspaniałych”, który ma na celu promowanie prospołecznych postaw i zachowania młodzieży. Warto chociażby wspomnieć, że Konkurs organizowany jest w 85 miastach na terenie całej Polski, a jego nawiązanie do funkcjonowania samorządu terytorialnego umacnia lokalne struktury i wspiera lokalne społeczności.

Pierwsi wychowankowie Fundacji są już dziś całkowicie dorośli, odnoszą liczne sukcesy w życiu prywatnym, społecznym i zawodowym. Udało nam się stworzyć ogromną społeczność ludzi w różnym wieku, którzy są związani z Fundacją, i dzięki którym to wspaniałe dzieło nadal się rozwija.

Jest Pani inicjatorką konkursów dla młodzieży polonijnej. W zeszłym roku pod hasłem „Solidarność w mojej rodzinie” konkurs poświęcony był 30. rocznicy powstania i rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” i wzbudził ogromne zainteresowanie wśród młodzieży

polonijnej. Tegoroczna edycja konkursu nosiła hasło „Być Polakiem”. Jakie były założenia i cele tegorocznej edycji konkursu?

Tegoroczna edycja konkursu miała na celu odnalezienie wpływu, jaki polska kultura i tradycja ma na najmłodszych Polaków mieszkających za granicą. Zależało nam bardzo, aby mogli się oni podzielić swoimi osobistymi doświadczeniami i przemyśleniami. Dzięki temu mogliśmy nauczyć się dużo na temat tego, co uczestnicy konkursu myślą o Polsce, co jest dla nich ważne, i na co zwracają uwagę. Uważam, że przyglądanie się młodym członkom polonijnej społeczności jest niezwykle istotne. Polonia za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat będzie wyglądała właśnie tak, jak widzą ją dzisiejsze nastolatki.

Uczestnicy konkursu zostali podzieleni na grupy wiekowe. Do każdej grupy zostały dostosowane tematy prac konkursowych. Przygotowując ten projekt staraliśmy się jak najlepiej odpowiedzieć na zapotrzebowanie młodych Polaków mieszkających za granicą, a także tak sformułować tematy, aby umożliwić wyrażenie prawdziwych, głębokich i naturalnych przemyśleń i odczuć uczestników. Mam wrażenie, że nam się to udało. Wspaniałe prace powodowały u nas na przemian ogromną radość, wzruszenie, podziw i uznanie.

Rangę konkursowi nadają osoby, które objęły nad nim honorowy patronat. W tym roku są to: przewodniczący PE Jerzy Buzek, były prezydent RP Lech Wałęsa, córka prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego Jadwiga oraz prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Longin Komolowski. Symboliczną nagrodą w konkursie „Być Polakiem” jest wyjazd do Polski. Ale prawdziwym skarbem jest praca setek młodych ludzi z całego świata, którzy wspominają swoją wizytę w Polsce, przygotowują prace z nią związane, są wspaniałymi ambasadorami naszego kraju w swoich środowiskach, społecznościach lokalnych, miastach i krajach.

Dziękuję za rozmowę!

(Wywiad został opublikowany w wydawanym w Danii kwartalniku „Informator Polski”)

Stanisław Ostrowski

Nigdy nie przypuszczałem, że przypadną mi w udziale: Obrona Lwowa (...), troska o jego dobro w Sejmie Wolnej Rzeczypospolitej i wreszcie – zaszczytne stanowisko włodarza tego, jakże drogiego sercu każdego Polaka – Zawsze Wiernego Miasta. (...) zły los nie oszczędził mi największych przykrości: ciężkich chwil straty niedawno odzyskanej Niepodległości, więzień sowieckich z bolesnym poczuciem bezsilności i długich lat tułaczki na Obczyźnie...

z Testamentu Stanisława Ostrowskiego

ANDRZEJ SPRYCHA



Stanisław Ostrowski urodził się 29 października 1892 r. we Lwowie. Jego ojciec Michał był powstańcem styczniowym i zesłańcem syberyjskim. Przyszły prezydent ukończył V Gimnazjum we Lwowie, po czym podjął studia na wydziale lekarskim uniwersytetu lwowskiego i wiedeńskiego. Dyplom lekarski zdobył w 1919 r. Ostrowski, jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, był członkiem Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. W „Strzelcu” ukończył szkołę podoficerską, a później także niższą szkołę oficerską. Od 1912 r. należał do konspiracyjnej Organizacji Młodzieży Narodowej.

W czasie I wojny światowej służył w I Brygadzie Legionów. Następnie pracował w Departamencie Wojskowym Naczelnego Komitetu Narodowego. Służbę w Legionach przerwała mu choroba i pobyt w szpitalu. Po zakończeniu leczenia przeniesiony został do Kancelarii Lekarskiej w stacji Zbornej Legionów w Wiedniu, Przemysłu i Lwowie, gdzie pracował jako lekarz. W listopadzie 1918 r. brał udział w walkach o Lwów. Był wówczas lekarzem w szpitalu na Politechnice.

Podczas kolejnej wojny, tym razem z bolszewikami w 1920 r. był naczelnym lekarzem ochotniczego 240 pułku piechoty Armii Ochotniczej. Za udział w walkach odznaczony został:

Orderem Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Obrony Lwowa, Odznaką I Zalogi Szkoły Sienkiewicza i Orłętami, a w okresie międzywojennym za służbę w Legionach i przynależność do Związku Strzeleckiego otrzymał także Krzyż Niepodległości. W 1922 r. Stanisław Ostrowski przeszedł do rezerwy w stopniu kapitana.

W okresie międzywojennym był asystentem na wydziale medycznym uniwersytetu warszawskiego i lwowskiego, a potem docentem dermatologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1934 r. został wiceprezydentem, a dwa lata później prezydentem swego rodzinnego miasta, trzeciego co do wielkości miasta Rzeczypospolitej. Od 1930 r. był trzy razy wybierany posłem do Sejmu z listy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. W Sejmie zajmował się sprawami zdrowotnymi, bronił też praw mniejszości narodowych.

Ostrowski odegrał poważną rolę w obronie Lwowa we wrześniu 1939 roku, organizując zaopatrzenie

ludności i walczących oddziałów w żywność. Po agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 i kapitulacji Lwowa przed Armią Czerwoną, został aresztowany i więziony przez NKWD. Najpierw przez 4 miesiące we Lwowie, a następnie w Moskwie (Butyrki – 14 miesięcy i Łubianka – 4 miesiące). Skazany na 8 lat łagrow. Przebywał w Krasnojarsku na Syberii i Burjatii. Uwolniony po tzw. amnestii w 1941 r., ewakuował się ze Związku Radzieckiego wraz z armią gen. Władysława Andersa. Z Drugim Korpusem Polskim przeszedł szlak bojowy aż do Włoch, gdzie pracował w szpitalach wojskowych.

Od 1946 r. przebywał w Wielkiej Brytanii. Pracował jako lekarz do przejścia na emeryturę w 1962 r. M.in. do 1955 r. był starszym ordynatorem oddziału skórno szpitala w Pelney. Prof. Ostrowski był członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, Związku Lekarzy Polskich, Instytutu Józefa Piłsudskiego, Ligi Niepodległości Polski, Koła Lwowian oraz innych organizacji. 9 kwietnia 1972 r. Stanisław Ostrowski został prezydentem RP na Uchodźstwie. W lipcu tego samego roku Rada Trzech przekazała swe uprawnienia prezydentowi i zakończyła działalność. Zakończyły się też prace Rady Stanu, organu powołanego przez prezydenta Zaleskiego w końcowym okresie jego działalności. Nastąpiło połączenie, rozdzielonego dotąd między dwa ośrodki władzy, Skarbu Narodowego. Uregulowano również problem okresu sprawowania urzędu oraz podjęto decyzje dotyczące następcy. Po upływie siedmioletniej kadencji, 24 marca 1979 r. złożył urząd.

Stanisław Ostrowski zmarł 22 listopada 1982 r. w Londynie. Pochowany został 4 grudnia w Newark, na cmentarzu lotników polskich, obok grobów poprzednich prezydentów: Władysława Raczkiewicza i Augusta Zaleskiego, a także grobu premiera gen. Władysława Sikorskiego.

KG

Z Ostródą Nadworna wejdzie do Unii

SABINA RÓŻYCKA

Umowę partnerską z Ostródą w Polsce podpisał jeszcze jeden rejon Przykarpacia – nadwórniański.

Podpisanie umowy o partnerstwie odbyło się w czasie specjalnie zwołanej w tym celu sesji rady powiatu. Na podpisaniu byli obecni senator Stanisław Horczyca, poseł na Sejm RP, generalny konsul Ukrainy w Gdańsku Myron Jankiw. Z Nadwórnej przybyła delegacja 12 osób z przewodniczącym rady rejonu Wasyłem Popowyczem i przewodniczącym administracji rejonu Wołodymyrem Kaliczkiem na czele. Umowę o partnerstwie na najbliższe pięć lat z polskiej strony podpisał starosta powiatu Włodzimierz Brodiuk i przewodnicząca rady powiatu Wanda Łaszkowska, a z ukraińskiej Wasyl Popowicz i Wołodymyr Kaliczko.

Przed kilkoma miesiącami, o czym pisał Kurier, odbyło się pierw-

sze spotkanie przedstawicieli Ostródy w Nadwórnej. I teraz już jest umowa. Świadczy to o tym, że obie strony odpowiedzialnie podchodzą do współpracy. „Podpisaliśmy umowę, dając tym przykład wszystkim samorządowym strukturalom, całej Polsce, – zaznaczył starosta Włodzimierz Brodiuk. – Teraz trzeba wypełnić ją konkretną treścią. Postaramy się w pierwszej kolejności, aby nasze dzieci jak najczęściej odwiedzały Ukrainę, mieszkały tam po rodzinach, a dzieci z Ukrainy – przyjeżdżały do nas. Chcemy zmienić wizerunek Ukrainki w Polsce, a Polaka na Ukrainie. Potrzebna jest nam współpraca w biznesie, wymiana doświadczeń. Na Zachodzie w tej dziedzinie zrobiono już prawie wszystko, a na Ukrainie i u nas dopiero buduje się zdrowe zasady funkcjonowania ekonomiki. Mieszkańcy Nadwórnej dla nas Polaków, są partnerami. Mamy podobny język i duszę. Chcemy pomóc Nadwórnej i Ukrainie w drodze do Unii Europejskiej, bo geograficznie są już

w Europie, nawet w jej centrum, który jest w okolicach Rachowa. Chcemy im otworzyć drzwi do Europy i być tam razem”.

Według słów Wasyla Popowycza, umowa obejmuje wszystkie możliwe dziedziny – medycynę, oświatę, sport, turystykę, włącza młodzież, uczniów, przedsiębiorców małego i dużego biznesu, wymianę zespołów artystycznych, wystawy. „Trzeba nam osiągnąć nowy poziom, – mówi pan Popowycz. – Myślę, że skorzysta na tym nie tylko Ukraina, ale i Polska. Bardzo nam miło, że Polska jest naszym przedstawicielem w Europie, lobbuje interesy Ukrainy i pomaga jej w procesie europeizacji. O ile politycy „na górze” jeszcze zastanawiają się, jak to zrobić, my już rozpoczęliśmy pierwsze kroki na drodze do Unii, do integracji, do partnerskiej współpracy”.

Nadwórniańska delegacja odwiedziła powiatowy szpital, zapoznała się z infrastrukturą turystyczną powiatu i przeprowadziła pierwsze rozmowy z lokalnym biznesem.

Ołeksij Kajda: „Przede wszystkim jestem Ukraińcem”

z przewodniczącym Rady Wojewódzkiej Tarnopola rozmawiał KONSTANTY CZAWAGA.

Minęło ponad dwa lata, od kiedy kieruje Pan tarnopolską Radą Wojewódzką, i można już niektóre sprawy podsumować, przeanalizować i pomyśleć o dniu jutrzejszym. Które z obietnic przedwyborczych udało się Panu wykonać, a które nie. Wracając do wyborów lokalnych, które w regionie tarnopolskim wygrała partia „Swoboda”, proszę wyjaśnić, dlaczego polityczna siła, którą Pan reprezentuje nie zaproponowała na kierownicze stanowisko w województwie kogoś z działaczy lokalnych, a skierowała na nie pana – ze Lwowa. Do tego, nie pochodzi Pan z Galicji, a urodził się na Ukrainie Wschodniej.

Przede wszystkim czuję się Ukraińcem. Część życia przeżyłem w rodzinnym Berdiańsku. Część – we Lwowie. Czuję się wszędzie w domu, tam gdzie jest Ukraina. A Ukraina jest, proszę mi uwierzyć, i w Doniecku, i w Ługańsku. Dlatego myślę, że nie jest najważniejsze, gdzie kto się urodził. Najważniejsze, po pierwsze – to cel, jaki stawia przed sobą nowo mianowany urzędnik. Po drugie – czy człowiek jest patriotą tego regionu, który go wybrał.

Co do osiągnięć, to powiem otwarcie: dwa lata wstecz moje obrażenia, przede wszystkim, o możliwościach przewodniczącego Rady były nieco inne. Uważałem, że można mieć większy wpływ na procesy zachodzące w województwie. Tymczasem funkcjonujące prawo bardzo ogranicza pełnomocnictwa lokalnego samorządu. Przy każdej władzy wiele różnów toczy się wokół umocnienia roli miejscowych społeczności, ale nic w tym kierunku się nie robi. Mówi się, na przykład, o formowaniu budżetu „od dołu”. Mówi się dużo, ale nie wprowadza się tych zmian. W naszym województwie tego roku na gwarantowane wydatki, tzn. na płace, energetykę nie starcza około 100 tys. hrywien, których nie dodano nam z budżetu centralnego. A między innymi, właśnie rozmiar budżetu ma podstawowy wpływ na działalność lokalnego samorządu. Dziś lokalne społeczności absolutnie i całkowicie

zależą od pieniędzy, które przeznacza dla nich Kijów. Na czym polega wtedy samorządność?

Ale i w tych warunkach staramy się pracować. „Swoboda” nikomu niczego nie obiecuje przez cały czas, odkąd nasza polityczna siła powstała (w październiku upłynęło 20 lat). Mówimy o tym, co zamierzamy robić. Już parokrotnie mówiłem o konieczności zachowania lotniska w Tarnopolu. Jak już jesteśmy przy lotnisku, to przede wszystkim, zahamowaliśmy proces jego zniszczenia i nie pozwoliliśmy doprowadzić do procesu bankructwa. Mamy już umowę z władzami Charkowa (jak wiadomo to miasto buduje nowy port lotniczy na Euro 2012), że wyposażenie starego lotniska (przepracowało zaledwie kilka lat) zostanie przekazane nam. Bezpłatnie.

Jeszcze jednym ważnym osiągnięciem za ostatnie dwa lata uważam poprawienie wizerunku województwa. W pierwszej kolejności – to poprawa pozycji województwa w ogólnonarodowym rankingu. Wcześniej postrzegano nas jako region „depresyjny”. Teraz zaczęto się z nami liczyć, radzą się, biorą pod uwagę nasze propozycje, co jest dla województwa ważne. Po raz pierwszy od wielu lat Rada uzyskała grant na pół miliona na rozwój turystyki w kanionie Dniestru.

Jak Pan został przyjęty przez mieszkańców Tarnopola? Czy przywiózł Pan ze sobą swoich kolegów partyjnych ze Lwowa do pomocy w kierowaniu Radą tarnopolską?

Myślę, że to mieszkańcy Tarnopola powinni odpowiedzieć, czy stałem się dla nich „swoim”. Powiem szczerze – wszystko, co jest związane z Tarnopolem, przyjmuję przez pryzmat własnego serca. Ziemia Tarnopolska jest terenem szczególnym. Jest to przeplatanka terenów, które należą do Wołynia, Galicji i Podola. Otóż, tradycje i światopogląd ludzi z różnych zakątków kraju różnią się. Według mnie, mieszkańcy województwa są szczerzy, prości, otwarci. Często przypominają mi moich ziomków ze Wschodu, szczególnie tym, że są za dobrzy, a czasem trzeba umieć pokazać zęby. Powiem krótko – jest mi tu komfortowo.

Kolegów ze Lwowa nie przywoziłem. Wyniki pracy zależą, przede wszystkim, od umiejętności zawodowych człowieka i jego przekonań ideologicznych.



Od czego zaczął Pan kierowanie województwem?

Od razu po wyborach z przedstawicielami frakcji i zadeklarowałem swoje zasady. Zawsze oddzielałem politykę od gospodarki, nie mieszałem tych pojęć, jak to przyjęto na Ukrainie. Jestem przewodniczącym Rady Wojewódzkiej, która reprezentuje cały region i broni interesów ludzi całego regionu, niezależnie od ich partyjnej przynależności czy poglądów politycznych.

Jeszcze nie tak dawno można było usłyszeć prognozy o likwidacji województwa tarnopolskiego w związku z przyszłą reformą administracyjną Ukrainy. Jak Pan myśli, czy są ku temu podstawy?

Czy ktoś widział koncepcję reformy terytorialno-administracyjnej? Na dziś istnieje projekt terytorialno-administracyjnej reformy, który zaprezentował Roman Bezsmertny w 2005 roku. Decyzją rządu zatwierdzono koncepcję reformy samorządu lokalnego. A to dwie różne rzeczy. Jeżeli mówić o reformie administracyjnej, to jej wprowadzenie ma się odbyć w kilku etapach. Etap pierwszy – to napisanie i uchwalenie koncepcji, drugi – zmiany w ustawodawstwie

pod tą koncepcją i etap trzeci – właściwe wprowadzenie tej reformy. Ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego – nie ma.

Znaczna część mieszkańców województwa wyjechała na „zarobki” do Portugalii, Hiszpanii, Włoch i innych państw, co doprowadziło do wyludnienia miasteczek i wsi. Czarnozemi zarastają chwastami i krzewami. Co zrobić, aby ci ludzie wrócili na Ukrainę?

Emigracja była, jest i chyba będzie. Ludzie szukają lepszego życia: z wioską jadą do miasta, z jednego państwa – do drugiego. Nie myślę, że nowi ukraińscy emigranci wrócą. Przynajmniej ich większa część. Pytanie należy postawić tak: co zrobić, aby małe miasteczka i wsie ożyły na nowo? Mam na myśli, głównie problemy związane z własnością ziemi i sprawy agrarne, stworzenie nowych miejsc pracy, otwarcie obiektów sportowych, bibliotek, które już dawno przekształcono w bary i restauracje...

Niedawno została podpisana umowa pomiędzy kierownictwem trzech województw – Tarnopolskiego, Iwano-Frankowskiego i Czerniowieckiego o intensyfikacji

wykorzystania rekreacyjnych warunków tzw. Kanionu Dniestru. Proszę więcej opowiedzieć o tej inicjatywie. Te tereny są atrakcyjne dla naszych czytelników, także tych mieszkających w Polsce.

Podpisaliśmy trójstronną umowę pomiędzy Radami Wojewódzkimi: tarnopolską, iwano-frankowską i czerniowiecką w sprawie współpracy w sprawie rozwiązania problemów związanych z kanionem Dniestru, rozwoju turystycznego i rekreacyjnego potencjału. Zgodnie z podpisaną umową, strony łączą swe wysiłki w celu zachowania różnorodności biologicznej, ekosystemu, uregulowania kwestii efektywnego funkcjonowania urzędów i terenów rezerwatów przyrodniczych. Jeszcze jednym ważnym celem tej umowy jest zabezpieczenie racjonalnego i bezpiecznego wykorzystania warunków przyrodniczych jako czynnika stabilnego rozwoju regionu. Rady wojewódzkie są zobowiązane opracowywać wspólne programy rozwoju turystyki w kanionie Dniestru, koordynować wysiłki do wspólnego rozwiązywania problemów zanieczyszczenia Dniestru, ochrony i odtworzenia zarybienia rzeki, a także budowy lub remontu dróg dojazdowych i miejsc wypoczynku.

W tym celu stworzono radę koordynacyjną, w skład której weszli zastępcy przewodniczących trzech rad wojewódzkich, przewodniczący rad rejonowych terenów wzdłuż Dniestru, przedstawiciele komisji ekologicznych i wykorzystania przyrody, deputowani i aktywiści społeczni.

Nie zważając na to, że województwo tarnopolskie nie graniczy bezpośrednio z Polską, istnieją różne formy kontaktów pomiędzy Polakami i Ukraińcami...

W Polsce są liczne ośrodki, które sympatyzują z Ukrainą. W ramach umowy pomiędzy USRS i PRL po II wojnie światowej nastąpiło przesiedlenie mieszkańców. Z Ukrainy do Polski wyjechało około pół miliona Polaków. Była to dla nich trauma, ból: tu pozostali krewni, przyjaciele. Jednak z czasem ból zmieniło uczucie bliskości. Nie tylko jako narody o korzeniach słowiańskich, ale jako narody, które wiele łączy. Myślę, że wielu polityków i znanych działaczy kultury ma silne emocjonalne powiązania z Ukrainą. Myślę, że ten sentyment będzie miał też następstwa polityczne.

Dziękuję za rozmowę.

Opowiadanie

EUGENIUSZ TUZOW-LUBAŃSKI

Wspominając rosyjskie przysłowie – „życie, to nie spacer przez pole” (жизнь прожить, не поле перейти) – widzę pokryte śniegiem białe pole i idącego po nim z trudem człowieka. Pole – to czysty arkusz papieru, który zapisujemy swoim życiem. Teraz żyję dlatego, że piszę. Tylko zamiast białego pola i arkusza papieru – biały monitor komputera. Wokół mnie pole myśli lub ich brak. Wędruję przez to pole magnetycznego przyciągania i odpychania.

Przed oczyma mam białe pole przyszłości. Wola życia chwytą się wszystkiego, co jest pod ręką. Aby tylko przetrwać, za wszelką cenę. W młodości przyciągał mnie biały kolor, odtrącał czerwony. Nie lubiłem nosić pionierskiego krawatu. Nie lubiłem rewolucjonistów, którzy zginęli do ostatniego w walce za ten kolor. Biała gwardia podobała mi się bardziej, niż wszyscy Czapaiewowie i Budionni, Woroszyłowie i Troccy razem wzięci.

W przeszłości pisałem: *Po białym polu, „na wolę”, do wolności* – oczyma wyobraźni widziałem białego generała na jasnym koniu. W strefie

BIAŁE



geograficznej, gdzie egzystuje, już minęła moda na czerwone. Zamiast białego pola przeszłości pojawiło się czerwono-czarne pole teraz-

niejszości. Dlatego większą część czasu spędzam przy biurku, żeby nie chodzić po tym, dla mnie obcym polu. Rozumiem, że moje marzenia o wolności okazały się blefem. Mimo wszystko, nie boję się spoglądać rzeczywistości prosto w oczy. I chociaż widzę na swej drodze przeszkody, wyciągam z szuflady postrzępiony, pożółkły notes i czytam wiersz zapisany 4 stycznia 1974 roku:

Poznaj kamień, bo każdy kamień nosi swój ślad ciężkiego milczenia, każdy kamień starał się mówić, każdy kamień był kiedyś bronią, każdy kamień chciał stać się lawiną, każdy kamień pragnął, żeby

wyrosło na nim drzewo, każdy kamień był ostoją człowieka, każdy kamień był przeszkodą dla huraganu, każdy kamień przecinał w locie powietrze. Nim zastanowił się o sensie życia, na zawsze w milczeniu skamieniał.

Gdy idę w niedzielę obok pomnika św. Włodzimierza – chrzciciela Rusi do polskiego kościoła św. Aleksandra wiem, że przeszłość nie wróci i kamień nigdy nie przemówi na skifskim polu. Dlatego bardzo mi smutno spoglądać na pole, które całkiem niedawno było białe.

POLAK NA SRI LANCE

Z o. MARIUSZEM MICHALIKIEM – misjonarzem ze Sri Lanki, podczas jego pobytu we Lwowie, rozmawiała MARIA BASZA.

Od dwóch lat Ojciec pracuje w Sri Lance, ale najpierw była Ukraina...

Zaraz po rozpadzie Związku Radzieckiego, kiedy powstała niezależna Ukraina, przyjechałem tutaj spotkać się z moją rodziną. Później rozpocząłem studia teologiczne w seminarium duchownym diecezji grekokatolickiej w Stanisławowie. Otrzymałem święcenia kapłańskie, które odbyły się w Polsce, w Opolu, dlatego że posiadam prawo brytyjalizmu, tzn. prowadzę duszpasterstwo i sprawuję sakramenty w dwu obrządkach: w łacińskim, który jest moim pierwszym obrządkiem – jestem katolikiem rzymskim i w obrządku wschodnim, grekokatolickim.

Nie przeszkadza to ojcu? Mnie osobiście było by niełatwo uczestniczyć w nabożeństwach obrządku wschodniego.

Czy ja wiem... To kwestia przyzwyczajenia. Na początku Mszy św. trzeba pamiętać, w którą stronę się żegnać. A poza tym nie ma żadnego problemu.

Uroczyste śpiewy, długie nabożeństwa... Nie łatwo to wytrzymać.

Myślę, że tutaj na Ukrainie, także w obrządku łacińskim ludzie lubią długo się modlić przed Mszą i po Mszy św. Gdy jeździłem do Gródka, do księdza Wanagsa, tam Mszę świętą dość długo się celebrowało, długie modlitwy po Mszy, litanie i tak dalej...

Wywodzę się z rodziny mieszanej. Moja babcia była Ukrainką, grekokatoliczką, dziadek był Polakiem, katolikiem rzymskim. Mieszkali w Stanisławowie do 1945 roku. Wyjechali do Polski w ramach repatriacji. Babcia już nigdy nie jeździła na Ukrainę. Moi wujkowie – bracia mojej mamy – urodzili się w Stanisławowie, moja mama urodziła się już w Polsce w 1947 roku. Stosunki z rodziną jedną i drugą były przez cały czas – ktoś zawsze przyjeżdżał z Ukrainy do Polski, a ktoś z Polski wyjeżdżał w odwiedziny na Ukrainę. W mojej rodzinie byli też księża obrządku wschodniego. Co prawda, w czasie Związku Radzieckiego byli to księża prawosławni, ale później – po wyjściu Kościoła grekokatolickiego z podziemia zostali księżmi grekokatolickimi.

Jak to się stało, że ojciec wyjechał na misje do Azji, do Sri Lanki?

Po dwunastu latach mieszkania na Ukrainie i pracy w naszym klasztorze – za ten czas wybudowałem dwa domy zakonne oraz dwie małe kaplice z prawem odprawiania nabożeństw dla wiernych – najpierw wyjechałem do pracy z emigrantami we Włoszech. Biskup z diecezji w Padwie szukał księdza, który zna dwa obrządki – łaciński i wschodni, któryby mógł zaopiekować się zarobkowymi emigrantami z Ukrainy.

Przeważnie były to panie grekokatolickie albo prawosławne, trochę katoliczek rzymskich. Osoby te potrzebowały opieki duszpasterskiej, potrzebowały aby ktoś odprawił dla nich nabożeństwa w ich języku i w ich obrządku. Dlatego na pięć lat podpisałem kontrakt z tą diecezją. Na terenie Padwy oraz innych diecezji założyłem dziesięć ośrodków duszpasterskich, w których regularnie gromadzono się na modlitwę. W większych miejscowościach działały ośrodki duszpasterskie, które mieściły się przeważnie przy siedzibach biskupich. Nabożeństwa odbywały się każdego tygodnia, a w mniejszych miejscowościach – przynajmniej raz w miesiącu.

Posługę kapłańską pełniłem na terenie czterech diecezji: Padwy, Wenecji, Belluno i Chioggia. Nieraz się śmiałem, że jak rozpoczynam Mszę świętą nad morzem w Chioggia, to kończę w górach – w Dolomitach.

Wiele osób przyjechało do Włoch bez znajomości języka, często na zasadzie „udało się zdobyć wizę” i jechało się w ciemno, szukało się pracy. Często taka grupa szukała oparcia w kościele. Przez cały tydzień panie były zamknięte z chorymi, w ciągu dnia wychodziły, podczas sjeisty tylko na dwie godziny. Wolne przysługiwało im raz albo dwa razy w tygodniu, po pół dnia (w sobotę, nie-



O. Mariusz Michalik



dziele). Aby podtrzymać te osoby na duchu, żeby się nie załamały z powodu oddalenia od rodziny, starałem się jako im pomagać. Była to nie tylko pomoc duszpasterska, nieraz pomagałem w znalezieniu pracy, miejsca zamieszkania. Mieliśmy też wypadki, że ktoś uległ jakiemuś wypadkowi czy zginął. Trzeba było odszukać rodzinę, zawiadomić, zorganizować pieniądze na przewiezienie ciała na Ukrainę... Były różne sytuacje i przyjemne, i nieraz bardzo bolesne.

Oprócz działalności duszpasterskiej, ogarniał Ojciec wszechstronną opieką rodaków na emigracji.

Chodziłem po parkach, po sklepach, szukałem tych ludzi. W parkach organizowałem krótkie spotkania modlitewne, później umawiałem się z miejscowym proboszczem o udostępnienie kościoła w godzinach popołudniowych. Powoli formowaliśmy grupę, która była takim jądrem. Później osoby z tej grupy szukały innych

ludzi. Kiedy była już grupa, był już kościół, szukało się salki, by również po Mszy świętej można było się spotkać czy zrobić jakąś uroczystość, czy też w ogóle mieć gdzie zjeść posiłek. Chodziło o to, by stworzyć jakieś godne warunki, aby ludzie po prostu nie zdziczyli w tej trudnej sytuacji. Trzeba było tym osobom pomagać w zdobyciu dokumentów. Szukało się rodzin, które chciały wziąć i zalegalizować ich pobyt. Trzeba było również zająć się tymi, którzy 4–5 lat przebywali nielegalnie we Włoszech, niektórzy przekraczali granicę nielegalnie... W jednej miejscowości była pani, do której pogranicznicy strzelali... Trzeba było nieraz pracować za psychologa, żeby taką osobę jakoś doprowadzić do równowagi psychicznej.

Ojciec potrafi być też psychologiem?

Nasze zgromadzenie jest zgromadzeniem misyjnym. Charyzmatem zgromadzenia jest praca na terenach misyjnych, z tymi, którzy jeszcze

Chrystusa nie poznali, powinniśmy się też opiekować emigrantami.

W każdym seminarium jest kurs psychologii dla przyszłych księży. Inne jest doświadczenie chłopaka, który po maturze wstępuje do seminarium, a inne jest doświadczenie człowieka, który w sposób dojrzały idzie do seminarium. Ja rozpocząłem studia teologiczne, mając 25 lat, mając za sobą pracę w szkole, w różnych organizacjach.

Jaki był zatem pierwszy zawód ojca? Nauczyciel?

Nie, nie... Jeśli chodzi o zawody, to mam dyplom kucharski, jestem kucharzem dyplomowanym, mam dyplom pielęgniarski... Oprócz tego pracowałem w szkole na zajęciach pozalekcyjnych, również w skautingu, więc troszkę było w moim życiu tego przygotowania do pracy z ludźmi.

Co było później? Po tym pięcioletnim pobycie we Włoszech?

W każdej diecezji we Włoszech jest wydział do spraw emigrantów. Ma on za zadanie zapewnić opiekę dla katolików różnych obrządków i różnych narodowości. Było nas dwunastu księży różnych narodowości. Mieliśmy księdza z Chin, był ksiądz z Filipin, byli księża z Rumunii, z Afryki francuskojęzycznej, angielskojęzycznej... Byli to zarówno księża rzymskokatolicki, jak grekokatolicki. Był tam też ksiądz ze Sri Lanki.

Jeden z księży, który współpracował z nami we Włoszech, po czterech latach wrócił do Sri Lanki, został rektorem Niższego Seminarium Duchownego św. Pawła w Marawila i zaprosił mnie do siebie. Przedtem wszystkich misjonarzy z różnych krajów zaprosiłem do Polski, odbyliśmy pielgrzymkę szlakiem papieskim – Kraków, Wieliczka, Wadowice, Kalwaria Zebrzydowska, Częstochowa. W rewanżu zostałem zaproszony do Sri Lanki. Jest to seminarium diecezjalne, diecezji Chilaw. Jest to druga pod względem wielkości diecezja w tym kraju. O ile, katolików na Sri Lance jest 7%, to na terenie diecezji Chilaw 34% mieszkańców stanowią katolicy, prawie 250 tys. to są rzymscy katolicy.

Kiedy przyjechałem do tego seminarium, zobaczyłem, że budynki seminaryjne są bardzo zniszczone, klerycy żyją w spartańskich warunkach. Ponieważ przyjaźniłem się z ks. rektorem seminarium, zaangażowałem się w pomoc. Po pięciu latach pobytu we Włoszech, po wygaśnięciu mego kontraktu, zgłosiłem się do pracy misyjnej. Dwa lata temu znalazłem się na Sri Lance. Uczyłem się języka angielskiego, jako że w formacji seminaryjnej obowiązuje znajomość tego języka. Ponieważ nie znałem języka, nie mogłem pracować w duszpasterstwie, zaproponowano mi abym zajął się remontem i modernizacją budynków seminaryjnych.

Podczas 26 letniej wojny domowej na Sri Lance, która zakończyła się dwa lata temu, nikt nie myślał o remontach, budowach ponieważ czasy były niespokojne i nikt nie wiedział czym zakończy się ta wojna.

1500 euro miesięcznie musi nam wystarczyć na utrzymanie seminarium – na wyżywienie 100 kleryków, opłaty dla wykładowców, utrzymanie samochodu dostawczego, opłaty komunalne. Tych pieniędzy nie jest dużo... Gdybyśmy tutaj, na Ukrainie powiedzieli, że ktoś śpi na deskach, prawie przez cały rok je tylko jarzyny, nie jada mięsa, na śniadanie, np., zjada garść ryżu i zapija to wodą, to uważałoby się, że taka osoba jest bardzo biedna. W Sri Lance jest to zwykła sytuacja. Klerycy mieszkają w dwóch, dużych salach, w każdej po 50 łóżek, nie ma żadnej prywatności, wszyscy są na widoku. Większość społeczeństwa utrzymuje się z uprawy roli i z rybołówstwa. Sri Lanka eksportuje ryż, kokos, herbatę. Obecnie zaczyna się rozwijać turystyka. Trzeba powiedzieć, że ludzie z głodu jednak nie umierają, ponieważ żniwa są dwa razy do roku i ludzie sobie nawzajem pomagają. Tam nie ma żebraków, ludzie wstydzą się żebractwa.

Co za dwa lata pracy w Sri Lance Ojcu udało się zrobić?

Zbudowaliśmy nową kuchnię, z prawdziwego zdarzenia. Udało się nam odnowić stary refektarz, który może służyć również jako sala wykładowa. Sale wykładowe wymagają także kapitalnego remontu.

Mamy obecnie również salę dla chorych kleryków i ambulatorium na siedem osób, pokój dla wykładowców i pokój gościnny. Najbardziej zadowolonymi byli klerycy, gdy udało się zdobyć dla nich sto łóżek z nowymi materacami, nowe szafki na ubrania.

Kiedy tam przyjechałem mieliśmy w seminarium tylko jeden, stary komputer. Udało się zrobić salę komputerową. Mamy osiem nowych komputerów. Ks. rektor nazwał tę salę moim imieniem. Zostałem doceniony już za życia...

W miesiącach gorących są problemy z wodą, więc zbudowaliśmy

nacjonalistyczne, członkowie których uważali, że Sri Lanka jest tylko dla buddystów, chrześcijanie zaczęli mieć problemy i przede wszystkim to doprowadziło do wybuchu wojny domowej. Obecnie mamy względną tolerancję. Państwo utrzymuje klasztory buddyjskie, finansuje szkoły buddyjskie.

Skąd pochodzą fundusze na utrzymanie seminarium duchownego?

Cześć środków udziela Kongregacja ds. Ewangelizacji Narodów, część – są to środki z funduszy diecezji, a część pieniędzy wpłacają rodzice kleryków, w zależności od ich możliwości.

Jakie zwyczaje, tradycje są kultywowane przez rdzennych mieszkańców Sri Lanki?

Wzajemne przenikanie się różnych religii doprowadziło do takiej sytuacji, że w wielu dziedzinach można zauważyć podobne zachowanie.

święte, na którym umieszczają te relikwie. To samo robią i katolicy.

Podczas święta parafialnego, po południu na przybrany kwiatami i kolorowymi tkaninami samochód z przyczepą ustawiana jest figura jakiegoś świętego czy Matki Boskiej. Procesja idzie po wszystkich ulicach, leżących na terenie parafii. Podczas procesji, oprócz modlitw i pieśni, co chwilę wybuchają petardy. Droga, przez którą przechodzi procesja jest udekorowana lampkami choinkowymi i kolorowymi chorągiewkami, może to być nawet kilka kilometrów. Jest bardzo ważne, żeby święto było głośne i kolorowe.

Święto parafialne u chrześcijan zaczyna się od uroczystych niesporów za tydzień przed właściwym świętem. Przed niesporami jest wkopywany 15–20 m maszt, zakończony krzyżem. Na nim jest umieszczony sztandar, symbolizujący parafię. Na placu kościelnym są ustawione duże bębny, biciem w bębny zwoluje się

autobusie, tuż za kierowcą, są dwa miejsca z napisem „dla duchowieństwa”. I mnisi buddyjscy, i księża katolicy przez swoją pracę zasłużyli na szacunek. Oświata w tym kraju jest zasługą misjonarzy. To oni zakładali szkoły parafialne, do których przychodzili nie tylko dzieci katolickie, ale również dzieci buddyjskie. To misjonarze wykształcili pierwszą miejscową inteligencję, tworzyli pierwsze słowniki, katechizmy w miejscowym języku i popierali rozwój miejscowej literatury i piśmiennictwa.

Jakie są zwyczaje, obrzędy, które odróżniają Sri Lankę od Ukrainy czy od Polski?

W Sri Lance jest wielki kult zmarłych. Gdy ktoś umiera, schodzą się wszyscy sąsiedzi i starają się tej rodzinie pomóc. Drogę do domu, w którym jest żałoba obwiesza się białymi wstążkami, niezależnie od wyznania – buddyści, hinduiści i katolicy. Białą kolor jest znakiem śmierci i żałoby.

ści. Obok trumny, oprócz krzyża u chrześcijan lub jakiegoś symbolu u buddystów, są kładzione kły słonia, które oznaczają szacunek dla zmarłego. Słoń w tym kraju jest uważany za zwierzę święte. Z braku prawdziwych kiel, przy zmarłym jest kładzona imitacja kiel z drewna. Niezależnie, czy to była osoba biedna czy bogata, wykształcona czy nie – kły słonia mają oznaczać, że odeszła to osoba ważna.

Ojciec pracuje w seminarium duchownym, wobec tego chciałbym zapytać – czy w Sri Lance nie brakuje powołań kapłańskich?

W Sri Lance jest 11 diecezji. Każda diecezja posiada niższe seminarium duchowne. Po ukończeniu roku propedeutycznego, klerycy rozpoczynają studia w Krajowym Wyższym Seminarium Duchownym w Kandy. Seminarium w Kandy zostało założone przez Polaka – abpa Władysława Zaleskiego w 1893 r. i jest



O. Mariusz Michalik z klerykami i wykładowcami Niższego Seminarium Duchownego św. Pawła w Marawila

nowe ujęcia wodne i cały system kanalizacyjny. Dzięki moim przyjacielom ze Śląska, jesteśmy niezależni, jeśli chodzi o elektryczność. Mamy generator, który może oświetlić nie tylko seminarium, ale i pół wioski.

Dzięki funduszom z Niemiec, zrobiliśmy na dwóch piętrach nowe sanitariaty, a na zewnątrz seminarium – prysznice. Jest kilka stojaków, pod które może wejść grupa osób. Przedtem rano nabieraliśmy wodę do dwóch cystern, która grzała się do wieczora. Chłopcy czerpali tę wodę miseczkami i polewali się – tak wyglądał prysznic.

Oprócz drogi dojazdowej, którą zrobiliśmy, oprócz plantacji bananów, którą zasadziliśmy, najbardziej ucieszyło nas to, że własnymi siłami zbudowaliśmy pierwszą kaplicę pod wezwaniem nowego błogosławionego – Jana Pawła II. Fundamenty zaczęliśmy kopać na Matki Boskiej Różańcowej (7 października) w 2010 roku, a 18 maja 2011 roku – w dniu urodzin naszego papieża kaplica została konsekrowana.

Jakie są relacje pomiędzy wyznawcami różnych religii w Sri Lance?

Są w miarę poprawne dopóki do tych relacji nie wtrącają się politycy. Sri Lanka jest krajem buddyjskim. 67% mieszkańców stanowią buddyści, 14% – hinduiści, chrześcijan jest 8%, około 7% – muzułmanie. Przez wiele stuleci to współistnienie było prawie bezkonfliktowe. W latach 70., kiedy powstały buddyjskie partie

Jeśli wchodzi się do świątyni – buddyjskiej, hinduskiej, do meczetu czy kościoła zdejmuje się obuwie z szacunku dla miejsca świętego. Nie jest to żadnym zdziwieniem, gdy przed wejściem do kościoła czy kaplicy jest sterta sandałów czy kłapek...

Wszyscy, oprócz muzułmanów, trzy razy dotykają figur w swoich świątyniach, czy to będzie figura buddy, czy figura Matki Boskiej. Trzykrotnie dotknięcie figury i pocałowanie rąk, które dotykały tę figurę, okazuje szacunek. W tutejszej kulturze dziecko, gdy wyjeżdża na dłużej z domu, np. na studia, na ulicy lub na stacji kolejowej klęka przed rodzicami, dotyka z szacunkiem stóp i prosi o błogosławieństwo. W ten sam sposób wita się biskupa podczas uroczystości kościelnej, księdza, który przychodzi do szkoły, wysokiego urzędnika państwowego. Zwyczaj, wywodzący się z czasów królewskich, funkcjonuje obecnie także w zwyczajach religijnych.

Trzy główne wyznania, oprócz islamu organizują wiele hucznych procesji. Ze względu na upały, wszystkie uroczystości i procesje odbywają się wieczorami albo wcześniej rano. Buddyści urządzają bardzo często swoje barwne procesje, podczas których przenoszą relikwie buddy albo innych świętych buddyjskich z jednej świątyni do drugiej. Idą grupy tancerzy, tancerek w strojach ludowych, którzy grają na bębnach i piszczałkach. Podczas procesji prowadzony jest śpiew, który jest uważany za zwierzę

ludzi na te uroczystości. Każdego dnia wieczorem, przez cały tydzień jest odprawiane nabożeństwo, różaniec, kazania aż do pierwszych niesporów uroczystości, na którą zjeżdżają się wszyscy okoliczni księża. Ponieważ w niedzielę księża nie mają możliwości, dlatego w przededniu odbywa się kulminacyjny punkt świętowania. W niedzielnych uroczystościach uczestniczy tylko ks. proboszcz i zaproszony kaznodzieja. Przed kościołem, podobnie jak w Polsce, są ustawiane stragany z obrazkami i różnymi innymi religijnymi przedmiotami i słodyczkami. Na tych odpustach czułem się tak, jak bym był w Polsce czy na Ukrainie.

Hinduiści podczas procesji wywożą na dużych wozach figury swoich bogów. Jest to barwny, oświetlony pochód, przy dźwięku trąb, piszczałek, bębnów, który porusza się po ulicach miasta czy wioski.

Ludzie w Sri Lance nie wstydzą się swojej wiary, każdy stara się ją zamianifestować. Tak, jak na Ukrainie, w miejscowościach zamieszkałych przez chrześcijan widoczne są przydrożne krzyże, kapliczki, widać wieże kościelne. Nawet na swoich podwórkach ludzie stawiają krzyże, figurki, co sprawia wrażenie kraju chrześcijańskiego.

W miejscowościach zamieszkałych w większości przez buddystów stoją kapliczki buddyjskie, posągi buddy w różnych pozycjach. Są też kapliczki hinduistyczne.

W Sri Lance są niezwykle szanowane osoby duchowne. W każdym



Kaplica pod wezwaniem Jana Pawła II w Marawila



Przy szopce bożonarodzeniowej

Przychodzą mieszkańcy z całej miejscowości, niezależnie od wyznania do rodziny zmarłego. Przynoszą jedzenie, napoje, itd. Podczas pogrzebu rzuca się przed trumną kwiaty, zmieszane z ziemią. Przez siedem dni i nocy, po pogrzebie zmarłego członek rodziny, ktoś z domowników czuwa i modli się aby dusza mogła odejść w zaświaty. Sąsiedzi i znajomi towarzyszą tej rodzinie. Trumny w Sri Lance są inne niż u nas. Rozkładają się jak pudełka, na cztery czę-

wspólne dla wszystkich 11 diecezji w Sri Lance.

Nasze niższe seminarium diecezjalne, w którym obecnie pracuje ma 94 kleryków. Formację seminaryjną klerycy rozpoczynają w wieku 15 lat. Robią maturę, pierwszy rok propedeutyczny, a później idą na filozofię i teologię do Kandy. Na diecezję, która ma 200 tys. osób, jest dość dużo powołań do kapłaństwa. Co roku do naszego seminarium zgłasza się do 50 osób, a możemy przyjąć na >

▷ pierwszy rok tylko 15. Ilu kleryków z naszego seminarium przejdzie do wyższego seminarium, tyle mamy miejsc. Jest to bolesna sprawa, bo zawsze trzeba prowadzić selekcję.

Nasi chłopcy do południa chodzą do szkoły katolickiej, gdzie zdobywają wykształcenie ogólne. Po południu są zajęcia w niższym seminarium. Największym problemem dla kleryków nie jest matura, ale język angielski, ponieważ wszystkie wykłady w wyższym seminarium jest prowadzona w tym języku. Na przykład, w tym roku egzamin wstępny do wyższego seminarium w Kandy

otrzymuje się bezpośrednio na lotnisku. Ja przez cały czas przebywam na wizie turystycznej. Nie ma oficjalnych prześladowań, są tylko trudności administracyjne. Od dwóch lat nie mogę się doczekać na wizę stałego pobytu. Co trzy miesiące muszę wylecieć z Sri Lanki chociażby na jeden dzień. Nie ma problemu z otrzymaniem wize na trzy miesiące, ale po trzech miesiącach muszę na jakiś czas opuścić ten kraj. Ma to też swoje dobre strony (śmieje się). Dzięki temu miałem możliwość zwiedzenia Azji. Podczas pierwszego lotu ze Sri Lanki polecałem



Poświęcenie działki ogrodowej

zdawało osiemnastu naszych kleryków. Dostało się tylko dziewięciu, innych dziewięciu musi powtarzać rok propedeutyczny, uczyć się języka angielskiego.

Chociaż w Sri Lance tylko 7% mieszkańców stanowią katolicy, to jednak wielu misjonarzy stąd pracuje w innych krajach. Mały Kościół, jeśli chodzi o liczbę populacji, daje Kościołowi powszechnemu misjonarzy.

Czy Polacy mieszkają w Sri Lance?

Do lat osiemdziesiątych XX w. w Sri Lance mieszkali i pracowali ojcowie oblaci, którzy przyjechali tam przed II wojną światową. Na placu, w jednej z wiosek w diecezji Mannar jest wystawiony pomnik ojca Cieszka, który pracował tam jako misjonarz, wybudował kościół, szkołę parafialną, zasłużył się bardzo dla miejscowej społeczności i umarł tam. Obecnie na południu Sri Lanki, w diecezji Galle, w szkole salezjańskiej pracuje ojciec Adam. Jestem też ja. Przez dwa lata, na tzw. stażu misyjnym była s. Alicja, ale wróciła do Polski. Zostało nas dwóch...

Polonii jako takiej nie ma?

W Kolombo są dwie czy trzy panie, które wyszły za mąż za Lanckijczyków, którzy studiowali w Europie. Niestety, w Sri Lance nie ma konsulatu polskiego, nie ma żadnego przedstawicielstwa Rzeczypospolitej Polskiej. My należymy do ambasady w Indiach. Możemy załatwić także swoje sprawy w ambasadzie polskiej w Tajlandii, gdzie jest bliżej, tylko dwie godziny lotu samolotem. Sri Lanka ma tylko konsula honorowego.

Czy aby przyjechać na Sri Lankę trzeba mieć wizę?

Nie. Po przylocie na Sri Lankę, po ukazaniu paszportu i biletu powrotnego, bezpłatną wizę na 30 dni

do Tajlandii, ponieważ tam pracują znajomi księża z Włoch, mogłem zobaczyć jak wygląda Kościół katolicki w tym kraju. Drugim razem polecałem na Filipiny, gościłem przez dwa tygodnie u biskupa, którego kiedyś poznałem na Ukrainie. Gdy musiałem opuścić Sri Lankę po raz trzeci, byłem w Kambodży. Innym razem odbyłem pielgrzymkę do grobu św. Tomasza Apostoła i do grobu św. Franciszka Ksawerego, ponieważ otrzymałem wizę indyjską. Dzięki przymusowemu wyjazdowi z Sri Lanki mogłem zobaczyć Azję, mogłem poznać się z życiem Kościoła katolickiego w innych krajach.

Jak w Sri Lance są obchodzone święta Bożego Narodzenia?

Na święta Bożego Narodzenia każda rodzina przed swoim domem buduje szopkę. Szopki pojawiają się na rogach ulic. Każda ulica chce zrobić piękniejszą szopkę od drugiej. W miejscowościach zamieszkałych przez chrześcijan można zobaczyć konkursy szopek. Trzeba pamiętać, że w Sri Lance jest bardzo ciepło i większość czasu spędza się na podwórkach lub w podcieniach. Więc szopki są ustawiane na zewnątrz domów.

W naszej szerokości geograficznej święta Bożego Narodzenia są świętami zimowymi, jaka jest temperatura w tym czasie w Sri Lance?

Przeważnie +28 – +30°C. Jest to ciepłe Boże Narodzenie. Dzieciatko Jezus w żłóbku, na sianku, pod palmami... Nawet w zimowe miesiące nie ma tam śniegu. Przed bankami, przed sklepami również ustawiane są szopki.

KG

Miejscowy pieniądz, do miejscowej spółdzielni, na miejscowe potrzeby

Podczas obchodów we Lwowie 150-lecia urodzin współtwórcy polskiej bankowości spółdzielczej Franciszka Stefczyka list z prośbą o wszczęcie procesu jego beatyfikacji przekazała arcybiskupowi lwowskiemu Mieczysławowi Mokrzyckiemu Rada Naukowa Spółdzielczego Instytutu Naukowego z Polski.



Przekazanie listu

KONSTANTY CZAWAGA tekst i zdjęcie

2 grudnia w hotelu „Leopolis” odbyło się uroczyste posiedzenie Rady Naukowej Instytutu, na które został zaproszony też metropolita lwowski. O tym, że Stefczyk opierał swoją działalność dla dobra wspólnego na zasadach chrześcijańskich mówił – w świetle odnalezionych dokumentów – Marcin Konik-Korn, wicedyrektor Wydawnictwa Benedyktynów TYNIEC z Krakowa. Prelegent poinformował, że zebrano już dokumenty i korespondencję Stefczyka.

Kim był Franciszek Stefczyk?

„Miejscowy pieniądz, do miejscowej spółdzielni, na miejscowe potrzeby” – przypomniano hasło z czasów przedwojennych. Z udostępnionej „Kurierowi” przez organizatorów obchodów jubileuszu sylwetki dowiadujemy się, że dr Franciszek Stefczyk był wielki patriotą i przyjacielem ludu wiejskiego. Urodzony 2 grudnia 1861 roku w Krakowie, już na ławie szkolnej zaprzysięga w kościele służyć przez całe życie Polsce. I słowa dotrzymuje. Pracuje dla ludu i wśród ludu. Osiedla się na wsi, w Czernichowie, pod Krakowem, jako nauczyciel Szkoły Rolnej. Bierze czynny udział w pracy oświatowej Kółek Rolniczych, wygłasza pogadanki, poucza, niesie światło pod strzechy, ale i sam się przy tym uczy. Poznaje mianowicie niedolę i potrzebę ludu wiejskiego, przekonuje się naocznie, że rolnik, uginając się pod ciężarem lichwiarskich procentów, dochodzących średnio do 150% rocznie, zmuszony jest opuszczać rodzinne strony i wędrować „za chlebem” w dalekie kraje. Stefczyk postanawia złu zaradzić i lichwę wytepić. Zakłada w roku 1890 pierwszą w Małopolsce Spółdzielnię (Kasę) Oszczędnościowo-Pożyczkową w Czernichowie (typu Raiffeisena). Sam układa statut tej Kasy, pełni kolejno obowiązki rachmistrza, przewodniczącego Zarządu i przewodniczącego Rady Nadzorczej. Był Kasy opiera na samopomocy i solidarności członków, fundusze obrotowe

zaś zdobywa na miejscu w postaci udziałów i wkładów. I oto po 10 latach Kasa całkowicie wytepiła lichwę ze wsi, wydając członkom pożyczek w kwocie 179.521 koron, mając własnego funduszu zasobowego 12.342 korony i 204.146 wkładów oszczędnościowych. Członkowie w 1900 roku, płacą 6% od pożyczek i otrzymują 4,5 %.

Tak to Stefczyk dał przykład rolnikom, jak mają sami sobie radzić w potrzebie; jak osiągnąć lepszy byt.

W 1890 roku dzięki Stefczykowi powstaje we Lwowie Związek Rewizyjny Spółdzielni pod nazwą: Krajowy Patronat Spółdzielni Rolniczych. Jako dyrektor Patronatu pokrywa Stefczyk całą Galicję gęstą siecią Kas. Rolnik tamtejszy zostaje uwolniony ze szpon lichwiarzy. Stefczyk uczy przy tym lud wiejski oszczędności.

Dzieło SKOK wciąż żywe

SKOK Stefczyka, wpisując się w ponad stoletnią historię kas oszczędnościowo-pożyczkowych, wypełnia misję wspierania lokalnych społeczności – podkreślano podczas posiedzenia Rady Naukowej Instytutu. Dzięki zmianom ustrojowym w Polsce po 1989 roku możliwy stał się powrót do idei samopomocy finansowej i uruchomienia instytucji oszczędnościowo-kredytowych. Tak w 1993 roku w Gdyni powstał SKOK im. Franciszka Stefczyka. W pierwszym okresie swojej działalności Kasa ta miała charakter branżowy – kierowała usługi głównie dla pracowników przedsiębiorstw morskich wybrzeża gdańskiego. Po 15 latach działalności SKOK Stefczyka stała się największą w Polsce spółdzielczą kasą oszczędnościowo-kredytową – poprzez sieć 270 oddziałów oraz internet z usług Kasy korzysta ponad pół miliona osób.

Zdaniem inicjatorów beatyfikacji Franciszka Stefczyka, jest on postacią nie tylko historyczną, ale także niezmiernie żywą, ważną w chwili obecnej. Zaznaczono, że spółdzielcza Kasa im. Franciszka Stefczyka liczy 750 tys. członków. Jest to największa spółdzielnia w Europie

pod względem liczby członków. To doświadczenie zainteresowało też działaczy Ukraińskiej Parafialnej Spółki Kredytowej „Anisja” we Lwowie. Powstała już grupa inicjatywna powołania Kasy Stefczyka na Ukrainie.

Na drodze do beatyfikacji

Po otrzymaniu listu, podpisanego przez wszystkich obecnych członków Rady Naukowej Spółdzielczego Instytutu Naukowego, arcybiskup Mieczysław Mokrzycki dał wyraz radości z propozycji rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Franciszka Stefczyka. Zapowiedział jednak, że nie można go rozpocząć od razu, gdyż najpierw trzeba uzyskać zgodę Kongregacji ds. Kanonizacyjnych w Rzymie. Możliwe byłoby rozpoczęcie procesu „w następnym roku”, razem z planowanym procesem beatyfikacyjnym bp. Rafała Kiernickiego, w 100. rocznicę jego urodzin.

„Ojciec Święty Jan Paweł II uczył nas tego, żebyśmy dawali dzisiaj światu wzorce ludzi, którzy wskazywali na Chrystusa poprzez swoje życie, swoje powołanie nie tylko w kapłaństwie czy w życiu konsekrowanym, ale także jako osoby świeckie. Stąd tyle było beatyfikacji, tyle kanonizacji za jego pontyfikatu. I byłoby to wielką radością, gdyby nam się udało te dwa procesy przeprowadzić” – zaznaczył abp Mokrzycki. Jednocześnie zasugerował, aby postulatorem procesu został Marcin Konik-Korn, o ile „jego szefowie się zgodzą”.

Arcybiskup lwowski przypomniał, że Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie ma już dwóch świętych: Józefa Bilczewskiego i Józefa Gorazdowskiego, a także błogosławioną: s. Martę Wiecką, szarytkę, „która oddała życie za drugiego człowieka w szpitalu w Śniatyniu”.

Delegacja polskich spółdzielców-bankowców 3 grudnia odwiedziła odnowiony grób Stefczyka na Cmentarzu Łyczakowskim, a w niedzielę, 4 grudnia, uczestniczyła we Mszy św. w katedrze lwowskiej.

KG

Alfred Młocki – demokrata szlachecki

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku lwowskiej inteligencji przewodziła grupa weteranów walk narodowowyzwoleńczych, byłych powstańców z 1831, 1848, i 1863 roku, a wśród najpopularniejszych lwowskich działaczy politycznych był społecznik Alfred Młocki – pisarz polityczny, działacz społeczny, filantrop, ziemianin, lwowski radny miejski, poseł na Sejm Krajowy, więzień stanu.

BEATA KOST

Ród Młockich pochodził z Mazowsza. Alfred Aleksander Młocki urodził się 31 grudnia 1804 roku w Warszawie. Po śmierci rodziców wychowywał się w domu Onufrego Wyczekowskiego – prezesa Sądu Apelacyjnego. W jego domu spotykał najważniejsze postaci Królestwa Polskiego. Po maturze Młocki studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Pierwsze pomysły na dalsze życie związane były z gospodarowaniem w rodzinnym majątku. Po studiach zamieszkał jednak w Warszawie, w 1826 roku ożenił się z Julianną Skowerską. Mieli czworo dzieci, wszyscy trzej synowie Młockich zmarli, przeżyła jedynie córka Bronisława. Zainteresowania Młockiego skupiały się wokół literatury, ale też sprawy społeczne i narodowe zajmowały go w wielkim stopniu. Toteż w momencie wybuchu Powstania Listopadowego bez chwili namysłu rusza pomiędzy walczących. Walczył pod komendą Samuela Różyckiego w stopniu porucznika 9 pułku piechoty Armii Królestwa. We „Wspomnieniach z roku 1830-31” pozostawił dokładny opis działań wojennych generała Samuela Różyckiego na ziemi sandomierskiej i krakowskiej. Walczył pod Odechowem, Janowcem, Chodczą Górą. Po powstaniu, podobnie jak inni, musi ratować się ucieczką, zamieszkał w Krakowie. W jego dorobku były też wspomnienia wydarzeń roku 1836 w Krakowie (okupacja Wolnego Miasta Krakowa przez wojska zaborców po zamordowaniu szpiega Behrensa-Pawłowskiego), angażuje się politycznie, pisze wiersze patriotyczne.

Zostaje zadenuncjowany pod koniec roku 1836. Austriacy osadzili go w więzieniu na Podgórze. Nie zgodził się na propozycję Austriaków: wyjazd z kraju w zamian za wypuszczenie spod aresztu. Nakazem austriackim został więc wydalony z terenu zaboru austriackiego. Jako były powstaniec i były poddany rosyjski przekazany zostaje na teren zaboru rosyjskiego. Osadzono go w więzieniu w Kielcach. Otoczony dozorem policyjnym, po kilku latach zostaje pozbawiony obywatelstwa rosyjskiego i z powrotem powrócił do Krakowa. Działal w ruchu narodowym w 1848, po rewolucji przebywał na emigracji, współpracował z Komitetem Narodowym. Po powrocie z emigracji osiadł w pobliżu Lwowa, a później w samym mieście. Odtąd jego życie i działalność związane były ze sprawami społecznymi. Mieszkał w Łopatynie od 1850 roku, kilka lat później nabył w cyrkule Brzeżańskim wieś Samki Górne. Gospodarował, zajmował się publicystyką polityczną, działalnością społeczną na rzecz powiatu. W 1862 roku Młocki wydaje własnym nakładem w Paryżu broszurę „Rzut oka na rozwój narodu



Alfred Młocki

polskiego i wpływ jaki ten wywiera na stan Europy”. W 1863 roku w czasie kolejnego powstania odznaczył się w organizacji niepodległościowej, jako członek Komitetu Galicji Wschodniej (białego), jako jeden z pierwszych we Lwowie przekazał powstańcom pomoc finansową

Po zamożnych krewnych, ciotkach Honoracie Borzęckiej i Marianie Potockiej, odziedziczył duży majątek, który pozwolił mu na prowadzenie szeroko zakrojonej działalności charytatywnej i społecznej. Po ciotce przejął pałac obok gmachu Namiestnictwa (obecnie gmachy Rady Obwodowej) we Lwowie. Kiedy zakupił go rząd austriacki, wybudował przy ulicy Pańskiej kamienicę, w której mieszkał do końca życia.

Wyróżniały go na tle epoki demokratyczne poglądy i działalność polityczna. Przewodniczył Towarzystwu Opieki Narodowej, które założył ks. Ludwik Ruczką do opieki nad zesłańcami sybirskimi. Zajął się udzielaniem pomocy i wyszukiwaniem miejsc dla emigrantów, przybywających z Francji i Szwajcarii aby osiąść we Lwowie. Działal w Komitecie Obywatelskim, był prezesem towarzystwa Oświata, członkiem honorowym Towarzystwa Pedagogicznego i Towarzystwa Bratniej Pomocy. Młocki był jednym z założycieli pierwszego w Galicji Towarzystwa Zaliczkowego, które powstało, aby zadziałać lichwie. Kierował zbiórką funduszy przeznaczonych na potrzeby oświaty ludowej, w setną rocznicę pierwszego rozbioru Polski (1872) założył komitet, który miał się zająć zbiórką finansową na terenie całego zaboru austriackiego. W cią-

gu roku na budowę szkół ludowych w Galicji, zebrał blisko sto tysięcy złotych reńskich. W ciągu kilkunastu lat finansował Wydawnictwo Dzieł Ludowych – specjalne wydania tanich książek dla chłopów i rzemieślników, które były też czasem rozdawane bezpłatnie.

Był członkiem komitetu zarządzającego jubileusz dla uczczenia Seweryna Goszczyńskiego, wypłacał Goszczyńskiemu w imieniu komitetu emerytalnego roczną pensję aż do śmierci poety (Goszczyński nie miał żadnych stałych dochodów, z działalności poetyckiej utrzymywać się nie był w stanie, stąd pomysł mieszczan lwowskich, aby go utrzymywać ze specjalnego funduszu stworzonego przez mieszczan). Po wyrzuceniu z Galicji Agatona Gillera, Młocki przez dwa lata wysyłał Gillerowi pensję, na którą składał się wraz z lwowskimi przyjaciółmi. Anonimowo współpracował z „Gazetą Narodową”. Obok Mieczysława Darowskiego, był wielkim opiekunem i patronem prasy robotniczej i ruchu robotniczego w Galicji. Opiekował się stowarzyszeniami robotniczymi, kształcącymi rzemieślników. Wraz z Darowskim współzakładał „Gwiazdę”, a potem był kuratorem stowarzyszenia, wspierał też finansowo dwutygodnik „Rękodzielnik” – pismo lwowskich rzemieślników. Zajął się rozpowszechnianiem wśród rzemieślników wiedzy o historii Polski oraz czasopism i wydawnictw narodowych.

Opiekował się ubogimi rodzinami, zdolnymi ubogimi twórcami, zagrożonymi represjami politykami i

działaczami, emigrantami. „Nie raz słyszałem go powtarzającego: że miarą wartości publicznej człowieka jest jego życie prywatne. Ludzie bez skazy w stosunkach codziennych, mawiał, nigdy nie zawiodą zaufania narodowego. Nie wierzył też w dobre przewodnictwo sprawy publicznej przez tych, na których pozostała jakakolwiek zakąła prywatnego życia. Przed ludźmi lekkimi, brudnymi, nierzetelnymi, chociażby najzdolniejszymi, zawsze ostrzegał, a radził ufać tylko ludziom czystego i stałego charakteru. Bez charakteru, tak zdolności, jak umiejętność na nic się nie zdały, owszem szkodę częstokroć przynoszą narodowi. Surowe więc stawiał wymagania naszym jenerałom, mężom stanu, posłom, urzędnikom i w ogóle starszyźnie narodu, lecz miał prawo stawiać takie żądania, bo sam dla siebie był najsurowszym” – wspominał przyjaciel Młockiego. Jego działalności, prowadzonej na wielką skalę, która zasięgiem objęła cały teren zaboru austriackiego, zawdzięczamy w pewnej mierze nowoczesne mieszczaństwo polskie, zaangażowane w sprawy narodowe. Patriarchą narodu nazywał go Agaton Giller. Sprzeciwiał się polityce

szerniejsze i zarazem najważniejsze z dzieł, napisanych przez Młockiego, obejmuje historię narodów podbitych i ich walk z zaborcami. Jednocześnie też krytycy pracy pisali, że dzieło jest „wyznaniem wiary autora”. Po raz ostatni działalnością publiczną zajął się przygotowując 50. rocznicę Powstania Listopadowego. Ogłosił wówczas swoje wspomnienia. Nie lubił, aby go wyręczano w pracy: sam robił wszystko, prowadził korespondencję, księgowość i bieżącą dokumentację, co przy tylu zajęciach było dość czasochłonne. „Ubrany zawsze w narodową czamare, pełen powagi i spokoju niczym niezamąconego, był typem prawdziwego Polaka. Na pięknym jego obliczu malowała się dobroć serca, we wzroku bystrym błyszczał promień miłości i łagodności. W ruchach jego i w mowie była ta prostota, pełna dostojności, która do siebie pociąga serca” – opisywał go Agaton Giller.

Wraz z przyjacielem Mieczysławem Darowskim i Kornelem Ujejskim był autorem odezwy „Poginęły dzieci polskie”, ogłoszonej drukiem we Lwowie w październiku 1874 roku.

W październiku 1876 wokół Gazety Narodowej powstaje „Koło”. Organizacja sprzeciwiała się między innymi podburzaniu społeczeństwa w trzech zaborach do kolejnego zbrojnego powstania. Młocki był wśród współzałożycieli „Koła”.

Zmarł we Lwowie 27 marca 1882 roku. W mieście ogłoszono żałobę, a o śmierci Młockiego pisano w kraju, że jest to strata narodowa. Od pogrzebu Seweryna Goszczyńskiego Lwów nie widział podobnie wielkiej manifestacji. Zamknięto sklepy, zawieszono żałobne chorągwie, zapalono latarnie na ulicach, którymi przechodził orszak pogrzebowy. Cała niemal ludność miasta, chrześcijanie i Żydzi, wystąpili w orszaku żałobnym. Pochowano Alfreda Młockiego na Cmentarzu Łyczakowskim. Lwów pożegnał go hymnem „Boże, coś Polskę”.

Zarzucono mu surowe sądy, ale podkreślano też, iż nadzwyczaj trafnie oceniał ludzi. Nigdy nie wchodził w układy z zaborcami, na co pozwalała mu niezależność finansowa w postaci sporego majątku. Z dorobku pisarskiego pozostawił wspomniane w tekście opracowanie, poza nimi sporządził sprawozdanie z wydarzeń 1848 roku w Krakowie (opisał je, jako kronikarz Komitetu Narodowego); był też autorem porównawczej rozprawy historycznej o księciu Józefie Poniatowskim i generale Henryku Dąbrowskim. Pisał wiersze. Za życia prawie nie drukował, w testamencie pozostawił zapis, aby dzieła jego wydano dopiero po śmierci. Prace Młockiego do druku wydali we Lwowie Agaton Giller oraz Piotr Zbrożek.



Nagrobek Alfreda Młockiego na Cmentarzu Łyczakowskim

konserwatystów, był przeciwnikiem Floriana Ziemiałkowskiego i Agenera Gołuchowskiego. Podobnie jak jego przyjaciel Mieczysław Darowski, miał Młocki poglądy socjalistyczne. W swojej wielkiej pracy („Krótki rys walki zasad w Europie”) o doktrynach społecznych w XIX wieku pisał: „Socjalizm o tyle wyżej stoi od komunizmu, iż podstawą jego jest praca, a z nią indywidualność samodzielną, będącą źródłem prawdziwego bogactwa i prawdziwej rozmaitości”. Dzięki uwagom, dotyczącym komunizmu i socjalizmu, nazwisko Młockiego pojawiało się również w Polsce Ludowej. Pracą jego zajmował się nawet Zakład Historii Partii KC PZPR. Dzieło Młockiego „Krótki rys walki zasad w Europie” wydane było pod pseudonimem Prawdzic z Kosarzewa w Lipsku, nakładem autora w 1866 roku. Jest to najob-

KSIĘSTWO BABCI Z BURDYKÓW

Bardzo dawno nie byłem już na Białorusi, w mojej małej ojczyźnie – pięknym kraju białych brzoź i złocistych sosen, kraju dobrodusznych ludzi i bocianów na zabłoconych jeziorach Puszczy Białowieskiej. Właśnie tam, 20 lat temu, ówczesni liderzy Białorusi, Ukrainy i Rosji zdecydowali o rozwiązaniu Związku Sowieckiego i utworzeniu niepodległych państw na jego gruzach.

KRZYSZTOF HUFIEC

Helenka

Nieraz stamtąd telefonuje Helenka, córka mojej kuzynki. Stara się podtrzymywać rodzinne stosunki. Właśnie od niej dowiedziałem się, że jedynym obchodzonym na poziomie państwowym świętem na Białorusi, jest dzień wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej. Dnia Niepodległości się nie obchodzi...

Ostatnio byłem na Białorusi na przełomie tysiącleci, gdy Helenka zaprosiła mnie na swoje drugie wesele. Przez własne problemy nie byłem na jej pierwszym weselu. Nie widziałem jej pod welonem, w białej sukni. Niestety pierwsza miłość zaowocowała tylko krótkim szczęściem. Należało uczcić jej pragnienie do stworzenia mocnej rodziny. Helenka była sierotą i wychowywała ją moje ciotki, siostry ojca, czyli najstarsze pokolenie rodziny.

Dobrze zapamiętałem to wesele i Helenkę, ubraną w czerwonej sukni, według tradycji. Pamiętam białoruskie piosenki, śpiewane przez licznych gości, w podmiejskiej restauracji, w głębi sosnowego lasu. Pamiętam dużą ilość jedzenia, wina i wódki. Zapamiętałem również fabryczkę, gdzie w miejscu pracy zapoznała się młoda para. Fabryczkę zapamiętałem przez popiersie Feliksa Dzierżyńskiego, zamontowane przed wejściem. Lubią jednak niektórych Polaków na Białorusi...

Lew Tołstoj, a szczęście rodzinne

Nie zawsze w pełni prawdziwym jest powiedzenie, że każde dziecko ma dwie babce i dwóch dziadków. Nie zawsze dziadkowie, a nawet rodzice, mają możliwość wychowania dziecka. Wszystkie szczęśliwe rodziny są szczęśliwymi jednakowo, a nieszczęśliwe są nieszczęśliwymi – każda po swojemu. Tą swoistą formułą szczęścia rodzinnego opisał Lew Tołstoj w przedmowie do jednej ze swych słynnych powieści. Mam w tym względzie własne doświadczenie z dzieciństwa. Posiadam tylko jedno wspólne z ojcem zdjęcie, na którym trzyma mnie on na rękach. Z podpisu wiem, że miałem wtedy niecałe sześć miesięcy. Gdy dojrzałem, matka jednak zdecydowała poznać mnie z rodziną z linii ojca, Białorusinami. Wtedy przekonałem się, że są to życzliwi ludzie wobec mnie i mamy. Z czasem zrozumiałem, że szczęścia rodzicom brakowało nie z powodu różnic narodowościowych czy religijnych. Przyczyna braku tego szczęścia była ukryta w skutkach II wojny światowej...

Podróż „Moskwiczem” po Kresach

Prawdę mówiąc, dla mnie osobiście, pierwsza podróż na Białorus była przedłużeniem poznawania Kresów. Uczestniczyłem wcześniej w



Powitanie Helenki po drugim ślubie

podobnych wycieczkach rodzinnych, których organizatorem był mój wuj Antoni. Zabierał nas na wyprawy własnym samochodem „Moskwicz-407”. Obecnie to rarytas. Atrakcyjności dodawał fakt, że karoseria samochodu była dwukolorowa, do tego biało-czerwona. Wujek bardzo cieszył się z tego powodu. Niewiele miał okazji do nacieszenia się wcześniej, gdyż w dzieciństwie spędził ponad 10 lat wraz z całą rodziną na zesłaniu jako niepewny polski element. Po powrocie z zesłania dziadek nazywał Kresy Polską, komuniści zaś – Zachodnią Ukrainą i Zachodnią Białorusią, a ich żony często wprost – kolonią, zawładniętą na rzecz Związku Sowieckiego. Oczywiście byłem po stronie dziadka, bo nikt z rodziny nie był komunistą.

Pomimo zniszczeń pamiątek europejskiej kultury, wyrządzonych przez komunistów szczególnie w latach tzw. „chruszczowskiej odwilży”, właśnie dzięki rodzinnym podróżom po Kresach przekonałem się jeszcze w dzieciństwie w potęgę byłych twierdz na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej. Byłem pod urokiem piękna Kamieńca Podolskiego i Lwowa. Odczuwałem też brak prawdy na szkolnych lekcjach historii. Z tego więc powodu życzenie matki odebrałem jako podróż z Rusi Czerwonej na Ruś Białą. Kierowaliśmy się ze Stanisławowa (wtedy już Iwano-Frankowska) do Brześcia (Litewskiego), Grodna i stolicy Białorusi Mińska.

Rodzinny hufiec

Tam, nie opodal Mińska, w małej wsi mieszkali, jeszcze przed wojną, mój dziadek z babcią. Tam też urodził się mój ojciec i pięcioro jego sióstr, zwanych w kolejności według wiary, nadziei, miłości... W warunkach sowieckiej rzeczywistości o zamożności nikt nie marzył. Zgoda i wzajemny szacunek, panujący w ich rodzinie, sprzyjały jej zwartości, szczególnie w trudnych czasach. Podczas wojny, zagrożeni losem mieszkańców innych wiosek, niszczonej wraz z mieszkańcami przez hitlerowców, wszyscy uciekli do lasu i włączyli się do walki partyzanckiej. Oczywiście była to partyzantka sowiecka, mocno działająca w tym regionie i mająca wsparcie Moskwy. Wsparciem było zaopatrzenie w amunicję, prowiant i nadmierną ilość spirytusu, który w tym czasie i później, po wojnie skaleczył nie jedno ludzkie życie. Statystyka zwycięzców tego nie notuje. Mówiąc o typowym losie tej rodziny podczas wojny, jako partyzantów Białorusi, sowiecka historiografia „zapomniała” podkreślić prawdziwe motywy pójścia do lasu i to, że nikt z rodziny do partii komunistycznej nie należał. Posiadam osobne, dokumentalne świadectwa tego faktu.

Z ran, odniesionych podczas wojny wkrótce po jej zakończeniu, zmarła jedna z moich ciotek. Przedwcześnie pożegnali ten świat mój dziadek i ojciec.

Miałem jednak możliwość poznać się z resztą rodziny, która na-



Obelisk na Kopcu Chwały i jego fragment



Symboliczne dzwony w Chatyniu

dal dzięki zwartości żyła w przyjaźni, nie opuszczając na długo stron rodzinnych.

Z poddanych księcia Burdyki

Na czele rodziny stała babcia Ksenia, z domu Burdykowa. Zainteresowałem się pochodzeniem jej panińskiego nazwiska, które wśród typowych białoruskich nazwisk brzmiało raczej po rosyjsku. Przynajmniej wtedy tak sobie to wyobrażałem. Ciotka Walentyna, młodsza siostra ojca, zawodowa nauczycielka historii, częściowo zaspokoila moją ciekawość. Powiedziała, że babcia pochodzi z książęcego rodu. Wtedy trudno było w to uwierzyć. Dopiero znacznie później przypadkowo trafiłem w starych drukach na mapę dawnej Rusi, z zaznaczonym terenem księstwa Burdyki, leżącym gdzieś na pograniczu Rusi Białej, Czerwonej i Ziemi Polskiej. Osobliwością tego księstwa było dawne, sprzed Chrztu Rusi określenie – Czarna Ruś, wskazujące na pozostałości pogaństwa. Terytorium tego księstwa było niewielkie i przy-

pominało wysepkę wśród olbrzymich terenów, które po chrzcie nabyły nowe nazwy. Trudno powiedzieć jak długo jeszcze ludność pozostawała pogańską na czele z księciem Burdyką.

Babcia Ksenia naprawdę pochodziła z tamtych terenów, ale była chrześcijanką. Dobrze zapamiętałem jej spokojne spojrzenie człowieka, którego trudno czymkolwiek zadziwić.

Pamięć, jej materializacja i... mistyka

W tym czasie budowało się wiele pomników w stylu socrealizmu. Oprócz obelisku na rondzie w centrum Mińska ku czci wyzwolenia Białorusi, mieliśmy możliwość zwiedzić też olbrzymi Kopiec Chwały, nieopodal stolicy, wzniesiony w tymże celu. Również zwiedziliśmy Chatyn, jedną z 136 wiosek na Białorusi, spalonych wraz z mieszkańcami przez hitlerowców. Dlaczego przez sowieckich ideologów wybrano właśnie Chatyn dla zbiorowej pamięci tej zbrodni, możemy teraz domyślać się, gdyż jej nazwa bardzo przypomina Katyn. Pomników w Katyniu w

tym czasie nie było... I nigdy miało nie być.

Warto zaznaczyć, że żaden z sowieckich pomników nie zawierał elementów tradycji chrześcijańskiej, jednocześnie wyraźnie gloryfikowały one patriotyzm sowiecki, nie białoruski.

Bardziej interesowałem się wtedy jednak historią ubiegłych wieków i w końcu miałem okazję po raz kolejny przekonać się o świetności dawnej Rzeczypospolitej, gdy w drodze powrotnej na propozycję wujka zwiedziliśmy Wilno i Troki.

Zanim do tego doszło, zaczęły się przygody, które trudno określić jednoznacznie. Stało się to chyba po wkroczeniu do strefy byłego księstwa Burdyki... Na jednym z zakrętów przstraszył nas pomnik, wzniesiony



Znaczki pocztowe niepodległej Białorusi

obok szosy. Była to olbrzymich wymiarów głowa Feliksa Dzierżyńskiego bez popiersia. Z daleka wydawało się, że głowa niegdyś groźnego rodaka wystaje spod ziemi. Wracając z Litwy do domu, jechaliśmy prawie wzdłuż granicy polsko-sowieckiej. W pewnym momencie wujek zmylił drogę i skierował samochód wprost ku granicy z Polską. Później żartował, że pragnął zobaczyć na własne oczy, chociaż raz w życiu, polskich żołnierzy w konfederatkach z białym orzełkiem. Jasne, że poza sowiecką strażą graniczną, nikogo więcej nie zobaczyliśmy. Na końcu pechowo zmieniliśmy film w aparacie fotograficznym prześwietlając cały negatyw. Żadne zdjęcie z tej ciekawej podróży nie ocalało.

Przygody na tym się nie skończyły. Jesienią tegoż roku na szkolnej lekcji z rysunku należało podzielić się wrażeniami z wakacji. Gdy rzetelnie wykonałem zadanie, niespodziewanie zostałem publicznie skrytykowany i osądzony przez nauczycielkę. Okazało się, że obrażyłem tak wybitnych postaci jak Lenin lub Dzierżyński pozwolono malować tylko artystom, wyznaczonym przez KC KPZR...

Przykazania ciotki Walentyny

Później niejednokrotnie bywałem na Białorusi, odwiedzając krewnych po ojcu przy każdej okazji. Częściej jednak zatrzymywałem się u ciotki Walentyny, gdyż mieliśmy wiele wspólnych tematów. Ciotka Walentyna w młodości była ładną kobietą, człowiekiem szczerym i śmiałym, o twardym charakterze. Często mówiła wprost to, co nie każdemu się podobało. Te cechy nieraz szkodziły jej w pracy i życiu osobistym. Nie splamiła jednak nigdy swego honoru i była powszechnie szanowana. Po śmierci babci Kseni zdanie ciotki Walentyny było decydujące w rodzinie.

Słowo Ojczyzna było stosowane przez nią zawsze wobec Białorusi, nigdy wobec Związku Sowieckiego. Marszałka Tuchaczewskiego nazywa-

ła prawdziwym wrogiem ludu, lecz nie z przyczyny oskarżenia go podczas represji stalinowskich. Przypominała przy tym o zbrodni Tuchaczewskiego, który niszczył wioski wraz z mieszkańcami, jeżeli nie życzyli sobie władzy sowieckiej. Po opowiedzianych przez ciotkę Walentynę historiach, z jej własnego doświadczenia pod czas ostatniej wojny, zacząłem krytycznie myśleć o wojennych filmach fabularnych, masowo produkowanych w ZSRR.

Po raz pierwszy właśnie od ciotki Walentyny usłyszałem, że nikt na Białorusi nie wierzy w przypadkowość śmierci Piotra Maszerowa (1918–1980), byłego partyzanta, lidera Białorusi i rywala Leonida Breżniewa.

Oczywiście, ciotka Walentyna była patriotką Białorusi i witała jej



„Zajączki” – waluta białoruska

niepodległość, oraz innych republik byłego Związku Sowieckiego. Dobrze pamiętam jej słowa, powiedziane retorycznie do krewniej, zamieszkałej w Rosji, po odstąpieniu rządu Białorusi od kursu na demokrację: „Chcecie nas podporządkować...”

Obok wujka Antonia i Julii, mojej szkolnej nauczycielki z historii, o której wcześniej wspominałem (KG nr 23-24 z 17.12.2010 r.), zaczerpnąłem wiele prawdziwej wiedzy historycznej właśnie od ciotki Walentyny, siostry mego ojca. Jestem jej bardzo wdzięczny za to. Również za medale i order wojenne, pozostałe po ojcu, które przekazała mi, jako pamiątki rodzinne, przed swoją śmiercią.



Z okazji świąt Bożego Narodzenia, przepelnionych nadzieją i magią wigilijnej nocy, kierujemy do Państwa płynące z serca życzenia radosnych, spokojnych świąt oraz pomyślności w nadchodzącym roku.

Przygody nieprzemysłane

Przykre wrażenie sprawiła na mnie zmiana flagi i godła niepodległej Białorusi na starą, z okresu ZSRR. Ten fakt być może najbardziej zniechęca mnie ostatnio do odwiedzania ojcowizny. Zresztą starsze pokolenie rodziny z linii ojca już nie żyje.

Kim w końcu jestem: Polakiem, Białorusinem czy Ukraińcem, gdyż mieszkam na Ukrainie? A może Żydem, bo mam jeszcze jedną ciotkę, przybraną – Lubę S., Żydówkę z Mińska. Moja rodzina po ojcu uratowała jej życie pod czas wojny, wystarawszy się dla niej o dokumenty członka rodziny. Luba S. była wdzięczna za to. Obecnie mieszka w USA.



Szkic rysunku szkolnego

Polacy po odzyskaniu niepodległości, w okresie dwudziestolecia międzywojennego, zbudowali port w Gdyni i są dumni z tego powodu po dzień dzisiejszy. Na pamiątkę o krótkim czasie białoruskiej niepodległości zachowałem sobie kilka znaczków pocztowych i „zajączki” – walutę białoruską, pierwsze jej egzemplarze, jeszcze sprzed okropnej dewaluacji. Na jednym ze znaczków przedstawiono żaglowiec (herb Połocka) z banderą narodową, na innym – krzyż chrześcijański z XII st. Te symbole dawały nadzieje.

Wychowany w rodzinie matki, przeważnie myślę po polsku. Dlatego też zastanawiam się czasem w jaki sposób można pomóc Helenie, ponieważ jej drugi ślub okazał się również nieszczęśliwy. Helenka nie żali się, bowiem Białorusini są narodem bardzo cierpliwym. Nie raz nawet porywam się uwolnić ją za przykładem sieniawiczowskiej Heleny, ukrytej gdzieś w Jampolu. Później przypominałem sobie, że Jampol (i nie jeden) geograficznie leży na Ukrainie. Zresztą na pewno w każdej z byłych republik Związku Sowieckiego istnieje swój „Jampol” własne „księstwo Burdyki”...

KG

List do redakcji

Gdy zawiadomiono nas, uczniów szkoły plastycznej „Wrzos”, o wyjeździe do Jazłowca na plener, większość z nas, kto był we Lwowie, zgłosili się natychmiast, odsuwając wszystkie inne sprawy. Czekaliśmy na ten wyjazd cały rok. Zbiórkę ogłoszono przy naszej siedzibie, przy ul. Rylejewa bardzo wcześnie – o 5:30 rano.

Zjawiliśmy się chłodnym rankiem niedospani, ziewając i spoglądając z trwogą na zachmurzone niebo. Gdy przyjechała po nas siostra Grażyna, ożywił się trochę. Podróż minęła szybko na oglądaniu i fotografowaniu mijanych widoków z okien mikrobusu.

Przybywając na ziemię jazłowiecką, nie zważając na deszcz, który właśnie zaczął siać, byliśmy zachwyceni czarującym widokiem i świeżym powietrzem. Senność minęła w mgnieniu oka. Wjazdu na dziedziniec klasztoru Niepokalanego Poczęcia NMP, który był naszym celem, strzegły potężne mury starego zamku. Przy wjeździe spotkała nas rezolutna siostra Tatiana, która zaprowadziła nas do pokoju gościnnych. Po pysznym śniadaniu, przy którym poznaliśmy ks. Romana Łysaka i miły

Plener w Jazłowcu – niezapomniane wrażenia



personel, po klasztorze oprowadziła nas i zapoznała z jego historią życiowa siostra Marta.

W 1863 roku w tym gmachu został otwarty pierwszy zakład wychowawczy dla dziewcząt. Założycielką zakładu była błogosławiona matka Marcelina Darowska ze zgromadzenia sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP. W ciągu wielu lat działalności zakład stał się znaczącym ośrodkiem życia religijnego i kulturalnego. Obecnie w części dawnych gmachów klasztornych znajduje się sanatorium państwowe, a w części klasztor, w którym przebywają obecnie trzy sio-

stry. Siostry w wyremontowanej części klasztornej, prowadzą Dom Pielgrzyma. Jednak jest tu jeszcze wiele do zrobienia.

Każdego ranka budził nas świergot ptaków i promyki słońca, wpadające przez okna. Wstawaliśmy w dobrym nastroju, oglądając przepiękny wschód słońca. Promienie słoneczne, jak doskonały malarz, nakładały przeróżne barwy na aksamitne lesiste pagórki, dachy domków, kopuły świątyń, ruiny zamku. Wieczorami spacerowaliśmy po rozległym klasztorowym parku, wdychając aromat ziół i kwiatów. Odwiedziliśmy kryptę z prochami za-

konnic, w tym i założycielki zgromadzenia, obdarzonej wieloma łaskami Bożymi, Marceliny Darowskiej.

Dodawała nam siłę i natchnienia modlitwa przy figurze Matki Jazłowieckiej. Zwiedziliśmy Czerwoną Górę, z której rozciągał się niezapomniany widok na Dniestr, który jak błyszcząca wstęga owijał półwysep w różnych odcieniach zieleni. Lekki powiew wiatru, szum drzew, niesamowita przestrzeń przed nami, wprawiły nas w czarujący nastrój. Wydawało się, że ma się skrzydła i za chwilę pofrunie ponad światem w nieskończoność.

Ta przepiękna, malownicza miejscowość urzekła nas na tyle, że chwytaliśmy za pędzle i farby i przelewaliśmy swoje wrażenia na płótno, karton i papier. A nasza miła kierowniczka pani Irena Strilciw dawała nam dyskretne wskazówki co do niektórych akcentów, dzięki którym nasze prace stały się żywsze, bardziej wyraźne.

Czas spędzony w Jazłowcu płynął w rytmie odmiennym od codziennego życia, w pełnej harmonii z otaczającym światem. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy w innym wymiarze.



Dziękujemy serdecznie Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” i „Wspólnocie Polskiej” za możliwość zwiedzenia wspaniałych okolic, zabytków architektury, poznania miłych ludzi. Wspomnienia o pobycie we Jazłowcu na długo pozostaną w naszej pamięci i będą ogrzewać nas w zimowe wieczory. O tych niezapomnianych chwilach będą nam przypominać powstałe tam obrazy – chwila zaklęta na płótnie.

JOLANTA SZYMAŃSKA
tekst
TERESA GUGA zdjęcia

STEFANIA ŁOBACZEWSKA między Lwowem i Krakowem

Stefania Łobaczewska (1888-1963) wychowanka lwowskiej szkoły muzykologicznej, należała do drugiego pokolenia polskich muzykologów. Jej działalność muzykologiczną można podzielić na dwa okresy: lwowski – przedwojenny, kiedy zajmowała się przede wszystkim bieżącą twórczością muzyczną, relacjonując wydarzenia muzyczne w licznych recenzjach koncertowych i w pierwszych pracach naukowych oraz okres krakowski – powojenny, kiedy opracowała i opublikowała swoje syntez historyczne i monografie muzyczne. Najważniejsze prace muzykologiczne Łobaczewskiej powstały wprawdzie w Krakowie, jednak to właśnie we Lwowie ukształtowały się jej wielokierunkowe zainteresowania oraz naukowy warsztat muzykologiczny.

OLGA PROTOPOPOWA

Stefania Łobaczewska (z domu de Festenburg) urodziła się 31 lipca 1888 roku we Lwowie. W dotychczasowych publikacjach na temat działalności Stefania Łobaczewskiej brak bliższych informacji dotyczących jej rodziny. Autorka tego artykułu ustaliła, że jej ojciec, Gerard de Festenburg (1843-1914), z pochodzenia Belg, był lekarzem wojskowym. Współpracował m.in. z profesorem Adolfem Beckiem (1863-1942), światowej sławy fizjologiem. Adolf Beck działał na nowo utworzonej w tym czasie Katedrze fizjologii Uniwersytetu Lwowskiego (1895-1935). Zachowało się jedno zdjęcie upamiętniające ojca Stefania Łobaczewskiej w gronie lekarzy na czele z Adolfem Beckiem. Niestety, nie ma potwierdzenia tego faktu, iż Gerard de Festenburg również pracował na Uniwersytecie Lwowskim, ale zdjęcie, zamieszczone w medycznym czasopiśmie lwowskim „Експериментальна та клінічна фізіологія і біохімія” sugeruje, że przebywał on w środowisku wybitnych lekarzy-naukowców tego czasu. Wiadomo też, że Gerard de Festenburg zajmował stanowisko prezidenta Lwowskiej Izby Lekarskiej. Został pochowany we Lwowie na Cmentarzu Łyczakowskim. Niestety, nie zachowały się żadne wiadomości o matce Stefania Łobaczewskiej, Helenie z Sawickich. Wiadomo jedynie, że pochodziła z rodziny ormiańskiej. Nie znamy również miejsca jej pochówku.

Do 1914 roku, do wybuchu I wojny światowej Stefania Łobaczewska prywatnie zdobywała wiedzę z zakresu szkoły powszechnej i średniej. W tym samym czasie uczyła się gry na fortepianie, odbywając studia muzyczne w konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Konserwatorium GTM odgrywało ważną rolę w rozwoju życia muzycznego Galicji, będąc pierwszą, a zarazem jedną z najstarszych w Europie instytucją tego typu. Na przestrzeni swojej wieloletniej działalności owe Towarzystwo było inspiratorem wielokierunkowego życia muzycznego Lwowa, poprzez organizację dużej ilości koncertów solowych, kameralnych, chóralnych, symfonicznych. W czasie działalności konserwatorium wprowadzono szereg reform, które miały sprzyjać podwyższeniu poziomu edukacji. Na lata nauki w konserwatorium Stefania Łobaczewskiej przypada reforma dotycząca systemu nauczania w tej instytucji. Zmiany dotyczyły rozszerzenia zakresu obowiązujących przedmiotów, co umożliwiałoby uczniom zdobycie rozległej wiedzy z zakresu teorii i kompozycji muzycznej.

Wspomagało ten proces udoskonalania systemu edukacji grono wybitnych pedagogów, takich jak: Mieczysław Sołtys (1863-1929), Stanisław Niewiadomski (1859-1936), Vilém Kurz (1872-1945) i in. Do I wojny światowej konserwatorium cieszyło się uznaniem i autorytetem w ówczesnym środowisku muzycznym, zaś po 1919 r., jako konserwatorium było szczególnie cenione, bowiem według Leszka Mazepy zajmowało pierwsze miejsce w ówczesnej Polsce. Nauczycielem Stefania Łobaczewskiej z zakresu gry na fortepianie był słynny czeski pianista, wirtuoz i pedagog Vilém Kurz (1872-1945), który działał zarówno w konserwatorium we Lwowie, jak i w Pradze. Jako pedagog cieszył się sympatią studentów, wobec których był wymagający. Jego uczniowie prezentowali wysoki poziom na corocznych koncertach pokazowych. Studia z zakresu pianistyki Stefania Łobaczewska łączyła ze studiowaniem muzykologii (1912-1914) na nowo utworzonej przez Adolfa Chybińskiego Katedrze muzykologii Uniwersytetu Lwowskiego. Warto podkreślić jej aktywność jako wykonawcy-pianistki, ilustrującej muzykologiczne wykłady Adolfa Chybińskiego.

Przed I wojną światową Stefania de Festenburg wyszła za mąż za pułkownika wojsk austriackich Wawrzyńca Łobaczewskiego. Nie zachowały się jednak żadne informacje, poza imieniem i stopniem wojskowym, które mogłyby nam przybliżyć postać męża Stefania Łobaczewskiej. Autorce tego artykułu udało się dotrzeć jedynie do wzmianki o Wawrzyńcu Łobaczewskim na Ukrainiejskiej Liście Katyńskiej. Jest to wykaz 3435 aresztowanych w 1940 r. na Ukrainie polskich obywateli, który 5 maja 1994 r. władzom RP przekazał zastępca szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy gen. A. Chomicz. Jest to spis 3435 więziennych akt osobowych, wysłanych 25 listopada 1940 r. przez naczelnika 1. Wydziału Specjalnego NKWD USRR do naczelnika 1. Wydziału Specjalnego NKWD Związku Sowieckiego. Według informacji umieszczonych na tej liście, Wawrzyńiec Łobaczewski zginął w 1940 roku. Natomiast w 2010 roku, w związku z obchodami w kwietniu tegoż roku uroczystości Katyńskich, udało się odnaleźć wzmiankę dotyczącą męża Stefania Łobaczewskiej. Otóż, jak podaje internetowy Podkarpacki Portal Informacyjny: „W Zagórz pod Krzyżem Milenijnym zostały posadzone trzy dęby. Pierwszy pamięci podporucznika piechoty Jerzego Franciszka Alberta – urodzonego w Zagórz 28 maja 1916 roku, drugi pamięci pułkownika kawalerii Wawrzyńca Łobaczew-



Stefania Łobaczewska
(zdjęcie pochodzi ze strony internetowej Akademii Muzycznej w Krakowie: www.amuz.krakow.pl)

skiego, urodzonego 17 lipca 1875 roku również w Zagórz i ostatni, trzeci poświęcony podporucznikowi Zbigniewowi Wyskielowi, urodzonemu w Zagórz 11 listopada 1912 roku”. Są to jedyne informacje, które mogą nam przybliżyć postać Wawrzyńca Łobaczewskiego.

Wydarzenia I wojny światowej spowodowały wyjazd wielu osób – zarówno uczniów jak i pedagogów, związanych z konserwatorium GTM i Katedrą Muzykologii Uniwersytetu Lwowskiego. W latach 1914-1918 Łobaczewska jako wolna słuchaczka studiowała muzykologię u wybitnego wiedeńskiego muzykologa Guido Adlera.

Z zachowanych dokumentów wiadomo, że Łobaczewska wraz z mężem powróciła do Lwowa w 1925 roku, gdzie kontynuowała studia muzykologiczne i szlifowała swój warsztat naukowy pod kierunkiem Adolfa Chybińskiego na Uniwersytecie Lwowskim. Adolf Chybiński wymagał od swoich studentów znajomości bieżącej wielojęzycznej literatury muzykologicznej oraz zachęcał do penetrowania archiwów i bibliotek. Jak podaje Ulana Hrab, pierwszymi pracami badawczymi na nowo utworzonej Katedrze były prace Stefania Łobaczewskiej o *Cathermerinon Wolfganga Grefingera* (niemieckiego kompozytora początku XVI wieku) oraz Bronisławy Wójcik o tańcach polskich Jahanna Fischera (niemieckiego kompozytora przełomu wieków

XVII i XVIII), które zostały opublikowane w *Kwartalniku Muzycznym* w 1914 roku.

W 1929 roku Łobaczewska otrzymała stopień doktora nauk filozoficznych w zakresie muzykologii na podstawie dysertacji *O harmonice Klaudiusza Debussy'ego w pierwszym okresie jego twórczości*, ale działalność krytyka muzycznego rozpoczęła niemal dwadzieścia lat wcześniej. Jej pierwszy artykuł (*Chopin jako muzyk i jako człowiek*, z roku 1910) został opublikowany dwa lata przed rozpoczęciem studiów muzykologicznych. Kolejne recenzje życia muzycznego oraz artykuły publikowała na łamach czasopism lwowskich („Gazeta Lwowska”, „Ateum”, „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”) i warszawskich („Kwartalnik Muzyczny”), a także sporadycznie jej recenzje ukazywały się w obcojęzycznych publikacjach (np. w „La Revue Musicale”). W kręgu zainteresowań Łobaczewskiej było przede wszystkim współczesne życie muzyczne Lwowa, innych miast ówczesnej Galicji, a także europejska myśl naukowa, prezentowana wówczas na łamach niemieckich, francuskich czy angielskich periodyków.

W latach 30. Łobaczewska rozpoczęła działalność pedagogiczną. W Lwowskim Państwowym Konserwatorium Muzycznym prowadziła zajęcia z zakresu historii muzyki (w latach 1931-1941). Po aneksji Lwowa przez ZSRR i w nowej sytuacji poli-

tycznej, władze uczelni nie uznały stopnia doktora Stefania Łobaczewskiej, zaproponowano zatem przygotowanie kolejnej pracy naukowej oraz jej obronę. Mimo to, już w 1940 roku Łobaczewska pełniła funkcję docenta historii muzyki konserwatorium Lwowskiego.

Inwazja Hitlera na Związek Radziecki przerwała działalność konserwatorium do sierpnia 1944 roku. Sporo wykładowców zmuszonych było do wyjazdu ze Lwowa, większość z nich już nie wróciła do tego miasta. Działalność takich muzykologów jak S. Łobaczewska, W. Wytwicki, M. Szczepańska, Z. Lissa umożliwiła zaadaptowanie i rozwijanie zachodniego, uniwersyteckiego systemu edukacji muzykologicznej oraz prowadzenie badań naukowych, ale dramatyczne wydarzenia wojenne miały wpływ na dalsze losy zarówno osobiste jak i zawodowe lwowskich muzykologów.

W latach okupacji hitlerowskiej Lwowa Stefania Łobaczewska chroniła w swym mieszkaniu kilku studentów-Żydów, niektórzy z nich (Marian Filar, Jan Gorbant) zawdzięczają jej uratowanie życia. Jednak zdemaskowana musiała uciekać, pozostawiając mieszkanie, rękopisy, bogatą bibliotekę. Przebywała (po 1941 roku) kolejno w Łańcutcie, Kraśniku, Rudniku nad Sanem oraz w domu Jarosława Iwaszkiewicza w Stawiskach, utrzymując się w tym czasie jedynie z prywatnych lekcji i kontynuując przez całą okupację zbieranie materiałów do monografii Karola Szymanowskiego.

Od 1944 roku Stefania Łobaczewska zamieszkała w Krakowie, gdzie pozostała aż do śmierci w 1963 roku. W ciągu niemal 20 lat pobytu w Krakowie wykazała się niezwykłą aktywnością organizacyjną, naukową i pedagogiczną.

Już od 1945 roku pracowała jako referent muzyczny w Wojewódzkim Wydziale Kultury i Sztuki, a równocześnie współdziałała w organizowaniu Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej (PWSM), w której rozpoczęła pracę w roku 1945. W PWSM Łobaczewska zaczęła wyklądać teorię i historię muzyki i już wkrótce (od 1946 do 1949 roku) pełniła obowiązki dziekana Wydziału Teorii i Kompozycji.

Aktywnie działała w wielu instytucjach i stowarzyszeniach (Komisja Muzykologiczna PAU, Komitet Historii i Teorii Sztuki PAN, Sekcja Muzykologiczna Związku Kompozytorów Polskich). Będąc członkiem Rady Naukowej Towarzystwa im. Fryderyka Chopina (TiFC) w Warszawie, kierowała pracami i wydawnictwami tegoż Towarzystwa na terenie Krakowa; była też kierownikiem zespołu

naukowego badającego kulturę muzyczną Polski w okresie przed-chopinowskim i chopinowskim. Pracując w Radzie Wydawniczej Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, redagowała cykl Małych Monografi Muzycznych, a także była współredaktorem zbiorowej publikacji „Z dziejów polskiej kultury muzycznej”. Wchodziła również w skład Komitetu Redakcyjnego „Kwartalnika Muzycznego” i „Studiów Muzykologicznych”.

Przełomowe znaczenie w pracy naukowej miał rok 1949, był to rok habilitacji Stefani Łobaczewskiej na Uniwersytecie Poznańskim na podstawie pracy *Karol Szymanowski – życie i twórczość* (wydanej w 1950 roku). Monografia, będąca jednocześnie nową propozycją metodologii w zakresie monografistyki, została wysoko oceniona przez trzech recenzentów: profesora Adolfa Chybińskiego, profesora Stefana Błachowskiego oraz przez ks. profesora Szczęsnego Dettloffa.

Od 1945 roku Łobaczewska prowadziła niezwykle aktywną działalność pedagogiczną. Będąc (od 1945 roku) wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, pełniła także funkcje kierownicze, m.in. rektora, prorektora oraz kierownika Katedry Historii i Teorii Muzyki. W 1951 roku otrzymała docenturę przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Katedrze Historii i Teorii Muzyki, kierowaną przez profesora Zdzisława Jachimeckiego, a po jego śmierci (1954) objęła kierownictwo katedry i funkcję tę pełniła aż do śmierci. Za działalność naukowo-pedagogiczną została mianowana na profesora nadzwyczajnego (1954), a kilka lat później na profesora zwyczajnego (1959). Poza kierowaniem dwoma katedrami – w PWSM i UJ (1958–59) pełniła także obowiązki prodziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego UJ.

Pomimo tak obfitej działalności, była przede wszystkim wzorem i pomocą dla swoich wychowanków. Nie tylko jej zajęcia były zawsze interesujące, lecz jej osoba także wzbudzała wielkie zainteresowanie wśród uczniów i studentów. Młoda duchem i pełna zapału do nowych odkryć, była zawsze chętna do pomocy młodym, rozpoczynającym pracę naukową muzykologom. Cieszyły ją najdrobniejsze oznaki naukowej samodzielności uczniów. Była przyjaciółką młodzieży, popierając nawet najmniejsze naukowe inicjatywy swoich wychowanków.

Na uwagę zasługuje także działalność popularyzatorska Stefani Łobaczewskiej. Oprócz licznych wygłoszonych audycji w Polskim Radiu i Państwowej Szkole Muzycznej, uczestniczyła także w wielu kongresach naukowych, które odbywały się zarówno w kraju, jak i za granicą (Praga, Wiedeń, Berlin, Kopenhaga i in.).

Za swoją niezwykle obfita działalność naukową i popularyzatorską została odznaczona nagrodami: Nagrodą miasta Krakowa (1954), Nagrodą państwową III stopnia oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Stefania Łobaczewska wywarła duży wpływ na kształtowanie się polskiej muzykologii, pozostawiając po sobie okazały dorobek naukowy, który swoim zasięgiem obejmował takie dziedziny jak historia, estetyka, socjologia, psychologia muzyki, nauka o stylach muzycznych, monografistyka oraz metodologia. Jej warsztat, który się uformował pod wpływem tak znanych muzykologów jak Guido Adler i Adolf Chybiński, cechowała niezwykła solidność, a aktywną działalnością naukowo-pedagogiczną przyczyniła się do rozszerzenia problematyki poruszanej przez polską muzykologię.



Grób Stefani Łobaczewskiej, fot. Olga Protopopowa

WSPOMÓŻMY ODBUDOWĘ SPALONEGO DOMU DZIECKA

Spalił się Dom Dziecka w miejscowości Pniuk, powiatu Mościskiego, który został wybudowany przez Religijną Misję Caritas-Spes Archidiecezji Lwowskiej i oddany do użytku w 2009 roku. Mieszkało w nim ośmioro dzieci-sierot i matka-wychowawczyni. Zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc materialną tym dzieciom i pomoc w odbudowie domu.

Konto bankowe dla przekazania pomocy materialnej (UAH):

Філія – Мостиське Відділення № 6000315
 АТ „Ощад Банк” р/р 3739190004 МФО 385208
 Код ЄДРПОУ 02762665
 Призначення: на рах. Матисік Г. Ф. рах. № 135564
 РМ „Карітас – Спес”
 р/р 260012097778 в ЛОД Райффайзен Банк Аваль у м. Києві
 МФО 380805 Код ЄДРПОУ 33358985
 Призначення: на відбудову ДБСТ у с. Пнікут
telefon kontaktowy: 0974516572 Helena Matysik
e-mail: wieslaw.dorosh@gmail.com

Czasy się zmieniają

Jak było w czasie mojej młodości (1930–1950)

Jak jest w czasie mojej starości (2000–2011?)

BOHDAN ŁYP

Odwiedziny

Przychodziłem do domu znajomych bez zapowiedzi. Wiadomo było, że pod wieczór zwykle można zastać domowników. Telefonów nie mieliśmy, więc normalnością było „chodzenie po kominkach”, czyli odwiedzanie by pogadać godzinkę. Gdybym nie zastał, do skrzynki na listy wrzuciłbym karteczkę z pozdrowieniem i poszedłbym do kogoś innego. Panowie, spotkawszy się, zazwyczaj długo rozmawiali o wydarzeniach politycznych, dzielili poglądami o sprawach bieżących, umawiali się na ryby, a czasem zagrali w szachy. Panie miały mnóstwo do powiedzenia i trochę trudno im było zakończyć potok słów. Spotkania te odbywały się w ubiorach codziennych i nie wymagały rewizyty. Natomiast spotkania na zaproszenie lub zapowiedziane, nazywane wizytami, zawsze związane były z odpowiednim starannym ubiorem i punktualnym przybyciem. Prezenty przynosiło się tylko z okazji imienin bądź gdy ktoś przyjeżdżał z daleka, po paru latach. Wówczas zwykle przywoził drobne upominki dla dzieci domowników.

Z pewną koleżanką pracowałem ćwierć wieku w jednym biurze. Stara znajomość nie rdzewieje. Mam z żoną wpaść do niej i zostawić pewien dokument. Spotkanie było oczywiście umówione telefonicznie. Powiedziała: „Jak przyjdziecie, to napijemy się kawą”. Pytam więc żonę – z czym pójdziemy? Zauważyłem, że kto do nas przyjdzie, to wręcza kwiatek albo tabliczkę czekolady lub niedrogą, a ciekawą, książkę czy coś innego. A my co? Mamy iść z gołymi rękami? Czuję, że to będzie jakoś „lyso”...

Im ludzie rzadziej się odwiedzają, tym bardziej chcą oświetlić spotkanie jakimś upominkiem. Odwiedziny stają się coraz rzadsze, bo przecież trzeba pracować, zając się domem, dziećmi, no i telewizor też wysysa czas. Jeżeli mam ochotę odwiedzić kogoś, to po pierwsze, powinienem uprzedzić go i ustalić termin, a po drugie – przyjść z czymś w rękę, bączając: „Ach, to taki drobiazg, nie ma o czym mówić”. Bo tak wypada...

Sąsiedztwo

Moi rodzice w ciągu czterdziestu lat małżeństwa przeprowadzali się wiele razy. Przed wojną, bo cenili sobie coraz to wygodniejsze mieszkanie, w wojnę i po wojnie, bo tak chciał okupant czy późniejszy wyzwoliciel. W nowym miejscu zamieszkania wkrótce mieliśmy nawiązane kontakty z sąsiadami, na tyle dobre, że można było np. zostawić klucze dla syna, gdy zapomniał ich, idąc do szkoły. Wzajemne przysługi były na porządku dziennym. Ludzie obcy życzliwie pomagali sobie, odwiedzali, a nawet latami pisali życzenia świąteczne, gdy los ich rozdzielił. Oczywiście, jak w każdym społeczeństwie zdarzały się odludki, z którymi trudno było nawiązać kontakt. Moja mama starała się aby stosunki z sąsiadami były bardzo dobre, ale też aby nie przechodziły w sferę zbytnej zaży-



łości, czyli, jak się mówiło „bez zagładania sąsiadów w garnki”.

Gdy zamieszkałem w nowym bloku, od razu poczułem się obcym. Ludzie unikali kontaktów sąsiedzkich. Dopiero po kilku miesiącach zaczęli odkłaniać się. Obecnie, po paru latach, wszyscy mieszkańcy klatki schodowej mówią sobie „dzień dobry” i na tym koniec. Gdybym musiał zostawić klucze u kogoś sąsiada, czułbym się zakłopotany, ale ostatecznie spróbowałbym u jednego.

Przez minione dziesięć lat, tylko na minutę przekroczyłem próg jednego z siedmiu mieszkań sąsiedzkich. Raz też się zdarzyło, że sąsiadka zwierzyła się z kłopotów, jakie ma z synem. Jest to kobieta o bezpośrednim sposobie zachowania, więc przyszło jej to łatwo. Inni są jak sfinksy. Im nowsza dzielnicą, im zamożniejsza ludność, tym większa wzajemna obcość i unikanie kontaktów. Ludzie jakby się bali, że coś może ich skompromitować lub jakby mieli do ukrycia ważną tajemnicę.

Przekleństwa

Przekleństwo miało charakter interwencyjny. Gdy furman wjechał w plot, gospodarz zdenerwowany wymyślał mu, używając słów powszechnie uznanych za nieprzyzwoite. Jednak uważano, że ludzie mający ogładę, nie powinni tak się wyrażać. Niestety „krew nie woda”, więc wynajdywano zastępcze określenia jak: „holender” zamiast „cholera” czy „kurcze” zamiast innego. Te nowe określenia były uznawane za bardziej parlamentarne i krnąbrny uczeń mógł nawet usłyszeć je od rozjuszonego nauczyciela.

Kto uważał się za człowieka z ogładą, niezależnie czy był robotnikiem czy urzędnikiem, nie nadużywał wulgaryzmów, a jeżeli zapomniał się, był natychmiast strofowany przez otoczenie. Przeklinającego w tramwaju, pasażerowie gremialnie strofowali, dając wyraz swej dezaprobacie. Szczególnie od nas młodych oczekiwano przyzwoitego wyrażania się i to nas mobilizowało.

Przechodnie powszechnie używają bardzo brzydkich słów jako porzekadła. Dominuje wyrażenie zaczynające się na „k” i jest wymawiane niemal co trzecie słowo. Co dziwniejsze, nauczyciel w wobec uczniów także czasem używa tych słów i zwykle nie reaguje, gdy uczniowie na boisku szkolnym obrzucają się

wulgaryzmami. Bo niby sport jest dla twardzieli!

Podobnie publiczność nie reaguje na wulgaryzmy wypowiedziane na ulicy, zaś uszy wiedzą, gdy słucha się jak policjanci na komisariacie rozmawiają między sobą. Styl knajacki ogarnął ogromną część społeczeństwa. Zadziwiająco są rozmowy oligarchów, nagrane potajemnie.

Filmy i przedstawienia teatralne licytują się w językowym obrzydliwie. Gdy tym spostrzeżeniem podzieliłem się z wnukiem, zauważył: „Przecież nie mieli by nikogo na widowni”.

Brzemie

Mówiło się że kobieta jest brzemienna lub w stanie odmiennym bądź, że jest w stanie błogosławionym. Stan ten był odkryty dyskrecją do czasu gdy sylwetka na to pozwalała. Z tego powodu niewiasty nosiły luźniejsze sukienki lub wdzianka maskujące kształt. Zwykle były to dotychczasowe stroje odpowiednio rozluźnione lub udrapowane. Panie starały się aby ich stan nie wywoływał zaskoczenia lub zdziwienia. Nadchodzące macierzyństwo stanowiło tajemnicę wobec obcych do czasu, gdy natura na to pozwalała. Kobiectwo, jako istocie słabszej od mężczyzny, przysługiwało wiele różnorodnych przywilejów o charakterze obyczajowym. Na widok kobiety brzemiennej ludzie czuli się zobowiązani do pomocy, opieki i ulżenia, zarówno na ulicy, jak w tramwaju czy w zakładzie pracy. Zapowiedź macierzyństwa była otaczana szczególnym szacunkiem.

Są specjalne sklepy z odzieżą ciężawą, wystawiające w witrynie manekiny o odpowiednich kształtach. Przyszłe mamusi także z upodobaniem eksponują swój odmienny stan. W tym celu zakładają obcisłe spodnie i starają się aby zapięcie pasa przypadało jak najniżej, aby kształt wyraźnie nawiązał. Wkładają też obcisły t-shirt, pozwalający zaobserwować położenie pępka. Gdy kobieta tak ubrana znajduje się w miejscu publicznym, zdaje się jakby chciała powiedzieć: „Jestem jak triumfująca sportsmenka, patrzcie konkurentki – ja dopięłam swego i będę miała dziecko, a wy nie!”. Gdy rozwiązanie jest bliskie, obraz maturalnego zniekształcenia sylwetki wywołuje współczucie, podobnie jak ciężkie kalectwo. Obserwującemu nasuwa się pytanie – dlaczego ta pani epatuje przechodnia swym stanem, skoro jeszcze niedawno starała się zachwycać zgrabną figurą?

Historia biało-czerwonej szachownicy

Biało-czerwona szachownica po raz pierwszy pojawiła się na samolocie por. pil. Stefana Steca, latającego w lotnictwie austriackim, a następnie polskim, jako godło osobiste pilota. Miała wówczas cztery pola, bez obwódek. Tak oznakowanym samolotem Stec przyleciał 15 listopada 1918 z meldunkiem z oblężonego Lwowa do Warszawy. Dowódca lotnictwa, ppłk Hipolit Łossowski uznał wówczas, że szachownica spełnia wszystkie kryteria, jakie powinien mieć znak przynależności państwowej: jest oryginalna, ma polskie barwy i łatwo można ją namalować na skrzydłach i kadłubie.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
opracowanie
ilustracje archiwum

1 grudnia 1918 Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego wydał rozporządzenie nr 38, w którym zapowiedział, że: Samoloty Wojsk Polskich będą w przyszłości zaopatrzone w miejscach dotychczas obowiązujących znakiem kwadratowym szerokości 60 cm, dzielącym się na cztery równe pola. Lewe górne i prawe dolne pole będzie barwy karmazynowej, lewe dolne i prawe górne pole barwy białej.

Przed wprowadzeniem szachownicy, polskie samoloty były oznaczane różnymi elementami w biało-czerwonych barwach narodowych: tarczami herbowymi z podziałem koloru na ukos (eskadry warszawskie), pasami biało-czerwonymi (eskadra lwowska), czerwonymi literami Z w białym kwadracie (eskadry krakowskie).

Początkowo malowana była na całej szerokości skrzydeł, kadłubów i sterów kierunku. W 1921 wprowadzono obwódki w kolorach odmiennych od koloru pół szachownicy (instrukcja Wojsk Lotniczych nr 15 z 1921 roku: Ogólne Warunki Techniczne Płatowców), jednak nie podano stosunku ich szerokości do rozmiaru szachownicy. Stosunek ten ustalono dopiero rozporządzeniem prezydenta RP w sprawie znaków przynależności: Szachownica lotnicza jest to kwadrat podzielony na cztery równe pola, z których lewe górne i prawe dolne są barwy czerwonej z białą obwódką, lewe dolne i prawe górne barwy białej z obwódką czerwoną. Stosunek obwódek do pola wynosi 1:5.

Przez następne ponad 70 lat szachownica w tej postaci pozostawała znakiem polskiego lotnictwa wojskowego. W 1993 jednakże wprowadzono nowy wzór znaku, z zamienioną kolejnością pól (odwrócony o 90°), bardziej poprawny heraldycznie, ale ignorujący tradycję.

Młodość i służba w armii Austro-Węgier

Stefan Stanisław Stec urodził się 25 listopada 1889 we Lwowie, jako syn Stefana i Anny ze Słoneckich. Ukończył studia na Politechnice Lwowskiej, otrzymując tytuł inżyniera.

Podczas I wojny światowej, 1 sierpnia 1914 Stec został powołany do armii austro-węgierskiej. Ukończył szkołę oficerów rezerwy pionierów (odpowiednik saperów), po czym do końca października 1915 służył w 10 Batalionie Pionierów. Skierowany następnie do lotnictwa, ukończył szkołę obserwatorów lotniczych w Wiener Neustadt. Od 31 stycznia 1916 do początku 1918 roku służył jako obserwator na samolotach rozpoznawczych w eskadrze Flik 3 (Fliegerkompanie 3) na froncie wschodnim. 2 września 1917, lecąc z pilotem K. Heranem samolotem Hansa-Brandenburg C. I, zestrzelił pierwszy samolot – myśliwiec Nieuport koło wsi



Por. Stefan Stec

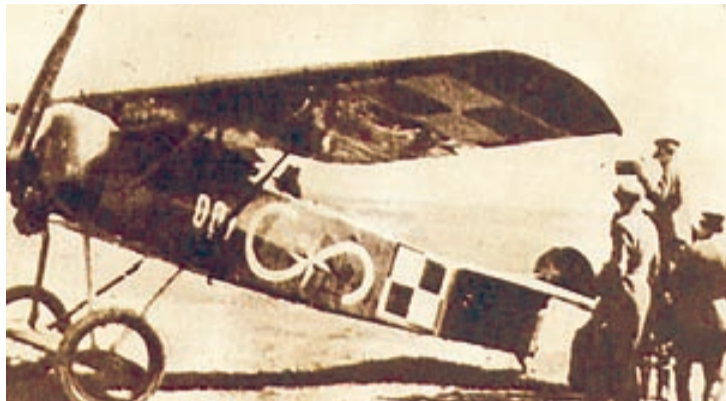
Monasterzyska. 1 lutego 1918 awansował na stopień porucznika.

W lutym 1918 Stec ukończył kurs pilotażu, otrzymując odznakę pilota (nr 1206/1918), następnie kurs pilotażu myśliwskiego i 1 maja 1918 został przydzielony do swojej dawnej eskadry, przeformowanej na myśliwską Flik 3/J. Latał w niej na myśliwca Albatros D. III (Oef) na froncie austriacko-włoskim, bazując głównie na lotnisku Romagnano. W składzie Flik 3/J Stec walczył do końca wojny, z krótką przerwą między 17 czerwca a 4 lipca 1918, kiedy powierzono mu w zastępstwie dowództwo eskadry Flik 9/J.

16 lipca 1918 Stec w składzie klucza z dwoma innymi pilotami (F. Navratil i Franciszek Peter) zestrzelił włoski myśliwiec Hanriot HD-1 w rejonie jeziora Garda, a 10 sierpnia zestrzelił swój trzeci samolot nad Monte Pasubio. W służbie austriackiej odznaczony został m.in. Orderem Żelaznej Korony III klasy z dekoracją wojenną, 2 razy Srebrnym Medalem za Odwagę oraz pruskim Krzyżem Żelaznym II klasy.

Służba w Wojsku Polskim

Od połowy 1918 Stec był członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej we Lwowie. W październiku 1918 przybył do Lwowa. Na początku listopada 1918, gdy rozgorzały walki polsko-ukraińskie we Lwowie, Stec uczestniczył w walkach w mieście, po czym 6 listopada przedarł się na opanowane przez Polaków lotnisko Lewandówka, stając się jednym z pierwszych pilotów polskiej grupy lotniczej w tym mieście (tego dnia dotarł tam też Eugeniusz Roland). Jeszcze przed oficjalną datą odzyskania niepodległości, Stefan Stec wstąpił do nowo formującego się lotnictwa polskiego ze stopniem porucznik pilot. Pierwszy lot bojowy Stec wykonał 7 listopada z lotniska Lewandówka, bombardując stanowiska ukraińskie na Persenkówce. 9 listopada wykonał pierwszy lot transportowy w Polsce z prof. Stanisławem Strońskim, w celu zorganizowania w Krakowie odcieczki dla Lwowa. Samolot ich wówczas został uszkodzony przez ogień przeciwlotniczy i Stec musiał lądować przymusowo pod Łańcutem. 15 listopada Stec wyko-



Samolot Fokker EV por. Stefana Steca z biało-czerwoną szachownicą

nał lot z meldunkami dla Piłsudskiego do Warszawy. W listopadzie, do zakończenia walk w samym Lwowie, wykonał 19 lotów bojowych.

Na swoim samolocie, jeszcze w służbie austriackiej, Stec jako godło osobiste miał namalowaną biało-czerwoną szachownicę, która przyjęta została jako znak rozpoznawczy samolotów lotnictwa polskiego.

W kolejnych miesiącach Stec w dalszym ciągu latał bojowo w składzie 6 Eskadry lwowskiej III Grupy Lotniczej. W styczniu 1919 został wysłany do Wiednia w sprawie zakupu samolotów, po czym 17 marca powrócił na front, w skład swojej eskadry, przemianowanej na 6 Eskadrę Wywiadowczą. W kwietniu 1919 objął dowództwo 7 Eskadry Wywiadowczej, po czym 29 kwietnia 1919 zestrzelił na samolocie Fokker D.VIII (E.V) ukraiński myśliwiec Nieuport 11, a 10 maja zestrzelił balon obserwacyjny. Eskadrą tą dowodził on do połowy października 1919, kiedy to wyjechał na studia wojskowe do Francji w Ecole Supérieure d'Aéronautique w Paryżu.

Po ukończeniu studiów we wrześniu 1920 powrócił do kraju i zaangażował się w uruchomienie krajowej produkcji lotniczej, zostając kierownikiem wydziału fabrykacyjnego w Departamencie III Żeglugi Powietrznej Ministerstwa Spraw Wojskowych. 11 maja 1921 zginął w katastrofie lotniczej na lotnisku mokotowskim w Warszawie. Został pochowany na Cmentarzu Obońców Lwowa.

W służbie austriackiej Stefan Stec zestrzelił 3 samoloty na pewno, podane są także często dalsze 4 stracone samoloty oraz 2 balony, które nie znajdują jednak potwierdzenia w dokumentach. W służbie polskiej odniósł dwa dalsze zwycięstwa, łączny więc bilans jego zwycięstw (5) stanowi powszechnie uznawane minimum



Samoloty Albatros D-III eskadry im. Tadeusza Kościuszki

o gen. Rozwadowskiego (szefa polskiej misji wojskowej w Paryżu), Cooper i Fauntleroy stworzyli ochotniczą jednostkę lotniczą – Polish Expeditionary Force – składającą się z ośmiu lotników amerykańskich. Po pożegnaniu w Paryżu przez polskiego premiera Ignacego Paderewskiego, wyjechali oni do Polski jako Eskadra Kościuszki. W Warszawie, zostali przyjęci przez Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, który po początkowym nieporozumieniu (gdyż wzięli ich za płatnych najemników), skierował ich do Lwowa, gdzie, w dziesięciu już, przybyli 17 października 1919 r. Tam zostali włączeni do 7 Dywizjonu, dowodzonego przez por. Ludomira Rayskiego (późniejszego generała i dowódcy lotnictwa polskiego). 18 października mjr. Fauntleroy przejął dowództwo tego dywizjonu nazywanego *Eskadra Kościuszkowska*. Pierwszą ofiarą śmiertelną był Lt. Edmund P. Graves, który zginął w czasie... pokazów lotniczych we Lwowie 22 listopada 1919 r. W tym czasie Lt. Elliott Chess zaprojektował oficjalne godło Eskadry: czerwono-biało-niebieska tarcza, z 13 gwiazdami i pasami symbolizującymi początkowe 13 kolonii amerykańskich tworzących Stany Zjednoczone, na której były insygnia Tadeusza Kościuszki: czapka-maciejówka z pawim piórem i skrzyżowane kosi na sztorc. Symbol ten przetrwał w Lotnictwie Polskim i był później, podczas drugiej wojny światowej, godłem słynnego Dywizjonu 303 w Polskich Siłach Powietrznych w ramach RAF w Wielkiej Brytanii. Eskadra Kościuszkowska walczyła niezwykle ofiarnie. Amerykańscy lotnicy traktowali swoją służbę, jako „zwrot długu” za Kościuszkę i Pułaskiego. Trzech z nich poniosło śmierć, a ich pomnik stanął na Cmentarzu Obońców Lwowa. Kilku amerykańskich lotników Eskadry Kościuszkowskiej zostało odznaczonych Orderem Wojennym *Virtuti Militari*.



Kpt. Merian C. Cooper w polskim mundurze wojskowym

wymagane na tytuł asa myśliwskiego nadawany w państwach Ententy.

Odnaczony m.in. orderem *Virtuti Militari*, 3-krotnie Krzyżem Walecznych i Laurami Wieniec Polowej Odznaki Pilotów.

Amerykańscy lotnicy we Lwowie

Historia polskiego lotnictwa, związana ze Lwowem, ma bardzo interesujące międzynarodowe akcenty. Z początkiem 1919 r., kapitał Merian C. Cooper, amerykański lotnik w *American Expeditionary Force* został skierowany do Lwowa dla rozdzielania racji żywnościowych dla Polaków w ramach *American Relief Administration*. Jego pra-pradziadek, kpt. John Cooper, wyniósł w 1779 r. z pola bitwy pod Savannah śmiertelnie rannego Kazimierza Pułaskiego. We Lwowie, kpt. Cooper przekonał się, że Polska potrzebowała przede wszystkim pomocy wojskowej. Po powrocie do Paryża poprosił o zezwolenie na służbę w armii polskiej walczącej z bolszewikami. W Paryżu, Cooper spotkał mjr. Cedric E. Fauntleroy'a, który miał właśnie jechać do Warszawy jako doradca wojskowy. Za zgodą dowództwa amerykańskiego

Po Traktacie Ryskim z Rosją bolszewicką w roku 1921, lotnictwo polskie zaczęło rozwijać się bardziej planowo. Powstały trzy pułki lotnicze (każdy złożony z dwóch lub trzech dywizjonów) stacjonujące w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Zostały zorganizowane szkoły lotnicze: w Bydgoszczy i Grudziądzu dla pilotów, w Toruniu dla obserwatorów rozpoznawczych i strzelców pokładowych i w Bydgoszczy dla mechaników. W okresie pierwszych trzech lat wyszkolono 60 pilotów, 40 strzelców i obserwatorów, 50 mechaników. W 1924 roku, gen. Władysław Sikorski planował zwiększenie liczby pułków lotniczych do 6 myśliwskich i 10 bombowo-rozpoznawczych. W 1926 roku, istniało 6 pułków lotniczych, z których tylko jeden był myśliwskim. Później, ten pułk myśliwski rozwiązano, a dywizjony myśliwskie przeniesiono do innych formacji. Zorganizowano *Centrum Wyszkolenia Lotniczego* w Dęblinie (nieдалеko Puław), które w ostatnich latach przed wojną wypuściło wielu znakomitych pilotów; zwiększyła się również liczba absolwentów z innych szkół lotniczych.

Jubileusz Amnesty International

TADEUSZ KURLUS

W 1960 r. dwie portugalskie studentki wzniosły podczas jakiejś uroczystości toast za wolność. Kraj tkwił wówczas w okowach dyktatury. Ta śmiałość nie mogła więc przypaść władzom do gustu, toteż skazała je na siedem lat więzienia.



Dowiedział się o tym brytyjski prawnik Peter Benenson, który wszczął kampanię na rzecz uwolnienia studentek. Wpiewał list do władz Portugalii, ale pozostał bez echa, więc opublikował w dzienniku „The Observer” artykuł pod tytułem „Zapomniani więźniowie”. Wywołał ogromne poruszenie niemal w całym świecie i kampanie na rzecz uwolnienia ludzi zaarrestowanych za ich poglądy.



Ruch przekształcił się w 1961 r. w organizację Amnesty International, której kanonem działania jest ogłoszona przez Organizację Narodów Zjednoczonych w 1948 r. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka. Z czasem zyskiwała na znaczeniu, jej działalność jest ceniona, w 1977 r. otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla.



W Polsce zarejestrowano Amnesty dopiero w 1990 r., ale już wcześniej jej członkowie byli czynni i nieraz uzyskiwali zwolnienia więźniów mających poglądy niepasujące do tych, które reżim uznawał za obowiązujące. W świecie Amnesty ma dziś ponad 2,2 mln członków w ponad 140 krajach.

W 50. rocznicę powstania organizacji okolicznościowe znaczki wydały poczty: norweska, niemiecka, włoska, australijska, islandzka, irlandzka i luksemburska. Oczywiście, emitowano znaczki poświęcone AI już wcześniej.



Zajęcia plastyczne pod strzechą



Po wakacyjnej przerwie młodzi artyści z klubu „Skrzydła”, który działa przy Lwowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, rozpoczęli nowy nabór na zajęcia plastyczne dla dzieci i młodzieży szkolnej ze Lwowa. Zajęcia odbywają się w galerii „Własna Strzecha” przy ul. Rylejewa 9. Ich celem jest wykształcenie w uczestnikach wrażliwości estetycznej i umiejętności wyrażania siebie poprzez sztukę.

Wszelkie informacje znajdują Państwo pod numerem telefonu: **063 287 27 07** – Władysław Małowski
mail: skrzydla.lwow@gmail.com

Hejże! Koniki huculskie na zawody

W przykarpackiej wiosce Czeremchów koniki huculskie brały udział w zawodach jeździeckich.



SABINA RÓŻYCKA
tekst
zdjęcia archiwum klubu „Warto”

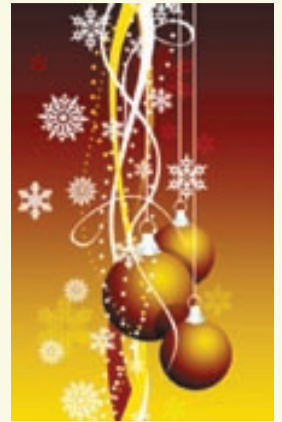
Do wsi przybyli najlepsi dżokeje Ukrainy. Każdy zmagal się na dwu wierzchowcach. W zawodach udział wzięło 14 koni. Niektórzy sportowcy przybyli ze swymi zwierzętami, bo w czasie zawodów jeździeckich bardzo ważne jest porozumienie człowieka i zwierzęcia. Nowością przykarpackich zawodów było to, że po raz pierwszy demonstrowano konie huculskie. Odwiedziła zmagania i korespondentka Kuriera.

...Zimno przebiera do kości. Pogoda ładna, ale mroźna. Ale dokoła – piękno: las, żółte liście, uśmiechnięci ludzie. „Zawody pokonywania przeszkód prowadzono od połowy XIX wieku w Belgii, potem we Francji i Włoszech, – mówi radosny, ale zabiegany organizator zawodów, dyrektor klubu wierzchowego „Warto” Witalij Antoniuk. – W zależności od ilości przeszkód i ich wysokości zawody dzielą na lekkie, średnie, złożone i bardzo trudne. Jest to sport

dla arystokratów, ale u nas są też szlachetni sportowcy i wierzchowce. To nasza duma, na nich pokładamy swoje nadzieje. Jeszcze moment i pokażą klasę”.

Na pole z rozstawionymi różnymi przeszkodami młodzi chłopcy i dziewczęta w czarnych dżokejkach, białych spodniach, wysokich czarnych oficerkach i czarnych żakietach wyprowadzają niskie koniki. Gdzie im tam do angielskich arabów! Nie zważając na młody wiek dżokeje wspaniale trzymają się w siodle. Widać doświadczenie. Brzmi muzyka. Koniki z gracją zdają się ją odczuwać. Idą powoli, dostojnie. Oto jakie my – silne, wprawne, czyste, zdrowe i wysportowane!

Kilka chwil uroczystości i jazda, koniki do przeszkód! W czeremchowskim klubie one są klasyczne: przekładnia, podwójne systemy. Konie pokazują wprawę w skokach w dal i na wysokość. Przeszkody nie są trudne – „pod siłę” młodym dżokejom. „To jest nasza chluba – huculiki, – z zachwytem pokazuje dyrektor klubu „Warto”. – Jesteśmy jedynym klubem na Ukrainie, który do zawodów wykorzystuje konie huculskie”.



*Wśród nocnej ciszy
posłuchaj głosu
łamanego oplatka.
To Boże Dziecię zsyła
Tobie radość, życzliwość
i wzajemne zrozumienie
na Święta
i Nowy Rok.*

W Czeremchowie zajmują się hodowlą i propagowaniem tej rasy. Te niewysokie koniki nadają się nie tylko do gospodarki i wożenia turystów po górach, ale są o nie byle jakimi „sportowcami”. „Nie jest to sprzeczne z regulaminem zawodów, one są jedyne na całym świecie. Organizujemy zawody zgodnie z zaleceniami europejskiej federacji sportów konnych, – wyjaśnia Witalij Antoniuk. – Co do koni huculskich, to w Europie te konie klasyfikuje się jako „poni”. Nie mamy rozwiniętej tej klasy, ale huculików mamy już 20. Proszę spojrzeć – jakie one wspaniałe!” Według dyrektora pierwsze wzmianki o tym gatunku pochodzą z 1603 roku. Rasę wyhodowano krzyżując konie z Bukowiny, Galicji i Węgier z wierzchowcami typu norweskimi i rasą arabską. Na początku XX wieku krzyżowano konie pełnej krwi anglo-arabów i koni kabardyńskich. Panuje mniemanie, że konie huculskie są potomkami tarpanów, które przeniosły się w Karpaty dawno temu. Są zdolne do szybkiej regeneracji sił. Są płodne i żyją długo. Wykorzystywane są jako zwierzęta pociągowe w pracach rolnych. Są dobrze przystosowane do życia w górach – z 100 kilogramowym ciężarem mogą pokonać do 100 kilometrów w ciągu dnia (!)

Ale w Czeremchowie – huculiki to sportowcy. Jeżdżą na nich dzieci, których w klubie nie brakuje. Niektórzy nawet wagarują, aby doglądać swych przyjaciół. Obcowanie z zwierzętami i jazda wierzchem mają na dzieci wspaniały wpływ. Stają się spokojne, sumienne, odpowiedzialne, poprawiają się w nauce i szybko niwelują braki. Zresztą młodzi jeźdźcy gotowi są na wszystko, aby tylko rodzice pozwolili im na zajęcia z ulubionymi konikami.

Szanowna Pani Olga Iwaniak, Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie

Na ręce Pani Prezes składamy serdeczne podziękowanie za nieustraszoną pracę na rzecz naszego polskiego środowiska, za dofinansowanie program, który przewiduje rozwój i umocnienie polskiego ducha narodowego u dzieci i młodzieży, za wkład w patriotyczne wychowanie młodych Polaków oraz obfitą współpracę dla zachowania języka polskiego i polskich tradycji narodowych w Szepetówce i okolicy.

**Z upoważnienia Zarządu
Walentyna Pasiecznik
prezes Szepetowskiego Oddziału
Związku Polaków na Ukrainie**



*Fantastycznych, mroźnych
Świąt
Bożego Narodzenia,
prawdziwej zimy za oknem
i ciepła rodzinnego,
niepowtarzalnych wzruszeń
i zaskakujących prezentów.*

Humor żydowski

Ma powody

Dwaj przyjaciele rozmawiają na rynku w Kamionce Strumiłowej.

- Popatrz, ten, co tam idzie, żeni się z panną Jogerówną.

- Co? Taki straszny antysemita i żeni się z córką Żyda? To skandal!

- Nie, to jedynie polityka. On chce Żyda zrujnować...

Rybka

Pan Baruch powrócił właśnie do Lwowa z Gdyni i dzwoni do swego przyjaciela z automatu telefonicznego.

- Wiesz, Beniek, złowiłem w morzu rybę, coś bajecznego!

- Nie gadaj! Duża?

- Ogromna. Szkoda, że nie mogę ci pokazać, jak była wielka, bo dzwonię z bardzo małej budki telefonicznej.

Obraza

Na rynku w Sniatynie spotykają się dwaj przyjaciele. Jeden z nich jest mocno wzburzony.

- Co ci się stało? – pyta drugi.

- Ty masz pojęcie. Izydor, co za łajdak z tego Zylbermachera? On wczoraj nazwał mnie starym osłem!

- A to dopiero łobuz! – powiada szczerze oburzony przyjaciel. – Przecież ty nie masz jeszcze czterdziestki...

Wzajemność

Młoda mężatka, pani Sala, wraca z kuracji w Karlsbadzie. Zaraz po przywitaniu pyta swego małżonka:

- Maks, czy ty byłeś mi wierny?

- Naturalnie! – odpowiada małżonek. – A ty mnie?

- Oczywiście. Tak samo, jak ty mnie – mówi z uśmiechem pani Sala.

- To ty wiesz co, Salka – zdenerwowanym głosem mówi pan Maks – ty już więcej do Karlsbadu nie pojedziesz. Daję ci na to moje słowo!

Marny procent

Lekarz bada małego Ernesta, u którego stwierdzono podwyższoną temperaturę.

- Choroba nie jest zaraźliwa – powiada – proszę tylko zamówić w aptece dwuprocentowy rozczyń karbolu...

- Dlaczego tylko dwuprocentowy? – dziwi się pan Koppel, ojciec chłopczyka. – Czemu nie pięć, czy dziesięcioprocentowy? My, chwalić Boga, panie doktorze, na wszystko możemy sobie pozwolić...

Zdolny do wszystkiego

Pani Lejoszowa jest młodą, tęgą kobietą, którą rodzice wydali za mąż za pana Lejosza z Gródka Jagiellońskiego, przyzwoitego, choć dość prostego człowieka. Po niespełna rocznym pożyciu pani Lejoszowa wnosi skargę o rozwód. Sędzia w czasie wstępnej przesłuchania zwraca jej uwagę, że jej skarga jest właściwie nieuzasadniona.

- Tak, proszę pani, widzę z tego, że mąż panią nawet bardzo kocha.

- O, to możliwe, panie sędzio – odpowiada pani Lejoszowa. – Taki Żyd z Gródka Jagiellońskiego jest do wszystkiego zdolny!

źródło:

Janusz Wasylkowski,
Obyś żył w ciekawych
czasach,
Warszawa 1991

REPERTUAR OPERY LWOWSKIEJ grudzień 2011

Piątek, 16 grudnia – C. Orff opera „CARMINA BURANA”, początek o 18:00

Sobota, 17 grudnia – G. Verdi opera „BAL MASKOWY”, początek o godz. 18:00

Niedziela, 18 grudnia – jednoaktówki: G. Bize opera „CARMEN”, L. Minkus balet „PACHITA”, początek o godz. 18:00

Czwartek, 22 grudnia – F. Lehar operetka „WESOŁA WDÓWKA”, początek o godz. 18:00

Piątek, 23 grudnia – L. Delibes balet „COPPELIA”, początek o godz. 18:00

Sobota, 24 grudnia – G. Verdi opera „TRAVIATA”, początek o godz. 18:00

Niedziela, 25 grudnia – E. Dosenko, M. Silwestrow, I. Striżewski opera „CZARODZIEJSKIE KRZESIWO”, początek o godz. 12:00

P. Czajkowski balet „DZIADEK DO ORZECHÓW”, początek o godz. 18:00

Czwartek, 29 grudnia – P. Czajkowski balet „JEZIORO ŁĄBĘDZIE”, początek o godz. 18:00

Informacje:

tel.: 0-0380 (32) 272-86-72

tel.: 0-0380 (32) 235-65-86

e-mail: lvivopera@gmail.com

LWOWSKA MIEJSKA DZIECIĘCO-MŁODZIEŻOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA POLSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

**ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich,
założonego przy PZPiT „LWOWIACY”,
dzieci i młodzież w grupach wiekowych
5–8 lat, 8–12 lat, 12–15 lat
oraz do starszej grupy zespołu.**

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych porad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

**Prezes LMDMSO Stanisław Durys,
kierownik artystyczny PZPiT „Lwowiacy”**

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

**Fachowe oprowadzanie po Lwowie,
pilotowanie grup turystycznych po Kresach
w języku polskim**

tel.: 0-0380679447843, 0-380677477329, 0-380676750662,
0-380504304511, 0-380504307007, 0-380509494445

WESPRZYJMY POWSTANIE DOMU POLSKIEGO W MOŚCISKACH

Szanowni Rodacy!

W związku z realizacją projektu powstania Domu Polskiego w Mościskach, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddział w Mościskach zwraca się z ogromną prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli i wielkiego serca o wsparcie tego projektu.

Mamy nadzieję, że nowopowstały Dom Polski stanie się wizytówką Polski i Polaków w Mościskach, miejscem inicjatyw i spotkań Polaków mieszkających na Ukrainie, miejscem rozwoju kultury i tradycji naszych przodków.

Wpłaty można dokonywać na konto:

Rekwizyty bankowe:

**Мостиський Відділ Товариства Польської Культури
Львівщини, вул. Міцкевича 13, Мостиська
Р/р 26003301495**

Мостиський Ощад Банк

МФО 385208, ЗКПО 26256843

**Благодійна допомога на „Польський Дім”
в Мостиськах**

Polska firma budowlana poszukuje pracowników

Firma budowlana, działająca na terenie Unii Europejskiej, zatrudni pracowników na podstawie oficjalnej umowy o pracę. Dużym ułatwieniem przy zatrudnieniu jest posiadanie przez kandydata paszportu unijnego (nie tylko polskiego).

Kontakt

e-mail: firma.eurobud@gmail.com;

tel. we Lwowie: +380 631232847

(poniedziałek – piątek)



*Nie umiera ten, kto trwa w sercach
i pamięci naszej*

Dyrektor Szkoły Średniej nr 24 im. Marii Konopnickiej

Łucji Kowalskiej

wyrazy najgłębszego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie

Męża

składa

grono pedagogiczne, rodzice, uczniowie i absolwenci
Szkoły Średniej nr 10



*Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość, to nieśmiertelność*
Emily Dickinson

Wyrazy szczerzego żalu i współczucia składamy

Jarosławowi Blinowskiemu

z powodu śmierci

Matki

Łączymy się w bólu z Rodziną zmarłej

Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi
we Lwowie



Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość, że po ciężkiej chorobie
9 grudnia br. w Krakowie

zmarł nasz Kolega

FREDZIO BIESIADECKI

ur. we Lwowie w 1947 r.

Wyrazy współczucia i słowa otuchy
dla całej Rodziny i bliskich

Składają
koleżanki i koleżdy szkolni



*Taki już jest nasz los... dzisiaj z bliskimi rozłąka...
a jutro z Nimi spotkanie...
lecz „Ci, których kochamy, nie umierają,
bo miłość to nieśmiertelność”*

Z wielkim żalem i bólem serca zawiadamiam,
że dnia 14.11.2011 roku o godz. 13.00,
w wieku 83 lat odeszła do Domu Pana moja śp. kochana Mama
WANDA SOSIŃSKA z d. Tarnawska – mariapolanka
Msza św. za duszę Zmarłej odbyła się 22.11.2011 roku, o godz. 13.00
w kościele pw. Przemienienia Pańskiego w Mieszkowicach
Pogrzeb odbył się również 22.11.2011 o godz. 12.00 na Cmentarzu
Komunalnym w Mieszkowicach.

Pogrążona w wielkim smutku córka Władzia
z mężem Irkiem i dziećmi z rodzinami

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI RADIOWYCH NA UKRAINIE

(czas audycji ukraiński)

Z ETERU

Radio Polonia (godz. 18.30)
- Lwów – Radio Niezależnist - 106,7 FM
- Winnica – Radio TAK – 103,7 FM
- Chmielnicki – Radio Podilla Center - 104,6 FM
- Równe - Radio Kraj – 68,2 FM
- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyla – 71,1 FM i 103,4 FM
Polskie Radio Lwów – w każdą sobotę od godz. 9.00 do godz. 13.00 oraz w niedzielę od godz. 19.15 do 20.15 na fali 106,7 FM (Radio Niezależnist)
Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słyhać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie wszędzie).
Polskie Radio Warszawa I – na falach długich 225 kHz

RADIO PRZEZ INTERNET

Polskie Radio – www.polskieradio.pl
Lwowska Fala – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę od godz. 9.10 na antenie Polskiego Radia Katowice – www.radio.katowice.pl. Powtórka audycji – w niedzielę o 00.00 w nocy
RMF FM – www.rmf.fm
Radio Zet – www.radiozet.pl
Radio Maryja – www.radiomaryja.pl
Radio Opole – audycje o Polakach na Ukrainie – www.radio.opole.pl
Radio Wnet – www.radiownet.pl
Polskie Radio Lwów – www.radio-n.com

RADIO PRZEZ SATELITĘ

Programy **Polskiego Radia** emitowane są w systemie DVB przez satelitę HOT BIRD, a także przez platformę cyfrową Cyfra+

RADIO WNET

POLECAMY!

Słuchaj przez Internet www.radiownet.pl (podajemy czas ukraiński)
Program Wschodni w każdą sobotę o godz. 11:07
Historia Wnet w każdą sobotę o godz. 12:00



Radio Weża – Iwano-Frankowsk

W każdą sobotę na falach Radia Weża o godz. 11:07 audycja POLSKI KWADRANS – po polsku wspólny projekt Europejskiego Klubu Stanisławowa, Radia WNET i Kuriera Galicyjskiego

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

PIERWSZA STRONA ПЕРША СТОРІНКА

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

STRONY WEWNĘTRZNE ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
pełny kolor
повноколірний

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia również w prasie ukraińskiej

Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie

STRONY WEWNĘTRZNE ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
czarno-białe
чорно-білі

STRONA OSTATNIA ОСТАННЯ СТОРІНКА

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
pełny kolor
повноколірний

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wał 12
tel.: +38 044 230 07 00
fax: +38 044 230 07 43
+38 044 270 63 36
e-mail:
kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów, ul. B. Chmielnickiego 60
tel.: +38 044 284 00 40
faks: +38 044 234 99 89
e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl

Wydział Promocji Handlu i Inwestycji przy Ambasadzie

01034 Kijów, ul. Wołodymyrska 45
tel.: +38 044 279 12 98, 279 18 31
+38 044 279 45 37, 279 33 40
fax: +38 044 278 11 40
e-mail: kiev@trade.gov.pl
http://www.kiev.trade.gov.pl/

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Artioma 16
tel.: +38 057 75-78-801
faks: +38 057 75-78-804
e-mail: mailto:charkow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.charkowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108



tel.: +38 032 295 79 90
faks: +38 032 295 79 80
e-mail:
lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://lwowkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b
tel.: +38 0332 280 640
faks: +38 0332 280 659
e-mail:
luck.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.luckkg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1
tel.: +38 048 722 56 96
+38 048 722 60 03
fax: +38 048 722 77 01
e-mail:
odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.odessakg.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Sewastopolu

99003 Sewastopol, pl. Pirogowa 3
tel.: +38 0692 539 881
fax: +38 0692 539 885
e-mail:
sevastopol.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.sevastopol.polemb.net/

Konsulat Generalny RP w Winnicy

21050 Winnica, ul. Kozickiego 51 – VI p.
tel.: +38 0432 507-413,
inform.wizowa +38 0432 507-411,
ws. Karty Polaka +380432 507-412
fax: +38 0432 507-414
e-mail:
winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl
http://www.winnica.polemb.net/

Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej w Żytomierzu kierowany przez Konsula Honorowego

10014 Żytomierz,
ul. Mała Berdyczowska 16 a
tel/fax: +380 0412 481 555
e-mail:
konsulat@konsulatrp.zt.ua
http://konsulatrp.zt.ua/

Rejestrację wniosków wizowych, zgłoszenie podróży i wizyt w konsulatach można uzyskać na stronie:

www.e-konsulat.gov.pl

Kurier Galicyjski

КУР'ЄР ГАЛІЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80
Iwano-Frankiwska 76000,
абонентська скринька № 80
siedziba gazety:
Iwano-Frankiwska 76002
ul. Iwasiuka 60,
Івано-Франківськ
вул. Івасюка 60
tel. redakcji w Stanisławowie:
+38 (0342) 71-38-66
tel./faks redakcji we Lwowie:
+38 (032) 261-00-54
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:

ПП Ровіцкі М.М.
Код ЄДРПОУ 1965816635
р/р 2600001244414 в Івано-Франківськійському відділенні ПАТ «КРЕДОБАНК», м. Івано-Франківськ МФО 325365

Świadectwo rejestracji
Seria KW nr 12639-1523 R
wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну реєстрацію Серія KB № 12639-1523 P від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцкі

Skład redakcji:

Marcin Romer:
redaktor naczelny
e-mail: zgrodurevery@wp.pl
Maria Basza:
zastępca red. naczelnego,
dział fotoreportażu oraz dział grafiki komputerowej
e-mail: mariabasza@wp.pl
Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl
Sabina Różycka
e-mail: pluglem@wp.pl
Krzysztof Szymański
e-mail: krzszymanski@wp.pl
Julia Łokietko
julieta.stella@gmail.com
Natalia Kostyk
e-mail: nataliakostyk@wp.pl
dział informacji regionalnej i reportażu.
Jurij Smirnow:
dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:
Agnieszka Sawicz, Beata Kost,
Joanna Demcio, Elżbieta Lewak, Eu-

stachy Bielecki, Szymon Kazimierski, Aleksander Niewiński, Michał Piekarski, Irena Kulesza, Piotr Janczarek, Tadeusz Olszański, Tadeusz Kurlus, Jacek Borzęcki, Renata Klęczańska, Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech Krysiński, Aleksander Szumański, Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaśko, Dorota Jaworska, Olga Ciwkacz, Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimecki, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz Niemieć, Barbara Stasiak, Katarzyna Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zubiński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów, z którymi się nie zgadzamy!

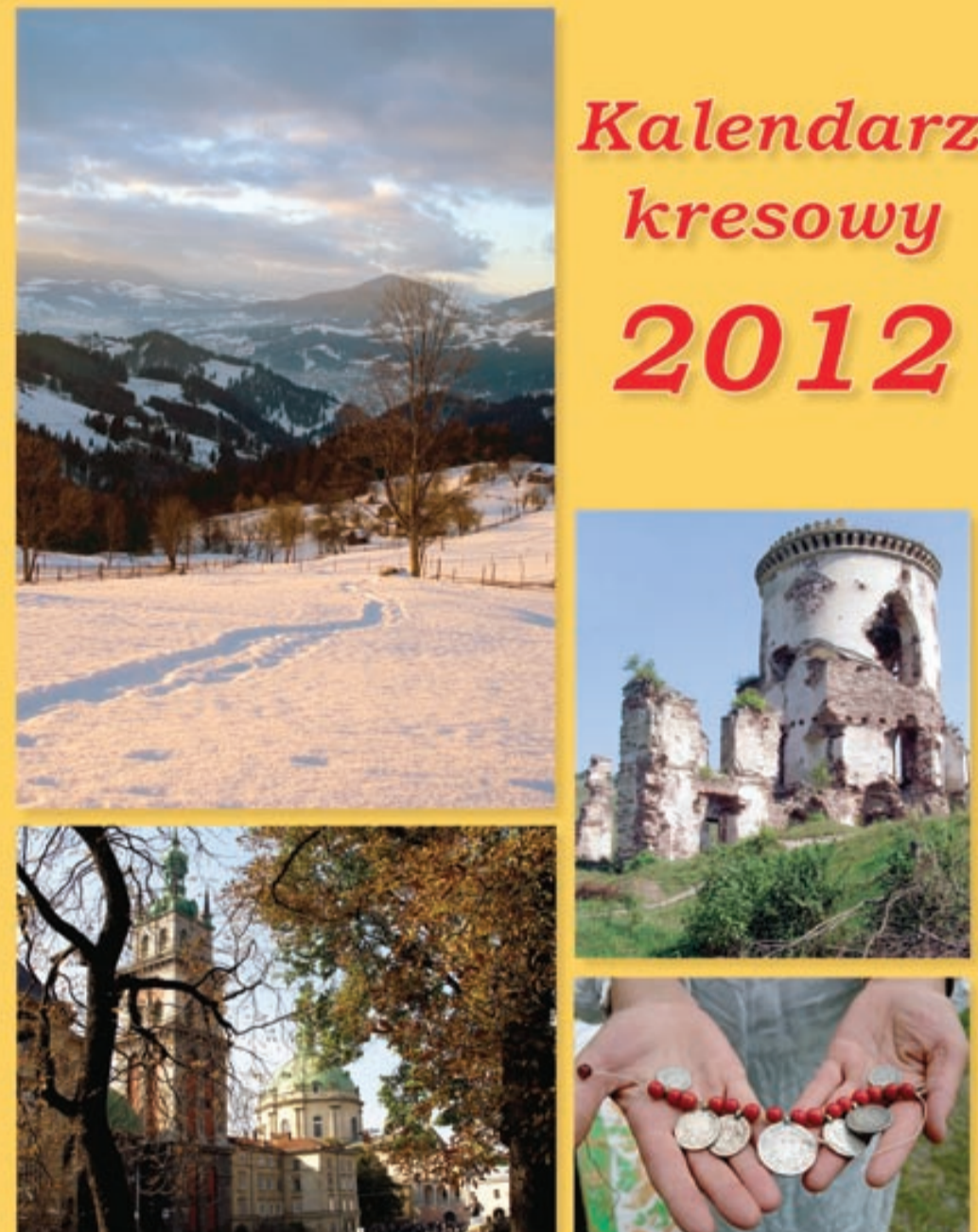
Pismo wspierane przez Senat RP za pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności, nie zamówionych rękopisów nie zwraca i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780
Індекс передплати 98780
Газета виходить 2 рази на місяць

KALENDARZ KRESOWY na ROK 2012 – zamów!



*Kalendarz
kresowy
2012*

NIEZALEŻNE PISMO POLAKÓW NA UKRAINIE

KURIER galicyjski

www.kuriergalicyjski.info
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl
tel.: 0-0380-342713866; 0-0380-322610054

Ukazała się kolejna, piąta już edycja KALENDARZA KRESOWEGO KURIERA GALICYJSKIEGO – na ROK 2012!

Zamówienia prosimy składać pod adresem naszej redakcji.

Telefon: +38 (0342) 713866;

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

cena: na Ukrainie 15 hrywien + koszty wysyłki; w Polsce 15 PLN razem z wysyłką

Kalendarz Kresowy na rok 2012 można też kupić w Przemyślu, w Południowo Wschodnim Instytucie Naukowym przy ul. Grodzkiej 3 (tel.: +48 (016) 678 73 33)

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY

УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej

1 miesiąc – 5,96 hrywien

3 miesiące – 17,88 hrywien

6 miesięcy – 35,76 hrywien

12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową: kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel. +48 (016) 678 73 33

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borysławiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;

- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;

- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;

- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;

- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;

- w lwano-Frankiwsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym”, Rynek 7;

- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.



Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie
www.wizyt.net/
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl
www.hanaczow@op.pl

www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:

www.beta.kuriergalicyjski.info/src/archiwum/2011/2011.php
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Kantorowe kursy walut na Ukrainie

15.12.2011, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,01	1 USD	8,05
10,32	1 EUR	10,55
2,30	1 PLN	2,40
12,40	1 GBR	12,60
2,47	10 RUR	2,52

Partnerzy medialni

